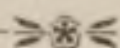
AKCYE PRZEMYSŁOWE I GIEŁDA.



Rozwój przemysłu i jego centralizacya zwiększają corocznie ilość przemysłowych towarzystw akcyjnych w kraju, a jeśli przewidywana w niedalekiéj przyszłości reforma ustawodawstwa akcyjnego zniesie istniejący obecnie system koncesyjny, i dozwoli na zakładanie tych towarzystw na podstawie zwykłych umów notaryalnych — pod pewnemi warunkami co do formy saméj umowy — to niewątpliwie ilość towarzystw akcyjnych przemysłowych w kraju wzrastać będzie nie codzień, lecz co godzina, a jednocześnie zapewne gra temi akcyami na giełdzie jeszcze mocniéj się u nas rozwinie.

Pesymiści ekonomiczni z historyą w ręku dowodzą, że od czasów Law'a ogół niczego się nie nauczył; że żadne nauki, ostrzeżenia i argumenty, mające za sobą pewność matematycznych dowodzeń, nie są w stanie powstrzymać ludzi od gry, w któréj tylko przegrać mogą. Dowodem totalizator, dowodem miliony zysków z domu gry w Monte Carlo. Chęć zysków bez pracy, wiara we własne szczęście, albo w rozum i umiejętność, mające szanse wygranéj poprawić, jedném słowem — optymizm, w pewnéj dozie każdemu człowiekowi wrodzony, oto, co pędzi ludzi do rulety, totalizatora i na giełdę.

Mimo smutnych doświadczeń, jakie społeczeństwa europejskie zebrały w sferze giełdy i towarzystw akcyjnych, zamknięcie pierwszych i zniesienie drugich jest w dzisiejszych warunkach ekonomicznych i finansowych poprostu — niemożliwe. Usługi, jakie one oddają rządom i społeczeństwom, są zbyt wielkie, aby się bez nich obyć było mo-

żna — i ogół często nawet nie zdaje sobie sprawy, jak mocne korzenie obie te instytucye zapuściły w organizacyę życia ekonomicznego całego ucywilizowanego świata. Najczęściéj, mówiąc o giełdzie i akcyach, ma się na myśli grę akcyami na giełdzie; — i zapomina się, że gra ta stanowi małą cząstkę funkcyi giełdy i że nie wszystkie téż akcye przemysłowe są przedmiotem gry giełdowéj. Usługi, jakie oddaje giełda w sferze operacyi kredytu państwowego, prowincyonalnego i gminnego,—kredytu długoterminowego hypotecznego i wekslowego osobistego, w sferze handlu wierzytelnościami w walutach obcych i towarami, są wielekroć większe niż szkody, jakie przynosi przez grę giełdową; — tamte są stałe, codzienne, dotyczą całego społeczeństwa; te mają charakter epidemiczny, chwilowy i odnoszą się do garstki chciwych, a nieostrożnych; — o tamtych nie wspomina się i mało się je rozumié, te od czasu do czasu wywołują w społeczeństwie wrzawę, hałas, okrzyki zgrozy i oburzenia, wśród których głos rozsądku ginie i dla ogółu, znającego giełdę tylko z opowieści, wydaje się ona instytucyą ustanowioną w celu ułatwienia zręcznym — złupienia niemądrych

W gruncie rzeczy, ani ci niemądrzy są tak niemądrzy, jak się wydaje, ani ci zręczni tak zręcznymi, jak o nich sądzą. Gra na giełdzie ma zwykle charakter epidemii, rozwija się z pewną elementarną koniecznością i kończy epoką pesymizmu, w któréj wali się cały gmach, budowany z kart; rujnują się efemeryczne egzystencye, znikają bogactwa—papiérowe. Straty na giełdzie poniesione po tak zwanych „krachach" obliczano na miliardy florenów czy marek; — na istotny zapas dóbr w kraju, na to bogactwo społeczne, które się mierzy ilością produktów i środków produkcyi pozostały one bez wpływu. Pękły tylko bańki mydlane—*bubbles* — jak je przed 150 laty ochrzcili Anglicy.

Jeśli giełda nie po to istnieje, aby w niéj grano akcyami przemysłowemi,—to i akcye przemysłowe nie po to istnieją, aby niemi grano na giełdzie. Istnieje téż w każdym kraju szereg poważnych przedsiębiorstw przemysłowych, o których na giełdzie się nie mówi, dlatego że akcye ich nie są odpowiednim do gry materyałem. Im bardziéj są zmienne zyski przedsiębiorstwa, im bardziéj sama gałąź produkcyi jest w kraju nieznana, im więcéj charakteru aleatoryjnego ma przedsiębiorstwo, tém bardziéj akcye jego są do gry giełdowéj odpowiednim materyałem i tém łatwiéj przestają być tém, czém być powinny: dowodem udziału w przedsiębiorstwie i prawa pobiérania pewnéj części czystego dochodu, a stają się czémś w rodzaju biletu na loteryę, dowodem mającym przynieść właścicielowi nie dochód od kapitału, ale wygraną w grze na giełdzie. Wygrana ta obliczona w stosunku do czasu, w którym gra trwała, przenosi znacznie wszelkie możliwe dochody od kapi-

tałów, z przedsiębiorstw przemysłowych płynące. Zwyżka na kursie 5% w ciągu tygodnia, reprezentuje 260% rocznie, a ma tę główną wadę, że nie może się co tydzień stale powtarzać.

W każdéj nowéj gałęzi przemysłu, gdzie oczekiwane zyski są z trudnością obliczalne, a także w kraju, w którym zyski przemysłowe są wogóle wysokie (czy to dzięki cłom protekcyjnym, czy téż dzięki małemu rozwojowi przemysłu i słabéj konkurencyi kapitałów) szanse podniesienia się kursu akcyi zaraz po ich wypuszczeniu na rynek, t. j. wprowadzeniu na giełdę, są wielkie. Nie ulega téż wątpliwości, że w téj epoce, w epoce, w któréj akcye są zwykle w rękach założycieli, akcye nowo-założonego przedsiębiorstwa idą stale w górę i idą w górę z pewną słuszną zasadą do punktu, w którym ich cena giełdowa odpowiada prawdopodobnemu ich rocznemu oprocentowaniu, z uwzględnieniem części zysków, odłożonych na amortyzacyę i pokrycie ryzyka właściwego téj gałęzi, t. j. rezerwę. Na nieszczęście jednak punkt ten jest niewiadomą *X*, nawet dla tych, którzy znają przedsiębiorstwo w najdrobniejszych szczegółach, którzy zdają sobie sprawę z ogólnych konjunktur przemyslu i są w stanie przewidziéć możliwy przebieg rentowności przedsiębiorstwa w przyszłości. Dla ogółu jednak, nabywającego akcye dla gry, motywem pobudzającym do kupienia najczęściéj nie jest obliczenie wartości kapitalnéj akcyi na podstawie prawdopodobnego od niéj dochodu (brak im do tego wszelkiéj umiejętności i wszelkich danych), ale, motywem tym jest to tylko, że akcya idzie w górę, że ma tendencyę do zwyżki, że na niéj zarobić można. W ten sposób sama tendencya do zwyżki robi zwyżkę — a motywem podnoszenia się kursu jest to, że się podnosi. Nowonabywca jest najmocniéj przekonany, że i on zarobić musi, bo inni już zarobili.

Ta bezrozumna i pozbawiona realnych podstaw zwyżka musi się jednak raz skończyć, rozczarowanie musi nastąpić najpóźniéj przy pierwszym podziale rocznym zysków przedsiębiorstwa; przyczém staje się widoczném, że przedsiębiorstwo nie jest w stanie oprocentować odpowiednio kapitału włożonego w akcye po nadmiernym kursie. A wtedy rozpoczyna się odwrót—zniżka; przyczém bardzo łatwo tendencya pesymistyczna opanowywa ludzi z taką samą siłą, z jaką przedtém ulegali przekonaniom optymistycznym; obawa dalszego spadku każe sprzedawać akcye poniżéj wartości realnéj, tak że czasem obawa spadku sama spadek wywołuje i to aż do punktu, w którym znów ci, którzy liczyć umieją, na interesach się znają i ani optymizmowi, ani pesymizmowi porwać się nie dają, znajdują łatwy i pewny zarobek, kupując akcye po stosunkowo za niskiéj cenie.

Okolicznością wpływającą silnie na obniżenie kursów akcyi na

giełdzie w chwilach giełdowego pesymizmu jest to, że ten nieświadomy rzeczy ogół, gotów zarabiać tam, gdzie inni już zarobili, i niezdający sobie sprawy, że tam, gdzie inni już zarobili, tam dla spóźnionych mało jest szansy zarobku, — ten ogół najchciwszy, a najmniéj kompetentny, grający na giełdzie rolę owiec Panurga, — ma zwykle mniéj gotówki niż zapału do gry, i jeśli z początku jeszcze trafił na epokę zwyżkową i zarobił coś na giełdzie, gotów jest ciągle rozszerzać swą grę ponad posiadane środki piéniężne; — zastawia kupione akcye, aby za piéniądze na zastaw ich otrzymane nowe akcye nabywać, a posiadając w wartości tych akcyi może 10% na własność — przy pierwszéj zniżce zmuszony do likwidacyi, daje początek panice i sam kopie rów, w który wpaść musi.

To położenie rzeczy u nas na giełdzie jest najczęstsze. Umowy terminowe, które dla wielu są jedynym objawem gry giełdowéj, u nas nie istnieją; mimo to mamy grę giełdową, w któréj z jednéj strony występuje publiczność grająca na zwyżkę, kupująca akcye i zastawiająca je natychmiast w bankach i u bankierów; z drugiéj — wskutek samego faktu zastawu występują ci, u których akcye są zastawione: banki i bankierzy.

Dopóki przemaga tendencya zwyżkowa, dopóty główną myślą grającego jest otrzymać na zastaw akcyi jak największą sumę gotówki. gdyby można wszystko co za nią zapłacił, aby jak najwięcéj operacye rozszerzyć, a wobec téj kwestyi wszystkie inne warunki zastawu, nawet najuciążliwsze, są błahemi; podpisze się i na 24-godzinne wymówienie zastawu i na 12% rocznie i na opuszczenie NN-ów w kwicie depozytowym, bo przekonanie o dalszéj zwyżce akcyi stanowi kardynalny punkt jego wiary.

Dopiéro gdy minie epoka optymizmu i zjawi się obawa zniżki gdy w końcu zniżka zapanuje na całéj linii, dopiéro wtedy otwiérają mu się oczy, a raczéj wtedy przestaje chcieć tego, co chciał przedtém. Wtedy odgrywa on rolę ofiary, złupionéj na publicznéj drodze przez bankiera czy bank i radby wmówić w ogół, że powinien brać na seryo anegdotę z operetki Offenbacha *Les Brigands*, w któréj cała „historya o rozbójnikach" zawiéra się w trzech wyrazach: „był kiedyś bankier". Wtedy dopiéro oryentuje się, że go „orznięto na procencie" od gotówki pożyczonéj na zastaw akcyi, — że 24-godzinne wymówienie było pułapką, że przez opuszczenie na kwicie depozytowym numerów zastawionych akcyi, upoważnił bankiera do sprzedania mu tych samych akcyi raz jeszcze. Z przyjaciela banków i bankierów staje się ich wrogiem. Z nadszarpniętą kieszenią, często zrujnowany, a czasami wprost niewypłacalny narzeka na giełdę, banki i bankierów, wytacza im procesy i piętnuje

w chciwéj skandalu prasie. Jak ta matka zrujnowanego przez aktorkę syna, która chciała zamknąć wszystkie teatry, — radby on zamknąć giełdę, wszystkich bankierów wsadzić do kozy, a zakładania towarzystw akcyjnych wprost zabronić. O tém, co zarobili jego poprzednicy i co sam pierwotnie zarobił, już zapomniał, ale nie może spać spokojnie z myślą o milionach, jakie zarobił na panice giełdowéj bankier, stając się przymusowo właścicielem zastawionych u niego akcyi; — nie wspomina, że na giełdę i do banku prowadziła go chęć zysku bez pracy. Radby wmówić w opinię publiczną, że los jego zasługuje na współczucie, a stosunki giełdy i towarzystw akcyjnych domagają się reformy; reforma ta, jego zdaniem, powinna być tego rodzaju, aby gra na giełdzie była zawsze i dla wszystkich połączona z niezawodnym zyskiem.

Pomiędzy jednak lamentami gracza ogranego na giełdzie przez bankiera, a narzekaniem zwykłego śmiertelnika, którego los wepchnął w szpony lichwiarza, — jest pewna, a nawet gruba różnica. Nie możemy do nich przykładać téj saméj miary i szukać na oba nieszczęścia jednakowych środków zapobiegawczych. Kto gra na giełdzie, a nie rozumié mechanizmu téj gry, nie ma prawa narzekać, tak samo jak ten, co gra na loteryi, lub w totalizatora. Że z téj gry wychodzi zawsze wygranym specyalista, rozporządzający większemi środkami, to tak pewne, jak to, że z gry w karty wychodzi wygranym, z biegiem czasu zawsze ten, co ma zapas gotówki, wystarczający na powstrzymanie złéj szansy, więcéj umiejętności i więcéj zimnéj krwi.

Ograny akcyonaryusz—akcyonaryusz, który po epoce optymistycznéj zwyżki pozostał się z przepłaconą w rękach akcyą, tém mniéj zasługuje na współczucie, że stanowi on żywioł najczęściéj dla zdrowego rozwoju przemysłu szkodliwy, że najczęściéj zamiast przeboléć stratę, zgodzić się z faktem dokonanym i pobiérać spokojnie mały dochód od zbyt wielkiego kapitału, stara się on pokryć swą stratę, oddziaływając na zarząd towarzystwa, zmuszając go do powiększenia dywidend choćby z narażeniem istnienia towarzystwa, aby tą drogą jeszcze raz wyśrubować kurs akcyi w górę i sprzedawszy ją, umyć ostatecznie ręce.

Napróżno ustawodawstwa akcyjne starają się tym przygodnym akcyonaryuszom utrudnić wpływ na ogólne zebrania. Zostawszy wbrew swéj woli wspólnikami zakładu przemysłowego, w spółce téj zachowują się nie jak właściciel we własnym domu, ale jak przejezdny w zajeździe. Akcya za drogo go kosztuje, aby normalne dochody z przedsiębiorstwa mogły mu dać dochód odpowiedni do włożonego kapitału. Jemu potrzeba koniecznie nowéj zwyżki akcyi i tylko ten kierunek interesu go zadowolni, do tego tylko zarządu może miéć zaufanie, który

w jaknajbliższéj przyszłości zbyt akcyi po wyższym kursie uczyni prawdopodobnym.

Zarząd technicznie i finansowo racyonalny jest dla niego wstrętny; temu zaufania swego zawsze odmówi, z jego drobnych błędów zrobi grzechy nie do darowania, z niedokładności rachunkowych, zamierzone oszustwo, z wypadkowych strat, brak dbałości; w końcu sądzi, że krzyki, obelgi i podejrzenia są właściwym środkiem, aby zarządowi jego stanowisko obrzydzić, do wyjścia zmusić. Na wpływowe w Towarzystwie stanowiska powoła on ludzi, dla których téż celem wyłącznym będzie gra na giełdzie, manipulowanie rachunkowością fabryczną w sposób najhazardowniejszy, z różnicami w rocznym dochodzie z przedsiębiorstwa jaknajwiększemi, dającemi możność jaknajwiększych różnic w rocznych dywidendach i kursie akcyi, na którym on — świadomy ich zamiarów—najwięcej zawsze zarobi.

Gra na giełdzie akcyami zakładu przemysłowego prowadzi z konieczności do zróżniczkowania się jego akcyonaryuszów na „ręce mocne”, t. j. akcyonaryuszów-wspólników, dla których akcya jest dowodem udziału w interesie i daje prawo do pobiérania pewnego stałego dochodu,—i na „ręce słabe”, w których akcya znajduje się chwilowo, jako dowód loteryjny, dla których celem nie jest dochód stały, ale chwilowy zysk na giełdzie.

Te „słabe ręce” nie wszędzie są słabszemi; w zasadzie bardziéj krzykliwe, łatwiejsze w wyborze środków, namiętniejsze i energiczniejsze, nieraz będąc mniejszością, obrzydzają systematycznie życie „rękom mocnym” opanowywują w ogólnych zebraniach ster interesu i świadomie prowadzą przedsiębiorstwo do ruiny, byleby chwilowo kurs akcyi podnieść i z zyskiem je sprzedać. *Après nous le deluge.*

Dla uniknięcia tego zróżniczkowania się akcyonaryuszów, wiele spółek handlowych, przechodząc na towarzystwa akcyjne, ustanawia wysokość akcyi tak wielką (10,000—25,000 rubli), aby się one w słabe ręce nie dostawały. Inne wolą długie lata poddawać się formalnościom prawnym, hypotecznym i sądowym ogólnym, aby tylko nie dopuścić ryzyka uczestnictwa w spółce przejezdnych akcyonaryuszów.

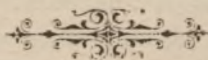
Nieprawdą więc jest, aby spekulacya akcyami przemysłowemi na giełdzie była dla rozwoju przemysłu elementem pomyślnym, aby zapewniając przemysłowcowi nowe pole zysków, miała go zachęcać do rozwijania przemysłu przez zakładanie nowych towarzystw akcyjnych. A jednak z tą opinią spotkać się u nas można. Obrońcy jéj zapisują na rzecz gry giełdowéj korzyści, jakie forma towarzystw akcyjnych daje przedsiębiorcom przemysłowym. Ograniczenie formalności hypotecznych, usunięcie formalności przepisanych dla własności dóbr nieru-

chomych w czasie małoletności, łatwa zbywalność i podzielność udziałów spółkowych w formie akcyi, — to są niezawodne korzyści, które, w miarę jak przemysł centralizuje się ze względów technicznych, coraz częściéj zmuszają przemysłowca nietylko do zakładania nowych przedsiębiorstw w formie towarzystw akcyjnych, ale do przejścia od spółek handlowych i cywilnych już istniejących do spółek akcyjnych. Ale spekulacya akcyami przedsiębiorstwa na giełdzie wcale tych korzyści nie powiększa; istnieją one dla każdego przedsiębiorstwa założonego w formie spółki akcyjnéj, bez względu na to, czy spekulacya giełdowa akcyami temi raczyła się zająć, czy nie.

Przeciwnie, dla normalnego biegu i rozwoju przedsiębiorstwa akcyjnego fakt, że akcye jego są przedmiotem gry giełdowéj jest wprost klęską, któréj skutkom — gdy raz nastąpi — zapobiedz trudno. Pojawienie się na ogólném zebraniu typu „przejezdnego akcyonaryusza", dążącego do wyśrubowania dywidendy i kursu akcyi, jest wtedy koniecznością, a konsekwencye téj konieczności zawsze są szkodliwe. W interesie naszego przemysłu krajowego leży niezawodnie, i rozszerzenie się formy towarzystw akcyjnych i ograniczenie gry akcyami—wybrnąć z téj pewnéj sprzeczności może społeczeństwo tylko o tyle, o ile zrozumié, że akcye przemysłowe nie są biletami loteryjnemi, a giełda nie jest totalizatorem i że na giełdzie musi zawsze wygrać ten, kto w gotówkę zasobniejszy i z warunkami finansowo-ekonomicznemi kraju lepiéj obeznany.

W końcu jeszcze jedna uwaga. Zyski naszego przemysłu warunkują się nietylko konjunkturami handlowemi i technicznemi warunkami produkcyi, ale jeszcze, i to w bardzo wysokim stopniu, polityką celną rządu. Zyski wielu przedsiębiorstw akcyjnych zależą przedewszystkiém i bezpośrednio od wysokości cła. Wobec tego każda zmiana ceł przywozowych od wyrobów przemysłu wpływa bezpośrednio na zyski przedsiębiorczego w danéj gałęzi przemysłu i na kurs akcyi towarzystw akcyjnych w téj gałęzi istniejących. Przybywa tu zatém jeszcze jeden pierwiastek nieobliczalny, jeszcze jedno *X*, które dla dyletantów giełdowych może łatwo zrealizować się w szeregu zawodów, strat i lamentów.

St. Piotrowski.



PERCY BYSSHE SHELLEY.

ARETHUZA.

I.

Arethuza hoża
Wstaje z śniegów łoża
W Akrocerauńskich górach, —
Przez szczelin tysiące
Wiedzie źródła lśniące
Na szczytach zrodzone w chmurach.

Skacze przez opoki,
Pomiędzy potoki
Tęczowe rozwiewa sploty...
Gdzie stąpi — zielenią
Wąwozy się mienią
Ku zachodu zorzy złotej.

Tak w gwarów powodzi,
Śpiewając, uchodzi...
Szemranie płynie wkrąg senne...
Ziemia promienieje
I Niebo się śmieje,
Gdy w głębie śpieszy bezdenne.

II.

Wtém Alfeusz śmiały
Tnie trójzębem w skały,
Na lodowca stając zrębie —
I nikną opoki
W przepaści głębokiéj
I Erymanthu drżą głębie.

Południowy, chmurny
Wicher, po za urny
Milczących ukryty śniegów,
Dreszcz ziemi i gromy
Kruszą granit w łomy,
Wypierają źródła z brzegów

Przez potoku wodę
Widać włos i brodę
Alfeusza boga rzeki,
Gdy za Nimfy pędzi
Śladem ku krawędzi
Wód Dorych niedalekiéj.

III.

„O ratuj mnie! Prowadź!
Każ mnie falom schować!
Już mnie za włosy bóg chwyta!"
I Ocean tknięty
Wzrusza wód odmęty —
Wznosi się toń nieprzebyta.

Biała córa Ziemi
Pod wody modremi
Mknie, jak promień słońca, rączo;
Fale jéj w ślad gonią,
Lecz z słonawą tonią
Wód Doryckich się nie łączą.

Alfeusz zuchwale
Za nią mknie przez fale...
Szmaragdowa ćmi się głębia —
Mknie, jak orzeł, który
Przez brzemienny w chmury
Wicher ugania gołębia.

IV.

Przez głąb, gdzie na tronie,
Co od pereł płonie,
Zasiada władca bezdeni...
Przez lasy korali,
Rwane nurtem fali...
Przez stosy drogich kamieni...

Przez mrok, kędy blada
Jasności kaskada
Sieć barwnego światła niesie...
Mrocznych pieczar głębią,
Gdzie się wody kłębią
Tak zielona, jak noc w lesie...

Padł pianą topieli
Prędzéj przepłynęli,
Niźli rekin, mieczyk zwinny...
Przez nurt morza siny...
Przez skał rozpadliny
Na Dorydy brzeg rodzinnéj.

V.

Teraz śród polanek,
Gdzie lśni w słońca ranek,
Z źródeł swoich mkną, z gór Euny,
Jak ku sobie lgnące
Duchy po rozłące...
W pracy toczą się codziennéj.

Z swéj kołyski stroméj
O świcie przez złomy
Skaczą zboczém w gór jaskinie...
A w południe drzewa
Nurt ich fali zlewa,
Przez łąk asfadele płynie...

A zaś do noclegu
Na Ortygii brzegu
W toń falistą mórz się kryją,
Jak duchy, co leże
Mają w niebios sferze,
Gdy kochają, lecz nie żyją.

Przełożył z angielskiego

Władysław Nawrocki.



Z DZIEJÓW

RÓŻNOWIERCÓW POLSKICH.

Aryanie. Ludzie i Losy.[1])

Marcin Czechowic.—Dawna szkoła.—Talmudyści.—Przesądy.

W starym zborze aryańskim zażywał największéj powagi Marcin Czechowic, jako niestrudzony szermierz słowem i piórem, w kazaniach, pismach, dysputach; on i nową naukę pierwszy systematycznie traktował i wywody wrogów: katolików, ewangelików, żydów, odstępców wreszcie z pośród grona własnego, żwawo odpiérał i Pismo św. tłómaczył: czynny i ruchliwy, wymowny, dowcipny, władający prozą i wierszem, polszczyzną i łaciną, choć się tą rzadziéj posługiwał; wystawiony téż na cel, napastowany, szkalowany więcéj, niż wszyscy inni spółwyznawcy. Gdy Krowicki był aryaninem tylko w ostatnie dziesięciolecie życia swego, w literaturze zaś tylko lutrem — kalwinem wystąpił, Czechowic od piérwszych pism swych bierze udział w całym rozwoju aryańskiego ruchu, wpływa nań chwilami stanowczo, dobija

[1]) Porównaj „Ateneum" 1896, tom III, str. 437—465.

się przodującego stanowiska i dopiéro u schyłku długiéj pracy i ośmdziesięcioletniego żywota schodzi „patryarcha aryański, herezyarcha" na drugi plan, ustępuje pierwszeństwa innym, niknie w końcu tak, że gdyby nie przypadkowa notatka, roku śmierci nie umielibyśmy zaznaczyć. O człowieku rozsiano tyle plotek, o pisarzu tyle myłek, że nie zawadzi zebrać i skupić, co o nim spółcześni i on sam o sobie zapisali, oznaczyć cechy autora, omówić ważniejsze pisma, wydzielić stanowisko, jakie mu należy, rzucić światło na czasy, w jakich rósł, i na ludzi, z jakimi się spiérał.

Przeciwnicy nazywają go stale „chudym dzwonnikiem w Zbąszyniu", „ubogim kleszką, z poddaństwa uciekszy", „klechą szalonym"; posyłają go i do warsztatu; ksiądz kanonik Powodowski twierdzi o nim: „przyszedł jakiś urwaniec, chce świat na ręby wywrócić... będąc żadnym doktorem... ale drzewianym figlarzem a wrzecienikiem śmié się tém chlubić, że prawdę nalazł i za tą chlubą we łbie swoim szalonym natoczył więcéj i dziwniejszych bogów, niżeli jako żyw statków warsztatu swego"; tenże obzywa go tokarzem, strugarzem, wrzeciennikiem; żartem robią z niego balwierza; przeczą dla nazwiska (Czech) i jego polskości.

Tymczasem dowiadujemy się z jego *Epistomium* (k. 64), że nietylko z ojca i matki „ale i z dziadów i babek jestem prawy i wielki Polanin"; z k. 85, że „okrzczony zaraz po urodzeniu we czwartek przed Marcinem 1532 r."; rodzice, mianowicie matka, od dzieciństwa przeznaczali go nie do rzemiosła, ale na księdza, „od czego mnie Bóg łaskawie uchował;" do szkoły chodził w Poznaniu; „a co się tknie klechy antychristowskiego, którym mię téż (jako zwykły dzieci, w piasku igrając, jedne drugim czynić) przezywa ks. Powodowski, do tego się znam po części, bom téż to, co teraz klechowie czynią i dzwonikowie, ja z drugimi przedtym czyniał, gdym one chleby w kleszczach rozpalonych tworzył, które pospolicie opłatkami zową, i nie przę tego, żem to umiał nie tylko w żeleziech utworzyć, ale też i chędogo ostrzyć".

Chodził więc Marcinek do szkół poznańskich; funduszów nie było, więc mieścił się z innymi paupriami w nieopalaném poddaszu nad szkołą; brał plagi co sobotę, a oprócz niéj, skoro tylko *asinus* (tabliczka) o polskie słowo na nim ostatnim zawisła; *pauperibus* wołając, biegał od domu do domu w lekkim płaszczyku (całunie), w zimno i słotę; zgłodniały, z garnuszkiem w ręku, śpiéwał pod oknami litościwych kumoszek kolędy, wiersze i pieśni: polskie, o różanym wianeczku, Dziesięcioro, O Anno pani szlachetna, Ach mój smętku ma żałości, Jezusa Judasz przedał za pieniądze nędzne i t. p.; łacińskiemi wzywał (z Łasickim) św. Marcina, strzegącego od ubóstwa i nędzy (*Martine sancte*

pontifex, Sis miserorum opifex, Fer opem tuis famulis); lecz nie wysłuchiwał patron imiennika; wołał usilnie: *date nobis, dabitur vobis*, często napróżno; żydów i przekupki napastował z innymi żakami. Mizeryę szkolną urozmaicała chyba służba kościelna na chórze i przy ołtarzu, przy procesyach i pogrzebach. Ciekawy, pytał już wtedy, dlaczego w Boże Ciało monstrancyę tak wielbią, jéj śpiéwają i grają „na dudach, kozłach, mulciankach, skrzypicach, trąbach, w rańtuch ubiérają", lecz mu na to nikt odpowiedziéć nie umiał. Religii, wykładu wiary i obrządków, w szkołach średniowiecznych nikt nie uczył; tam uczono tylko łaciny i łaciny; dopiéro protestantyzm naukę katechizmu wprowadził; więc jeszcze w szesnastym wieku „po wsiach i po miasteczkach niemały zaiste słowa Bożego głód" panuje, wedle słów jezuity Herbesta. Brak ten dotkliwy ówczesnego wychowania wytknął w wierszu arcyciekawym, choć haniebnie zbudowanym, luteranin Seklucyan, w przedmowie do *Catechismusa* z r. 1547, którą jako ważny pomnik obyczajowy w całości przytaczamy — w takiém wychowaniu rosły bowiem liczne pokolenia:

Do Czytelnika upominanie.

Jest mi to dziś na pamięci,
Jako w szkołach uczono dzieci:
Od *cum steteris* poczynali —
O Bodze mało wspominali,
Ani o jego przykazaniu
(Dla naszych grzechów poznaniu),
Ani wiary świętéj członków,
Pacierza i sakramentów:
Tych wykładu nieuczyli —
A snać sami nieumieli.
W piątek siekli o *recitare* [1])
A nazajutrz o *solmifare*.
W niedzielę abyś ministrował
A chędogo mszej pomagał:
Skoro *dicentes* usłyszysz,
Tedy we dzwonek zadzwonisz.
Kapłana byś nie rozgniewał,
Kiedy będzie w Kanonie spał,
Tyć były za nauki fabuły:
Alexander, Donat i *Reguły* [2]).

---

[1]) *Dic textum*, t. j. recytuj—ciągle w ówczesnéj szkole wołano, ćwicząc jedynie pamięć.

[2]) Znane gramatyki łacińskie, średniowieczne, wierszem i prozą, niewyrugowane jeszcze nowszemi, Brassikanem. Perottem i in.

Tak był trudny ten ich *Donat*,
Nie nauczył się go do siedmi lat.
A tak przez takowe plotki
Omieszkały młode dziatki.

Już dziś inaczéj nauczają,
Od pana Boga poczynają,
Który raczył z swojéj łaski
Otworzyć nam język Polski,
Którym książki wydawają,
Słowo Boże okazują,
Które było zatłoczono
I przez książą zatłumiono.
Zakazowali to srodze
Prostakom badać się o Bodze.
Wymieniali ty zaklęte,
Co czytali pismo święte,
Mówiąc: „nie twoja rzecz, panie,
„Wszak będzie w święto kazanie,
„Na którym wszystko usłyszysz:
„Przez święte do Boga musisz:
„Ci, którzy do króla chadzają,
„Przez marszałka przystęp mają.
„Ani też, rycerzu, jest rzecz twoja;
„Tobie lepiej przystoi zbroja,
„Ktemu turecka badawija (rumak),
„Niźli ta częsta biblija.
„Ani twoja rzecz, kupczyku,
„I każdy z was, rzemieśniku,
„O świętym się piśmie pytać,
„A głowie troskę zadawać.
„Byś ty robił na warstacie,
„Tak jako przystoi na cie —
„Wszak dziś mamy jubileusz,
„Jedno złoty do skrzynki włóż!
„I ty też, chłopie rataju,
„Pytasz się drogi do raju?
„Byś ty oto na tym przestał,
„Tak jako twój ociec trzymał.
„Ale i wy, panie duszki,
„Już też widzę u was książki —
„Obyś ty patrzała swoich wzorków,
„Koronki, onych świętych paciorków.
„Jeśli tego nie przestaniecie,
„Wszyscy w klątwę wpadniecie“.
Toć ich była wszystka nauka,
Za którą tuczyli swoje brzucha.
Obaczże ztąd, jako zwodzili,
Klątwą od pisma grozili,

Drogę do nieba zamykali,
Sami się tam niepytali —
Jako by Bóg chciał tego taić,
Co raczył wszystkim objawić,
Nie świata tego philozophom,
Ale prostakom, pasterzom, rybitwom.
A przeto bądźcie wdzięczni wszyscy tego,
Żeście dostali pisma polskiego.
Które abyście wszyscy czytali
I dziatki swe nauczali,
Dziękując Panu Bogu z tego,
Iż nam użyczył słowa swego.
Przez które wiary nauczenie
Będziecie mieć i wieczne zbawienie. Amen.

Dodajemy jeszcze drugą wzmiankę Seklucyana o ministrowaniu chłopców i o tem, jak księża stan swój pojmowali:—Pamiętam to głupstwo, że księża nie kazali nam chleba miéwać przy sobie ani kłaść opłatków na ołtarzu, aby niebył sakramentem, gdyż my im ministrowali. Tak wiele o tym rozumieli, co jest sakrament, jako i my natenczas. A gdy już miał taką mszą i spośnikował, przysiągł by, że już dosyć swemu urzędowi uczynił, o którym nic nie wié.

W takiém to „nabożeństwie urodziłem się i w niémem z młodości podobno do lat siedmnaście (ile baczyć mogę) nie leda jako wychowany i wyćwiczony był" (Odpis k. 136). O nowinki religijne w Poznaniu, gdzie tyle lutrów i braci czeskich około r. 1549 się przewijało, trudno nie było; przesiąkłego niemi może już tutaj Marcina widzimy w r. 1554 na uniwersytecie lipskim, gdzie się greki i hebrajszczyzny douczał, a niebawem z tylu innymi Polakami ministrem słowa bożego u księcia wojewody, Mikołaja Czarnego w Wilnie. Z Wilna wysłał go książę do szwajcarskich teologów w sprawie Blandraty; po drodze zetknął się Marcin z anabaptystami i wrócił na Litwę gorliwym nowochrzceńcem, jakim do końca życia pozostał. To wprawiło go natychmiast z kolegami wileńskimi, mianowicie z Wędrogowskim (Wędrychowskim zowie go Kojałowicz) w dysputy i spory; oskarżano go o nowochrzczeńskie zakusy, żądano, aby władza karami, i na ciele i na majątku, jego poskromiła. Lecz za życia Radziwiła, skłaniającego się osobiście ku skrajnym nowinkom, niczego się nie obawiał; owszem, cały spór obszernie wyłożył i racyami i Pismem św. zbijał chrzest niemowląt w dziełku p. t. „Trzech dni rozmowa o dzieciokrzczeństwie (między Chrystyaninem, Ewanielikiem i Papieżnikiem) i wotum i t. d. argumenta tesame wyłożył równocześnie i po łacinie; krążąc w odpisie; znalazły one kilku przychylnych czytelników i dopełniaczy; po latach,

na ich nalegania wydano je [1]). Dodał tylko wtedy (r. 1575) Czechowic ustęp, zwrócony przeciw nowym sekciarzom we własném, ponurzeńskiém gronie, odrzucającym i ponurzanie dorosłych jako znak, symbol zewnętrzny, nie potrzebny już dla odrodzonych na duchu (wedle nauki Socyna).

Śmierć Mikołaja Czarnego (1565 r.), stanowcza przewaga kalwinów w Wilnie zmusiła Czechowica do porzucenia urzędu i miasta. Udał się na Kujawy, gdzie w sędzi inowłocławskim, Janie Roliczu Niemojewskim, Walentym Brzezińskim (starszym, ojcu) i in. gorliwych znalazł adeptów; z Kujaw przeniósł się z nimi i innymi do Rakowa, a stamtąd r. 1574 do Lublina, gdzie, jako następca Stanisława Paklepki (po dłuższéj przerwie), do końca życia pozostał; o roli, jaką wtedy odegrał, jak w ogólném rozluźnieniu twardo stanął przy symbolach (ponurzania i wieczerzy św.), przy urzędzie ministrów, przy karności zborowéj, wspominaliśmy dawniéj. Do lat tych przejściowych należą z prac jego wierszowanych religijne pieśni wileńskie, jakie aryanie sobie upodobali, lecz potém rzucili i psalmów Kochanowskiego się jęli (wedle Wilkowskiego), dziś nieznane; daléj Sumaryusz wszystkiego Nowego Testamentu, bezimiennie (i bez wiedzy autora) r. 1570 wydany, wykładający „prostym wierszem" treść każdego rozdziału Ewangielii i Listów „dla łacniejszego rzeczy pojęcia i pamiętania".

Główną czynność literacką rozwinął Czechowic między rokiem 1575 a 1583-im; prasy nowego drukarza rakowskiego, Aleksego Rodeckiego, wytłaczały wtedy coraz nowe dzieła jego. Zaczął wydaniem owego łacińskiego spisu *(De erroribus* i t. d.); tegoż roku nastąpił obszerny katechizm polski, pierwszy systematyczny wykład nauki „aryańskiéj", i krótki łaciński [2]). „Rozmowy christianskie które z grec-

---

[1]) Książka polska zaginęła już od paruset lat; łacińska (*de paedobaptistarum errorum origine* i t. d., wydana r. 1575, przypisana Janowi Kiszce, jako jedynemu magnatowi — nowokrzczeńcowi) zachowała się zagranicą: dwa egzemplarze posiada np. biblioteka miejska gdańska. Otóż z przedmowy łacińskiego dzieła wiemy, że i tekst polski wyszedł nakładem tegoż Kiszki przed 1575 r., choć późno po napisaniu (1565 r.), ale na wielu miejscach przez niedbałość niektórych osób popsuty, przekręcony i zmieniony; że książka polska odkrywała i kilka innych makuł antykrystowych; że niemal jeszcze młodzieńcem o rzeczach tych z natchnienia bożego rozmyślać, a niebawem i pisać począł — prawdziwość słów zaświadczą, co go od 25 i więcéj lat znają. Rzeczywiście widzę z cytaty w *Chason emunah* (str. 86 wydania z r. 1873, o téj książce Izaka Trockiego zobacz niżéj), że w „Trzech dni rozmowie" zbijał Czechowic i naukę o Trójcy św. na kilkudziesięciu kartach (28 — 69).

[2]) Łaciński katechizm Czechowica zaginął od wieków — wiem o nim tylko z Neothebela, cytującego go nieraz, np. „Krystus *non merus homo* jako ty bluźnisz

kiego nazwiska dalogami zowią a ty je nazwać możesz wielkim katechizmem" i t. d. obejmują na 268 kartach *in quarto*, w trzynastu rozmowach między nauczycielem i uczniem, rozdzielonych na kilka dni, naukę wiary, o Bogu, głównie zaś o Chrystusie (rozmowa druga i następne) i t. d. Jak we wszystkich spisach aryańskich, ustępuje etyka, traktowana dosyć pobieżnie w dwunastéj rozmowie, dogmatyce, mianowicie Chrystologii, eschatologia (o rzeczach ostatecznych) niemal pominięta, tworzyła też ona zawsze najsłabszą stronę nauki aryańskiéj: wykład cały oparty wyłącznie na Piśmie św., ojcowie kościoła pominięci umyślnie, aby nie „alegować ludźmi", tylko w osobnym dodatku pomieszczone świadectwa niektórych o pierwotném chrześciaństwie, nie znającém miecza i nie parającém się rzeczami świeckiemi, tudzież kilka cytat z nowszych, z Erazma Roterdamczyka i in., na dowód, że to nie świéże wymysły. Poprzedza dzieło „List do wszech obec" Czechowica „zboreczku małego w Lublinie i około ministra", gdzie cieszy się z tego, że tak wielkie i zacne rzeczy „Bóg nam Polakom imo insze przedniejsze narody" użyczyć raczył, jakich nigdy jeszcze, od apostołów począwszy, „tak hojnie i tak znacznie ludziom mądrym i uczonym nie użyczał ani oznajmiał, czasów tych ostatecznych, a już prawie (t. j. całkiem) na schyłku będących". Dyalogi te nie wymyślone, lecz „co na rozmaitych synodziech bywało, o tych i o owych artykułach wiary naszéj, co się i w Bełżycach, przy czymeś i sam bywał (pisał po kilku latach Czechowic do żyda Jakuba), dziewało a gdzie indziéj więcéj tego było, a było i z nowemi zmyślonemi żydy i z waszemi obrzezanemi i w Lublinie z mnogiemi i gdzie indzie z drugiemi, chociaż osobliwie i tajemnie, którychem ja przez kilka lat gadki, zadawania i pytania w książeczki małe dla pamięci spisował i tym oto, dostawszy nieco czasu, porządnie potym wydał." Główna polemika „Ka-

---

w swoim małym łacińskim, jako i wielkim katechizmie polskim"; (tamże) Czechowic „swoim dumem" (wymysłem) pisze: *credo spiritum sanctum*, zamiast: *in spiritum*; jeszcze w Wilnie wydał (?) i nauczał Czechowic, wedle K. Wilkowskiego, inny katechizm „trójczacki". Polski zachował się w kilku egzemplarzach: najciekawszy berliński, na którym współczesna ręka po łacinie zanotowała (w tłómaczeniu): „Rok 1576-ty 28 marca książkę tę sam autor z Polski mi przysłał i darował, lecz jak Sofokles prawdziwie mówi „wrogów dary niedarne i niepożyteczne" (cytat po grecku), gdy bowiem wróg lściwie prawi i pod maską komiczną trajedję sprawuje, nie wiersz mu, bo siedm bezeczności kryje się w sercu jego (Salomon, przypow. 26). Walenty Brzeziński (młodszy, syn) z Lublina student oddał. „Zboru złych nie najrzę i z bezbożnymi nie będę siedział" (psalm 1). Będzie to A. Wolan lub inny kalwin z ministrów wileńskich. Inny egzemplarz posłał Czechowic Wojciechowi Niemojewskiemu, „jako samołówkę, abyś go osidlił" (Neothebel), lecz również nic nie wskórał.

techizmu" zwrócona téż nie przeciw „Trójczakom" (katolikom i protestantom), lecz przeciw żydom, prawdziwym, obrzezanym, i nowym, zmyślonym poganożydowinom; rozmowy, od piątéj do dziewiątéj, wyłącznie im poświęcone. Rozmowy te czytali ówcześni żydzi polscy; jeden z nich, Nachman, zwany Jakub, z Bełżyc, na nie odpisał, — porównaj dzieło (o 311 str. *in 4-to*) Czechowica z r. 1581 p. t. „Odpis Jakuba Żyda z Bełżyc na Dyalogi Marcina Czechowica, na który zaś odpowieda Jakubowi Żydowi tenże Marcin Czechowic"; pierwsze to znane polskie pismo żyda polskiego należy dokładniéj omówić. Skąd zawiązała się polemika z żydami?

Po r. 1570 rozszczepili się aryanie na nowo. Jedni, znacznie liczniejsi, zwalczając Trójcę i Przedwieczność Chrystusa, czcząc Człowieka, który stał się Bogiem, wiązali się tylko do Nowego Przymierza, zarzucali przepisy, ceremonie, literę Starego, konieczne przed Mesyaszem, zbędne, bo zastąpione duchem i odrodzeniem, po zejściu Mesyasza [1]). Drudzy, mniéj liczni ale konsekwentniejsi, uznając w Chrystusie tylko proroka, cofali się do starego zakonu, nie zniesionego, wiecznego, choć brakowali nieraz między przepisami, rozróżniając niezbędne i zbędne, taka np. wielka hetmanowa koronna i wojewodzina podolska, pani Elżbieta Mielecka, córka Mikołaja Radziwiła Czarnego, kalwinka z domu, potém aryanka, wreszcie zżydowiała, umiejąca biblię całą jakby na pamięć i dworująca sobie z księży i ministrów (aż ją jezuita, ks. Benedykt Herbest, z buty zsadził i na pokorną katoliczkę nawrócił). Zetknięcie tych nowych żydów ze starymi było nieuniknione: ułatwił je zaś ruch umysłowy, jaki między polskimi i litewskimi żydami właśnie wtedy zawrzał.

Żydzi ci, coraz znaczniejsi liczbą, dostatkami, wpływami, cieszący się o wiele korzystniejszém położeniem, aniżeli ich współwyznawcy na Zachodzie, do niedawna pracy umysłowéj ani znali, ani cenili. Dopiéro w XVI-ym wieku zbudziły się te martwe dotąd masy, i tu wytworzyła się ze wzrosłéj siły materyalnéj i z poczucia jedności, wiążącéj luźne przedtém kolonie i familie, wreszcie i siła umysłowa, zajęcie wiarą jako nauką, badanie jéj, i powtórzył się, w nieco odmiennych rozmiarach, proces średniowiecznego scholastycyzmu, takie samo rozumowanie nad szczegółami obrzędów i nauki, prowadzące do najdziwaczniejszych i najpotworniejszych kombinacyi, drobnostkowych wywo-

---

[1]) Np. „Pan Bełdowski przeszłéj wiosny u JMP. Jana Chodowskiego w Modlibożycach (na Kujawach), gdym mu z pism prorockich i z starego zakonu z strony krztu św. małych dziatek począł dowodzić, jawnie wyznał, że nam pry nic do starego zakonu i nic do proroków, dosyć mamy na Nowym Testamencie, który téż tylko a nic więcéj przy sobie niemiał" (Neothebel, Raphaelahi z r. 1581).

dów, sztucznych sylogizmów, imponujące nadmiarem wytężonéj pracy i zdumiewającéj zdolności, poświęcanych zagadnieniom niewdzięcznym i marnym. W XVI-ym wieku powstaje tak polsko-litewska szkoła talmudystów, ciesząca się przez dwa zgórą wieki wielkiém, niezaprzeczoném znaczeniem u spółwyznawców w kraju i zagranicą; w XVII-ym i XVIII-ym wieku zwężają się jéj widnokręgi, kostnieje i martwieje jéj metoda, zasycha jéj wiedza w absolutnéj jednostronności, niewidzącéj po za talmudem niczego; lecz zanim do tego zaniku przyszła, musiała w początkach swych odezwać się na owe rozbudzone życie religijne Zachodu i Polski; szczególnie wobec judaizującego ruchu między różnowiercami, występowali i żydzi ze swego odosobnienia, czytali łacińskie i polskie dzieła, wychodzili na dysputy w Krakowie, Lublinie i indziéj.

Tak zetknął się Czechowic zaraz po przybyciu do Lublina z Jakubem z (pobliskich) Bełżyc, potém i z innymi — widzieliśmy już, jak w katechizmie z nimi się liczył. Niestety, nie znalazł on godnego siebie zapaśnika; polemika byłaby daleko ciekawszą i cenniejszą, gdyby ją toczył np. z takim Izakiem z Trok, autorem owéj „Twierdzy wiary" (pisanéj r. 1593, dokończonéj przez Józefa ben Mordokhaja Malinowskiego).

Karaim Izak z Trok to szermierz innego zakroju, aniżeli Jakub z Bełżyc; spokojny, wyrozumiały, bystry znawca pism chrześciańskich, gorliwy czytelnik dzieł Paruty, Budnego i Czechowica, zajął w polemice o wiele dogodniejszą dla siebie, a niebezpieczniejszą dla przeciwnika pozycyę. Prędki, popędliwy, jednostronny Jakub z Bełżyc, rabanita, o chrześciaństwie i Chrystusie ani słyszéć chce, broni tylko Mojżesza i talmudu przeciw wszelkim zaczepkom, nie odpowiada téż na cały katechizm Czechowica, zadawala się w gruncie odpisem na jeden jego rozdział, piąty, aby udowodnić talmud jako z ustnéj tradycyi, od samego Mojżesza, żydom podany, sabat jako przepis wieczny, obrzezkę jako konieczną pieczęć przymierza boskiego. Izak natomiast broni nietylko Mojżesza i zakonu, lecz rzuca się na crześciaństwo samo, wykazując sprzeczności w dogmatyce i etyce, obalanie i zachowywanie Starego Przymierza naprzemiany, mylki Nowego Testamentu w cytowaniu i pojmowaniu Starego, sprzeczności między samymi ewangielistami, między Nowym Testamentem a nauką chrześcian (o Trójcy i t. d.), między etyką tychże a życiem ich i in. Co ciekawe i ważne, że z dzieła żyda litewskiego, wydanego w tłómaczeniu łacińskiém pod znaczącym tytułem „Ogniostrzały szatańskie" (r. 1681 i częściéj), czerpali pełną

ręką argumenty przeciw chrześciańs twu encyklopedyści XVIII-go wieku [1]).

„Odpis" Jakuba z Bełżyc przytacza Czechowic punkt po punkcie, dosłownie, skracając go tylko miejscami, i odpiéra obszernie każdy wywód. Język Jakuba twardy, niewyrobiony, ale czysty, miejscami poważny i, szczególniéj w pięknéj modlitwie wstępnéj, jakby natchniony; nadzwyczaj obrazowy, pełen alegoryi i przykładów wedle zwyczaju wschodniego, za to argumentacya jego słaba; widzimy niemal żżymającego się niecierpliwie żyda, przekonanego o wyłącznéj prawdziwości swéj wiary, a nieprawości przeciwnéj, posądzającego przeciwnika o zamiary uboczne, o wzniecanie nienawiści chrześcian przeciw żydom; trudno mu utrzymać się w spokojnym tonie, choć się o to stara i z góry o wybaczenie jakich obraźliwych słów prosi, nie „z przepychu abo

---

[1]) Nie Izak Trocki zebrał pierwszy te sprzeczności; miał on poprzedników właśnie między judaizantami polskimi, głównie może w Danielu Bieleńskim, co to 139 „niezgód" w N. T. wyliczył; z nim Czechowic w Dyalogach ciągle polemizuje, choć go po imieniu nie nazywa („od jednego nieobrzezanego nowego poganożydowina, a wielkiego odmieńca zebrane", l. 147; „wedle słów, których Herst ich przedniejszy w katechizmie swym używa", l. 97); w Odpisie wymienia go nieraz, np. „z ziemkami swoimi (żydami), którzy ono Daniela, nowego żyda i z wielą inszych uczniów, bez obrzezki przyjmowali, nie nucąc ich i z nim do obrzezki, byle tylko szabatu przystrzegali", str. 285. D a n i e l B i e l i ń s k i, niegdyś kalwiński minister, broniący z Czechowicem na synodzie skrzyńskim (1567 r.) przedwieczności Chrystusa, potém żyd, wrócił około 1575 r. napowrót do kalwinów. Budny w katechizmie (r. 1576) nieraz go wspomina, np. „Bieliński, który niedawno od Epikurstwa do Trójczaków znowu rzkomo przystał w Wyznaniu swém, które im kwoli napisał, inszą na sercu trzyma, inszą pisze"; lub „Daniel Apostata, niektóry nie obrzezany żyd, zawiódszy w żydowskie sprosne błędy mnóstwo wartogłowów i prostych ludzi, odbieżał ich i do Trójczaków się udał, ten téż w swych bluźnierstwach przygania Pawłowi i t. d."; lub „nie to by mieli Trójczacy z swoimi Bieleńskimi, farbowanymi Lucjany, przywodzić." Z pism Daniela korzystali przeciw aryanom i katolicy, np. ks. Powodowski w Wędzidle, któremu Bieleński, aryan „wyśpiegowawszy, światu lepiéj pokazał", wyliczając u nich w księgach swych „Odwołania" (*Retractiones*, łacińskie), nie dwie, jak Czechowic twierdzi, „ale mnóstwo sekt, godnych powrozów, klozej i czegoś gorszego." Ciekawy ten człowiek nawet z nazwiska bibliografom naszym zupełnie nieznany; dotąd samych dzieł jego nie odszukaliśmy. Pamięć o nim trwała dosyć długo, pisze np. Chrząstowski w Obronie dyalogu 1619 r.: „nie onże Daniel na ten czas był starszym tego synodu (w Krakowie), który iż był *mixti fori*, napoły żydem i chrześcianinem, pamiętam z młodu co o nim mówiono za króla Stefana, bo rezydował w Krakowie, potym w Wilnie, tego w wielu excesiech i w żydowstwie wytykano, ba i wyrzucono, aż się wpraszał i błąkał tam i sam; był tym ludziom (aryanom) wielkim nieprzyjacielem, bo mu prawdę mówili" (str. 72). — Sprzeczności te zbiérano zresztą już i przed Bieleńskim, lecz aby je godzić, nie aby z nich kuć strzały przeciw Ewangielii i chrześciaństwu.

z gniewu jakiego (mówię je), jedno przyczytaj mi to za niedoskonałość rozumu, abo nie wyćwiczeniu w języku polskim, ale zaprawdę, zaprawdę, iż otworzyście z tobą mówię." Lecz mowa ani otworzysta, ani narabia, jak się z początku obowiązywała, samém Pismem św.; dwie próbki stylu i polszczyzny Jakuba, o przyczynach, dlaczego żydzi nieporządnie dysputując w mowę się wrywają, i o potwarzy co do morderstw rytualnych, dadzą pojęcie o całości:

„Gdy krześcjanin mówi żydowi, że każdy żyd pójdzie na potępienie wieczne, tedy mu téż jakoby wziął i odjął wszytko dufanie jego i w czym pokłada swoje wszytkie pociechy. Bo nie mamy na tym świecie żadnéj rozkoszy, jako w państwie tak w używaniu rzeczy rozkosznych, jedno zawżdy w strachu a w przelęknieniu i buzowaniu i jesteśmy i w łupiestwie abo karaniu okrutnym czasów swych bywałych były. Wtóra przyczyna, która się mnie samemu często przytrafiała, iż gdy mi krześcjanin zadał co z pisma, a ja mu téż także odpowiadał z pisma i dowodziłem tego słusznie, tedy ten krześcjanin..... wnet wyrwał i insze miejsce, mówiąc: jako tam rozumiész, niedokończywszy szczyrze pirwszéj rzeczy, na czym by miało stanąć, własnym przykładem, jako kiedy charci zająca mało nie dościgają, tedy się umknie z téj drogi na ścieżkę i oni charci na téj ścieżce chcąc uchwycić, on się zaś w chróst im zemknie... tym się dzieje, iż się żyd w rzecz jego wrywa w połowicę, bojąc się, żeby mu się nie zemknął jako zając, domówiwszy swéj rzeczy, a przeto go chwyta w puł rzeczy jego."

„Pierwsza („podeszwa" prócz Pisma św. dowodząca prawdy żydowskiéj), iż krześcjanie mówią i wielką wiarę w tym swą pokładają, iż żydowie potrzebują krwie krześcjańskiéj i chleba waszego św. i przez tego żydowie nie mogą być [1]). A ja wiedząc to, iż nam na tym krzywdę czynią, nietylko w uczynności, ale i w pomyśleniu tego u nas niemasz. A gdy ja tę pewność mam i każdy żyd — ztąd słabiéć musi wiara krześcjańska."

Czechowic oczekiwał innéj szermierki; wychodząc z proroctw o Mesyaszu, dowodził w dyalogach, że się proroctwa te w Chrystusie spełniły i zakon stary, zewnętrzny „pozwierzchowny" ustał; niezadowolenie z obrotu, jaki Jakub dyspucie nadał, przebija jawnie. Argumen-

---

[1]) Czechowic nie wierzy, „żeby krwie wszytkim żydom potrzeba było dla jakiego oczyścienia, abo i tego tam papieskiego opłatka — błąd to i wymysł. Ale czarnoksiężnicy niektórzy człowieczéj krwie potrzebują, a ci się i miedzy żydy najdują i więcéj ich niż gdzie indziéj... wierząc temu, że tą nauką czarty zaklinać Salomon wynalazł. Tedy mniemam, iż z téj przyczyny musiało to mnimanie o powszechnym was żydów oczyścianiu urość."

tów za i przeciw talmudowi, szabatowi i obrzezce nie myślimy stresz-
czać, wydobywamy tylko kilka szczegółów dla folkloru żydowskiego.
Nie będziemy powtarzać owych bajek o mesyaszu, przebywającym
w raju lub między żebrakami w Rzymie, o czarnoksięskiéj mocy Chry-
stusa, jakiéj się z ksiąg Salomonowych wyuczył, i karze, jaka od Boga
żydów potkała, że Jego i apostołów rychléj nie zabili, o królach próbu-
jących prawdziwéj wiary, o zwiedzeniu króla rzymskiego przez dyabła,
że żydom szabatu i t. d. dozwolił (motyw powtarza się dokładnie w na-
szych bajkach ludowych); zwracamy raczéj uwagę na przesądy zjawia-
jące się i u ludu naszego, np. pyta Czechowic (str. 98) „ono wylewanie
wody z domu tego, gdzie kto umarł i z inszych sąsiedzkich dla Malea-
chahamut, t. j. dla anioła śmierci, któryby miecz swój omyć miał w wo-
dzie zabiwszy człowieka, skąd macie? takżeć ono przez siedm nocy pa-
lenie świéce na onym miejscu, gdzie umarły był, dla dusze, która się
wraca żałować rozstania się swego z ciałem?" Ale i u nas wyléwają
wodę z naczyń za umarłym i wierzą w krążenie duszy około ciała
i mieszkania. Wylicza Czechowic i inne „błędy": „gdy izby swe w koło
kretą okryślacie, zagradzając tym okryślenim wszemu nieszczęściu, aby
się do domów waszych nie wkradło .. w krecianym sznurze ufacie"; że
żydzi nie grzeszą, gdyż co noc udają się dusze ich do Jehowy i wraca-
ją wyspowiadane rano do ciał; „one maszkary i komedye, które na
święto Purim na wasze zapusty stroicie, ubiérając chłopstwo w biało-
głowskie szaty"; wyrzuca owe *tfilim* i *mezura*, kładzione na czoło, ra-
miona i w podwoje, owe *dzidzith* zawieszone u podołków, przedłuża-
jące żywotu i nie dopuszczające grzechu; wreszcie owe zwoje perga-
minowe tory, sprawiane co roku, czczone ukłonami i całowane, gdy je
z szaf wyjmują, obwieszane klejnotami, szczególniéj w uroczystsze świę-
ta; „ono wasze dokupowanie się tego, żebyście je w zgromadzeniu swym
podnosili, czém téż goście częstujecie, gdy podkupiwszy drugiego go-
ściowi, chcąc się mu zachować, wstąpić wzgórę i podnosić dajecie."
Skarży się na ów „nieporządek w waszych schadzkach poranniejszych
i odwieczornych, gdzie każdy swe prowadzi, a co rychléj z swoimi się
modlitwami zwyczajnemi pośpiesza, jeden z drugim to i owo rozmawia-
jąc, a podczas się tamże zaraz niedokończywszy zaczętego nabożeń-
stwa wadząc." Wytyka, jak się „dla jednego kwartnika długo targu-
jecie, przysięgając się, *haj adonaj* mówiąc". Tak zakończyła się pole-
mika chrystjańsko-żydowska; hebrajskie dzieło Izaka Trockiego „*chry-
stjan*" nie doszło; sekta judaizantów między nimi rychło upadła, nie
przeszła do XVII wieku.

Po obszernym katechizmie należało dać zborowym ewangielię pol-
ską; Budnego tłómaczenia nie zadawalały i dla osoby tłómacza, podej-

rzanego o judaizm i dla stylu, a raczéj słów niezwykłych; wydał więc Czechowic r. 1577 (i powtórzył, w mniejszym formacie, dla łacniejszego nabywania, r. 1594) Nowy Testament, posługując się wykładem biblii brzeskiéj; lecz i to nie obeszło się bez skarg i wyrzutów niezadowolonych zborowych i autora samego; również o wydanie Zwierciadłka panienek chrystjańskich (r. 1582), z nauką o Bogu i naszych powinnościach, strofowano autora (wedle K. Wilkowskiego).

Dyalogi Czechowica, szerzone i po za kółkami „ponurzeńców", sprowadziły na głowę jego gromy, zarówno ze strony protestanckiéj jak i katolickiéj. Zaczepił go najpierw minister słowa bożego w Modlibożycach (przy panu Seb. Osieckim), Walenty Neothebel (z Lipska na Mazowszu rodem), dziełkiem p. t. „*Raphaelahi*, t. j. lekarstwo boże, żydom tak dawnego jako i dzisiejszego wieku ich podobnym, t. j. nowokrczeńcom, bardzo pożyteczne" (r. 1581). Zebrał on „w jeden snopek sto kwiateczków Pisma św.", cytat, dowodzących Trójcy i przedwieczności, lecz bukiecik ten miał zapowiadać większy upominek; z pióra kolegi, Piotra Łowicyusza „obiecujęć, że go będziesz miał z kaszel, toć moja tylko drobionka, ale to tam gnaciste będą sztuki, bój się więc udawić, ja téż tymczasem więcéj do kuchni twojéj mogę rębić" -- w podobnym tonie wojuje Neothebel z „panem" Czechowicem, „umykaj się tu Marciszku z swoim mistrzem Samoszatanusem i z onym harcerzem Errianem", przekręcając umyślnie te nazwy — „szkoda, że Czechowicowi Marcin dzieją, lepiéj by Tomasz, gdy zgoła wierzyć nie dopuści" i t. p. Poważniéj wystąpił ksiądz Paweł Gilowski, zwalczając w „Wykładzie katechizmu" (r. 1579) nowokrzczeńców; na wezwanie p. Stan. Taszyckiego z Lucławic odpowiedział Czechowic („Rozsądek na Wykład katechizmu" i t. d., r. 1581), zwracając się przeciw niektórym punktom nauki i metody Gilowskiego, głównie znowu w Chrystologii.

O wiele ostrzéj wystąpili katolicy. Ksiądz kanonik poznański, Hieronim Powodowski, bawiąc jako deputat duchowny na sądach w Lublinie, czytając Dyalogi, widząc jawną śmiałość Czechowica i jego adeptów, zawrzał wielkim gniewem i począł w kazaniach bronić nauki o prymacie rzymskim i in. i wyzywać na dysputę. Do dysputy z Czechowicem nie przyszło, tylko z Janem Niemojewskim ściérał się kanonik o prymat; dowiedziawszy się zaś, że Niemojewski zwycięstwem się chlubi, naglony o to i przez prymasa, Karnkowskiego, wydał kazania lubelskie w obszerniejszéj, gruntowniejszéj redakcyi p. t. „Wędzidło na sprośne błędy a bluźnierstwa nowych aryanów" (1582 r., ciąg dalszy téj materyi wyszedł 1588 r.); ton nadzwyczaj obraźliwy; Czechowica stale „bestyą" nazywa i t. p. Odpowiedzieli aryanie; Jan

Niemojewski w „Obronie przeciw niesprawiedliwemu obwinieniu“ i t. d. (r. 1583), spokojnie i poważnie; Czechowic w *Epistomium* (t. j. kagańcu) na wędzidło i t. d., 1583 r.

Przedmowa, jaką Paweł Orzechowski, podczaszy chełmski z Drouska, zameczku ojczystego, *Epistomium* Janowi Zamoyskiemu ofiaruje, należy do najpiękniejszych pomników polszczyzny XVI wieku; napisał ją Czechowic, styl zdradza go wyraźnie. Zamoyski przysłał był „Wędzidło” Orzechowskiemu, żeby się do wiary przodków łacniéj nawrócił i już dawniéj odsyłał go do ojców kościoła. Orzechowski objaśnia, dlaczego w zawikłanych i wielomównych ich „patresach” nie smakuje; wspomina, że pomawiają Zamoyskiego o zakusy gwałtownego nawracania inowierców (chociaż to mu się potwarzą wydaje) i zapewnia, że i daléj na wzgardzonéj od świata, ciasnéj ścieżce słowa Bożego, „z krzyżem jako mogąc, by téż i na bałuku (na czworakach) wlec się będzie.” Obszerne dzieło dowodzi najpierw, że prześladowanie „kacerzy” — Powodowski przeciw nim „powróz, miecz i ogień do ręku (Batoremu w przedmowie) z przynaglanim ostrym podawając, a jako mówią czapkę na kołek zawiesiwszy, to przedsię z siebie składa” — rzecz nie chrześciańska; uczy o Bogu i Chrystusie; wykłada rzecz o antykryście przeciw Rzymowi; są to te same materye, co i w „Obronie” Niemojewskiego. Ton Czechowica cechują już słowa zdrobniałe, mówi o żądostkach serduszka, o zboreczku i t. d.; zapewnia, że i oni (aryanie) przedtém w swym nierozumie niecierpliwość i gniéw okazywali, lecz nie teraz „po postanowieniu i zamknieniu rządu i karności między nami”; że jednak mimo tych zapewniań i oni „nie dają sobie grać na gębie i kołów ciosać na szyjach”, dowodzi całe dzieło, pełne wycieczek przeciw Powodowskiemu, księży i praktykom rzymskim. Przytaczamy jedną obszerniejszą, by dać pojęcie o tonie całości i stylu Czechowica, wpadającego z prozy w ulubione wiersze:

„I radbym temu, żeby mi to JM. z apostoła, którego pokazał, co mówi, iż ta ich katolicka wiara zawżdy była od apostołów, a na imię, niech z apostołów pokaże sól i wodę, którąby też oni czarowali; kędy ogień w wielką sobotę czarując palili, jajca, słoninę, prosięta, jagnięta, koźlęta, kołacze żegnali? gdzie też popioł, wirzbinę, rokicinę, zioła rozliczne, owies, wino, piwo, świéce kréślali, zaklinali i czarty z nich wyganiali? Omyli się na tym, żeby to z nich pokazać miał. Co iż wszystko katolika rzymska czyni i nadto co więcéj, a z jakąż się śmiałością z tymi grubymi chwastami do apostołów odzywać i onym się ich zborem zakładać?... Nuż jeszcze, tak li się apostołowie rządzili, jako się rządzą papiescy przegoleńcy, apostolskim się zakładając imieniem? Ganili-li małżeństwo i onego się odprzysięgali, fortę do wszeteczeństwa

otwarzając? Bawili-li się bałwochwalstwem i bałwochwalniami? Zasadzali-li odpuszczenie grzechów na budowaniu kościołów, kaplic, dzwonnic, krzesnic i ołtarzów? Lali-li téż dzwony i ony, jakoby ludźmi miały być wiernymi, krzcili? Ubiérali-li się tak w rozmaite kosztowne choboty do nabożeństwa i tak-li do ludu lada co, trzy po trzy, obcym językiem mówili? Tak-li téż relikwiami papieskimi i ekzorcyzmami abo zaklinanim czarnoksięskim czarty wyganiali?... Abo co wżdy nam takiego pokaże (ksiądz Powodowski) prawdziwie i skutecznie, w czym by przy apostołach trwali i w czym ich naśladowali? Jeśliby rzekł w bierzmowaniu i spowiedzi, tego nie pokaże, bo ksiądz mówi: *pax tecum*, gdy kogo bierzmuje, mówi mu: pokój z tobą, a wżdy policzkuje. Spowieda téż złoczyńcę, z grzechów rozwięzuje a przedsię mu wnet potym kat ręce zwięzuje. Rozgrzesza i chorego, niebo obiecuje, Piotrowi go i inszym przyjąć roskazuje, tusząc mu, iż poń przyjdą wszyscy święci z nieba, a iż mu się mąk żadnych obawiać nie trzeba, ażci go zaś po śmierci tka w ogień czyscowy, chcąc by go wykupiły pozostałe głowy. Prosi téż i za umarłym, stojąc z nim przy grobie, żeby w nim mógł trup jego odpoczywać sobie, a wżdy zaś w krótkiéj chwili wyrzuca go z niego, gdy kto potym zapłaci ono miejsce jego i t. d.

Wybiéramy jeszcze jeden ustęp przeciw praktykom rzymskim, świadczący wymownie o ludziach i czasach. We wielki piątek przed drewnem (krzyżem) „a przytym i przed jajcami zaraz, którymi go pospolicie niewiastki i chłopkowie okładają, padają na kolana i gdzie się komu dostanie, całują” (we Figlikach Reja żarty na ten temat, np. Chłopa w skrzyni rytego w kościół wszrotowali, Skło mu w piersi wprawiwszy zmartwywstaniem zwali, kobiéty okładały go gomółkami, jajcy, Machna całować nie chciała i t. d.; potym się w nocy wyga, pies, za formą zakradła, zjadła jajca i t. d.); papieżnicy pomnażają ciągle swe błędy, „jedni béczkami paciorki z Rzymu i z innymi relikwiami wożą, drudzy agnusy, serduszka, roszenia, *tria grana* pannam i paniam na szyjach i u ręku zawieszają, a drudzy wiersze zmarłemu Hozjuszowi (r. 1579) piszą, onego umarłego, jakoby Bogiem miał być, wzywają, Polskę w opiekę (chociaż niebył z rodu Polak) jako ojczyznę zlecają i wiele tych rzeczy od umarłego zebrzą, których i żyjący nie miał, że strach i mówić... Nie tylko Marcina (św.) tkają do młyna, aby w dzień swój młynarzom robić nie dał, ale im palce i cewy łamał, jeśliby się robić od godziny do godziny ważyli (bom umyślnie chodził sam do młyna z p. I. Olbieckim i o tom się pytał i tak młynarz zeznał, że to i od ojca swego, młynarza, słychał, iż się im koła łamały, kiedy się dnia tego robić ważyli), ale też i o oczy do Otyliej, o ogień do Wawrzyńca, o zęby do Apoloniej, o naukę do Katarzyny, o kaduk

do Walentego". W *Epistomium* powołuje Czechowic inne własne dzieła, np. *Respons* (przeciw dwójbożaninowi, dwójczakowi St. Farnowskiemu, rozrywającemu świéżo ukléconą zgodę lucławicką, r. 1581) i, niezachowany nam, Rozsądek tego, co o zwierzchności trzymamy i wierzymy (jak ją po Bogu i Chrystusie ważymy i do Boga za nią modlimy, chociaż się sami w to, co nam nie służy, nie wdawamy i braciéj się swojéj wdawać nie radzimy, obowiązani więcéj słuchać Boga, niż ludzi); inne rzeczy, np. „osobne książki na kapitułę i Janowę... Bóg to wié dla czyjéj przyczyny jeszcze w kącie leżą"; również nie znamy osobnych jego książek, „napisanych o usługowaniu zborowym" (Dyalogi k. 181).

Czechowic stanął wtedy u szczytu znaczenia i wpływu; co świątki (zielone) nawiedzali spółwiercy „rabina lubelskiego, herezyarchę, papieża nurzałowskiego", jak przeciwnicy szydzili; głosu jego słuchano chętnie; w polemice i dysputach jego na czele stawiano. I rzeczywiście górował on w małopolskim zborze nad innymi wiedzą i talentem; ówczesne „trzy języki" znał dobrze, choć łacinie jego brakło ozdoby stylu cycerońskiego, jakiéj zresztą prawdziwy protestant nie cenił ani szukał. Polszczyzna jego, wolna od dyalektycznego zabarwienia zupełnie, nosi przecież jakieś cechy miejskiéj mowy (przysłowia gminne, nie rycerskie; porównania trywialne, warsztatowe; nie sadzi się na wyższy styl, używa chętnie tych samych zwrotów; ale miejscami nabrzmiéwa poważną melodyą pieśni religijnéj, rozlewa się uroczyście i sprawia jeszcze dziś nie małe wrażenie; prostotą, przejrzystością okupuje autor brak głębokości i bystrości, sprzeczności i chwiejności, jakie jego wykład różnych miejsc Pisma św. albo tych samych miejsc w różnych czasach objawia [1]). Zalety Czechowica występują najwidoczniéj w ustępach retorycznych, np. w owych przedmowach do Dyalogów, Rozsądku i *Epistomium;* jeśli wedle nich sądzić wolno, to kazania jego musiały niechybnie wzruszać i przejmować słuchaczów.

---

[1]) Np. wedle ew. Mat. 2, 22, mieszkał Jezus w Nazarecie „aby się wypełniło to, co powiedziano było przez proroki, iże Nazarejczykiem nazwan będzie" (Mesyasz)—lecz w prorokach niéma takiéj przepowiedni. Otóż Czechowic (Dyalogi k. 144) usuwa tę trudność tak: Nadzarejczyk i Nadzaret miasto idzie od słówka Nedzer „kwiatek, młoda rószczka" a prorocy pospolicie kwiatkowi abo latorośli Mesyasza przypodobywali—tedy Jezus Nadzarejczykiem od kwiatka a nie od onych Nazarejczyków, co włosów niestrzygli, nazwany był.., jakoż gdym téż sam o tym niedawno z żydem jednym uczonym mówił, tedy nietylko na tém przestał, ale téż to wyrozumienie pochwalił i t. d. Izak Trocki „wyrozumienie" to pominął, i słusznie, milczeniem, choć „trudność" tę parę razy wytykał. Sprzeczności w wykładzie Czechowica wymienia np. K. Wilkowski.

Polepszyła się teraz i materyalna sytuacya i zdrowie Czechowica. Prócz urzędu i książek, doglądał on pilnie gospodarstwa i dworku podlubelskiego — już choćby dla tego, że aryanie rakowscy kiedyś (około 1570 r.) wszelką pracę umysłową odrzucali i wyłącznie z pracy rąk żyć i jéj oddawać się za Ewangelią uczyli, może pod wpływem takich myśli zajmowało go chwilowo i tokarstwo („tu w Lublinie mi się mistrz trafiał, który mi je pokazać usiłował i naczynia nadawał"—mówi o sobie w *Epistomium*), lecz się go przecież nie wyuczył. Pojawił się dostatek, wnosiły go żony, szlachcianki, jakich dwie pochował; miał, przeciw woli zborowych, i w trzeci związek małżeński wstąpić. Z wszystkiego tego szydził przeciwnik; czy takim był żywot Chrystusa, którego wy rzkomo naśladujecie? „wszakeś ty był przedtym chudym dzwonnikiem w Zbąszyniu, a teraz i szlachciankę masz za żonę... widziałem, kiedy cię w rydwanach i na karetach dobrze usłanych wożono... ty będąc ubogim kleszką, z poddaństwa uciekszy, panemeś został, pieniędzy na lichwę dajesz i w lichwie mieszkasz, wiele inszych, i Niemojewskiego, do ubóstwa przywodzisz, aż się u ciebie starzec ubogi żywić musi, partekę chleba u ciebie wyrabiając... jam widział, ciebie siedzącego za rozkosznym stołem między niewiastami, tyjącego jako wieprza, alec i żona twoja nie bardzo od głodu schudła... widział, kiedyś świniom swoim parzył... jakoś ty Bachusowy żarłoku wyżarł majętność ubogiego Niemojewskiego... tak, że i on drugi dziad Brzeziński, któregoś ty na wieczerzach wyjadł, teraz głodu przymiéra... ...i w Zbąszyniu jeszcze twoje niecnoty, któreś sam pobroił, śmierdzą. a teraz na starość i przez skórę śmierdzisz, tym plugastwem i niemogli cię twoji nurkowie na starość od niewiasty odwieść, pojąłeś śmierdzący dziadu szlachciankę przeciw wolej wszystkich nurków ...jeszcze naraj męża onéj wdowie lubelskiéj, Krokierowéj, która często u ciebie na wieczerzy odwieczór bywa, niewiem w który obyczaj i t. d."

Lecz lata brały swoje; powoli ścieśniały się czynność i znaczenie; prace literackie ustawały. W dziewięćdziesiątych latach wyszły tylko dwie broszury przeciw Wujkowi, broniącemu Trójcy św., i ganiącemu wykład Nowego Testamentu, p. t. Wujek t. j. krótki odpis i t. d. (1590) i Plastr na wydanie N. T. przez ks. I. Wujka (1594, ma być 1597); na Plastr odpowiedzieli jezuici, Recepta na plastr Czechowica przez Szczęsnego Zębrowskiego (1597); z broszury téj właśnie wyżéj korzystaliśmy. Ton jéj, nawet i na te czasy, okropnie ostry i obraźliwy—nie ceremoniowano się już z heretykami; zwroty jak „piekielny kruku", „morderzu ciał i dusz ludzkich", „że cię czarci za te bluźnierstwa do tego czasu nie wzięli, to oni czynią, że się boją, abyś ich tymi słowy tak jadowitymi nie wyswarzył z piekła, ale czekają, aż się tu

wyszczekasz wyswarzysz i wyszalejesz, tożci dopiero dadzą miejsce między sobą" i podobne powtarzają się ciągle. Szczególniéj tryumfowali katolicy z dziwnego przypadku, jaki się trafił był Czechowicowi w lubelskiéj dysputacyi z jezuitą Jostem: dysputując o władzy Piotra św., tym się był Czechowic zaklął, aby go Bóg niemotą skarał, jeśliby fałsze forytował, i wszyscy rzekli amen—on zaś niebawem rzeczywiście oniemiał, nawet nurek, Erazm Otwinowski, opisując wierszami tę dysputę, przyznał:

Lecz on potym rzekszy to, Niewiem, co się dzieje,
Że tak mówić niemogę, język jakoś mdleje.

Szczególniéj tracił Czechowic wpływ na dorastające pokolenie aryańskie; musiał tu ustępować Socynowi, przewyższającemu go wiedzą i talentem, bystrością i obrotnością, ogładą i taktem; uporne trzymanie się znaków powierzchownych, symbolów, aby bez nich zbór w pogaństwo nie popadł, odbierało mu resztę powagi i miru. Nie następowano na niego jawnie, póki żył ceniony powszechnie Niemojewski, najgorliwszy jego zwolennik; lecz ze śmiercią tegoż (r. 1598) runął ostatni filar Czechowica; tego samego roku jeszcze usunięto go, pewnie pod pokrywką starości, z ministeryum lubelskiego, polecając je Lubienieckiemu i Szmalcowi. Ujmowali się inni za Czechowicem i dłuższy czas walczył szczególniéj Szmalc z uprzedzeniem ich i niechęcią, nim je pokonał. Tak przeżył Czechowic siebie samego; do końca wytrwał przy swém zdaniu, podobnie jak inny rówieśnik, Farnowski, dogorywający samotnie w Sączu—obaj jedyni pozostali z owego szeregu pierwszych antitrynitarzy polskich. Lecz osobistéj niechęci przeciw Socynowi i Lubienieckiemu nie przeniósł Czechowic na zbór; blizki śmierci — umarł w listopadzie 1613 r., licząc lat osiemdziesiąt jeden — jeszcze nawoływał i tych co przy nim wytrwali, by Zboru Małego (aryańskiego) nigdy nie rzucali [1]).

A. Brückner.

---

[1]) Nie usłuchali najbliżsi, własne potomstwo; pisze o tém A. Chrząstowski w Obronie dyalogu r. 1619, str. 44. „Co z strony potomków pana Czechowicowych, że się do zboru ewangelickiego udali, bogdaj się we wszystkiem jako trzeba nauce Zbawicielowéj nadali, aleć ja lepiéj o tém wiem, niż waszmość wszyscy: coś inego, nie ociec, im tam drogę ukazał, podobno trochę przestrzeńsze życie, a też nie wszyscy się tam do was udali".



ANGLIA SPOŁECZNA.

Social England. A record of the progress of the people, by various writers. Edsted by H. D. Traill. London, 1894 — 97. Casnell et C — 6 vol in 8-o.

Mnożą się w piśmiennictwie angielskiém wydawnictwa dzieł zbiorowych, przechodzących swym planem i zakresem siły jednego autora. Pomiędzy temi, którémi rok zeszły będzie miał prawo się szczycić, wymienić należy przedewszystkiém *Social England* p. H. D. Traill. Jest to historya społeczności angielskiéj od jéj brzasku aż do ostatniego dziesięciolecia. Rozpoczęte w r. 1894, wydawnictwo to doprowadzone zostało do szczęśliwego końca przez ogłoszenie niedawno szóstego tomu. Jak tytuł zapowiada, nie jest to historya królów, ani bitew, ani wypadków politycznych, pisana podług zwykłéj reguły, ale kronika rozwoju społecznego w dziedzinie religii, prawa, nauki, sztuk, przemysłu, handlu, literatury i obyczajów. Osnowa dzieła odpowiada całkowicie temu programowi i przynosi chlubę wydawcy, p. H. D. Traill'i wszystkim uczonym, których wezwał do współpracownictwa, a którzy stanowią kwiat uniwersyteckiego świata i inteligencyi krajowéj. Wspólnemi siłami dokonali oni całkiem nowego, jedynego, jeżeli się nie mylimy, przedsięwzięcia w piśmiennictwie uropejskiém. Powinno ono wywołać naśladownictwo w innych krajach. Zdaje nam się właściwém pomówić o niém szczegółowo.

Nie brakowało Anglii w naszém stuleciu wielkich historyków. Za Gibbonem, który datą swéj śmierci należy do XVIII wieku, ale swym wpływem do naszego, spotykamy — ażeby wymienić jedynie najpopu-

larniejszych—takich historyków, jak H. T. Buckle, Jerzy Grote, Tomasz Carlyle, Lord Macaulay, E. A. Freman, J. A. Froude, J. R. Green, a pomiędzy żyjącymi W. E. Lecky i Sam. R. Gardiner. Co za świetna konstelacya talentów, co za szerokie pole badań i dociekań, ile światła rzuconego na przeszłość, ile pracy, ile mozołu! A fizyognomia każdego z tych historyków odmienna i różnice pomiędzy sposobem w jaki pojmowali oni zadanie swoje—uderzające. Na pierwszy rzut oka zdawaćby się mogło, że jeżeli nie wszyscy to przynajmniéj niektórzy z tych rozgłośnych pisarzy, w ocenie których krytyka wyczerpała swe pochwały, znaleźli ostateczną metodę, jak historyę pisać należy, że stworzyli typ nieśmiertelny, na którym wzorować się następnym czasom wypadnie.

A otóż właśnie rzeczy stoją inaczéj. Owi słynni historycy dnia wczorajszego należą już do przeszłości. Są i będą czytani długo jeszcze, o tém nie wątpimy, ale dla literackich swych zalet. Natomiast dla społeczeństwa w jego życiowéj całości, dla masy narodu ich piękne księgi będą się coraz bardziéj stawać księgami sybillińskiemi. Nie mogąc napotkać w nich tego, o co téj wielkiéj publiczności przedewszystkiém idzie, mianowicie wszechstronnego obrazu rozwoju społeczeństwa, wyłuszczenia procesu organicznego, którego my sami jesteśmy ostatnim wytworem, przechodzą obok ich uczonych badań albo błyskotliwéj syntezy z coraz większą obojętnością. Skutkiem takiéj zmiany punktu widzenia, owe wspaniałe utwory historyków robią na nas wrażenie zapylonéj galeryi antenatów. My chcemy, ażeby historya stała się istotnie mistrzynią życia, a nie znajdując w podawanéj dotychczas strawie dostatecznéj karmi, zmuszeni jesteśmy przygotować sobie inną o mniéj wybujałych ambicyach, ale dokładnie naszym potrzebom odpowiadającą.

Nie ma przesady w tém, co mówimy o zblednięciu sławy potężnych historyków wczorajszych. Byłoby okrucieństwem rozwodzić się nad stanowiskiem, jakie dzisiaj przyznawane jest Buckle'owi. Ale zmiana zapatrywania jest więcéj jeszcze uderzająca, gdy się bierze pod uwagę takich koryfeuszów, jak Macaulay, jak Carlyle, jak Froude.

Macaulay, ów pisarz, ktorego poczytność i popularność na rodzimym gruncie odbiła się wnet echem w całym świecie cywilizowanym, wysławiany jako genialny historyk, czémże jest dzisiaj? Krytyka jednozgodnie — a stało się to świeżo w ocenie najpoważniejszego z jéj arystarchów, Fryderyka Harrisona—przyznaje mu wartość jako interesującemu essayiście, ale o jego wartości jako historyka wyraża się surowo. Wyrzucają mu jego płytki optymizm, jego ślizgającą się powierzchowność, sprowadzenie dziejów do prostego narzędzia, służącego

polityce jednego stronnictwa, whigów; utrzymują, że nie ma w nim ani źdźbła myśliciela i filozofa, że nie podejrzéwa on nawet znaczenia zagadnień socyalnych. Nie historyę miał pisać, ale romans, na przelotném spojrzeniu w dokumenta historyczne osnuty. Nie smakują już nawet teraz w jego literackiéj formie, którą sobie był utorował drogę do sympatyi powszechnéj i wytykają mu pompatyczną frazeologię, deklamacyę adwokacką na zimno, nadużywanie antytezy i t. d.

A z Carlylem, z mędrcem z Chelsea, z pisarzem, co miał wpłynąć więcéj, niż którykolwiek inny, na wytworzenie się nowego pokolenia umysłowego, co się z nim stało, jako z historykiem! W niespełna dwadzieścia lat po jego śmierci nic już z dwóch jego wielkich dzieł historycznych nie zostało. „Fryderyk Wielki” i „Historya Rewolucy Francuskiéj” uważane są jako pamflety podyktowane mizantropowii cierpiącemu na wątrobę przez stronnicze namiętności. A co do trzecie, go jego dzieła historycznego, poświęconego Cromwellowi, to powiedziano o niém dowcipnie, że jest to poprostu szczęśliwy wypadek geniuszu!

Skoro dwie tak olbrzymie reputacye runęły, to dziwić się nie ma powodu, że Froude, który poświęcił 20 lat życia i 12 tomów historyi reformacyi w Anglii, w któréj starał się udowodnić, że królowa Elżbieta była pospolitą wcale kobiétą, a za to Henryk VIII wielkością pierwszego kalibru, nie ma powodu się dziwić, powiadamy, że taki Froude traktowany jest jako humorysta, jako przedstawiciel paradoksu podniesionego do wysokości systemu.

O Lecky'm i o Gardinerze, jako żyjących nie można jeszcze wydawać ostatecznego sądu. Ostatni przez swą benedyktyńską pracowitość i sumienność w każdym razie budzić musi podziw. On téż więcéj niż wyżéj wymienieni znajduje się w pokrewieństwie duchowém z prądami dnia dzisiejszego. Jedyny za to historyk, który wyszedł zwycięsko z tego szturmu, zabójczego dla reputacyi wczorajszych wielkości, jest J. R. Green. Jego 8-tomowa historya Anglii, któréj pierwsza edycya wyszła przed dwudziestu laty, a szczególniéj jéj popularne skrócenie pod tyt.: „Krótka historya narodu angielskiego”, obie doprowadzone przez autora do 1815 roku, lepiéj niż jakiekolwiek inne dzieło odpowiedziały potrzebom czytającéj publiczności. Po raz pierwszy życie społeczeństwa w rozmaitych swych fazach i postaciach zbadane zostało gruntownie i przedstawione w swym pochodzie historycznym bez lekceważenia żadnego z czynników, które dawniejszym pisarzom nie zdawały się zasługiwać na zaszczyt nawet pobieżnéj wzmianki. Nadzwyczajne powodzenie, jakie ta praca znalazła, było wskazówką, że punkt widzenia społeczny uległ zmianie radykalnéj, że owe biografi-

czne szczegóły wydatnych działaczy, że obrazy bitew i wypraw mniéj mają wartości w oczach dzisiejszych pokoleń, aniżeli zrozumienie organizacyi społecznéj w kolejnych epokach i jéj postęp ku ostatecznéj emancypacyi. Nie dziwota, że od czasu jak J. R. Green wskazał drogę, wielu historyków puściło się nią. Ostatnim utworem przykrojonym podług tego wzoru jest historya angielska p. W. H. S. Aubrey, w trzech tomach pod tyt.: „Wzrost i rozwój narodu angielskiego." Jest to kompilacya tylko i praca z drugiéj ręki, ale rozpowszechnienie znalazła szerokie i stała się popularnym podręcznikiem, szczególniéj dzięki temu, że autor doprowadza czytelnika aż do dnia dzisiejszego.

Można tedy powiedziéć, że cała atmosfera intelektualna, całe środowisko chwili obecnéj poddawały p. Traill taki a nie inny plan, gdy zamierzył wydać historyę Anglii: musiała ona być społeczną Anglią przedewszystkiém a potém dopiéro polityczną, dyplomatyczną, wojskową i t. d. Plan ten wyłuszczony jest jasno i systematycznie we wstępie. Gdybyśmy nie wiedzieli, jak wysokie stanowisko Traill zajmuje w piśmiennictwie angielskiém, jak wielostronna jest jego działalność jako krytyka, biografa, historyka, essayisty, jakiéj reputacyi używa wśród kół inteligencyi, jak rzutkim i otwartym jest jego umysł, to już sam jeden plan téj „Anglii społecznéj" byłby w stanie dać o nim pochlebną opinię i on téż pozwala zrozumiéć, że tak znakomite grono współpracowników stanęło odrazu około niego.

„Pierwsze i najprostsze pojęcie, jakie sobie tworzymy o historyi jakiegokolwiek narodu—powiada p. H. D. Traill na wstępie—musi być pojęcie o nim, jako o społeczności, t. j. o indywiduach stowarzyszonych zrazu dla wzajemnego podtrzymywania się w walce z wrażémi siłami natury i dla wspólnych korzyści w nabywaniu i rozdziale produktów. Ale to stowarzyszenie wytwarza samo przez się prawa i obowiązki; z praw i obowiązków powstają ustawy i rząd, a z nich polityka, z wzajemnego zaś oddziaływania jednéj na drugą przychodzimy do szerokiego pojęcia państwa pomiędzy innemi państwami". Nie polityką i nie organizacyą państwową chce się on zajmować, ale społeczeństwem samém, ową pierwotną podstawą całéj dalszéj budowy. Ale natychmiast zastrzega się przed wszelką wyłącznością i jednostronnością, gdyż jest oczywistém, że ustrój prawno-polityczny, tak samo jak międzynarodowe położenie państwa oddziaływać muszą na społeczeństwo samo. Kwestya sprowadza się więc do umieszczenia każdego z wchodzących w grę czynników na przynależném sobie miejscu. Z epicznych wyżyn historya zejść powinna do gospodarskiego obrachunku, nie zapominając, że na to gospodarstwo wywiérają wpływ i oddalone okoliczności.

Ale nie dość jest oderwać się od despotyzmu wypadków politycznych i wyodrębnić, odosobnić fakty ściśle natury społecznéj, to jest takie, które się odnoszą do moralnego, umysłowego i materyalnego rozwoju społeczeństwa, trzeba wiedziéć, w jaki sposób te ostatnie rozpatrywane być winny, czy całościowo, czy częściowo, szczegół po szczególe. Pierwsza metoda przemawia do imaginacyi przez syntetyczny obraz, który maluje, — druga pozwala ściśléj uchwycić przedmiot i dojść do wyników pozytywniejszych. Tę drugą obrał p. Traill i jego współpracownicy, chociaż pociąga za sobą niedogodność przerywania wątka opowieści i ewentualnego powtarzania się; ale są to usterki drugorzędne w porównaniu z korzyściami, jakie ona daje.

Społeczną historyę swoją rozpatrują autorowie w siedmiu oddzielnych działach, mianowicie organizacyi cywilnéj, religii, oświaty i wiedzy, literatury, sztuki, handlu i przemysłu, obyczajów. Nie da się zaprzeczyć, że takie rozgatunkowanie przedmiotu jest trafne i że go wyczerpuje. Znając gruntownie rozwój społeczeństwa angielskiego w każdym z tych działów, będzie się znało całą jego dziejową ewolucyę. Nie potrzebuje wydawca długo usprawiedliwiać swego wyboru, którego słuszność bije w oczy. Uprzedza atoli, że dział pierwszy, poświęcony organizacyi cywilnéj społeczeństwa, będzie obejmował, obok głównych wypadków politycznych, rozwój instytucyi administracyjnych, w których się wyraża życie jego. Co do drugiego, poświęconego religii, okazało się niezbędném nie tracić nigdy z oczu potrójnego zapatrywania się na nią, jako na wiarę, na obrządki kościelne i na dyscyplinę. Dopóki trwała jedność Kościoła, nie było potrzeby traktować każdego z tych poddziałów odrębnie, ale stało się to niezbędném od epoki reformacyi, a następnie rozpadnięcia się protestantyzmu na rozmaite sekty. W dziale trzecim, poświęconym oświacie i wiedzy, we wcześniejszych epokach rozwoju narodowego, są to pojęcia nieledwie identyczne; oczywista, że im bardziéj zbliżamy się ku naszym czasom, tém większa staje się konieczność traktowania każdego z tych czynników odpowiednio do wpływu, jaki wywierał na organizacyę społeczną. To samo da się powiedziéć o dziale czwartym, poświęconym piśmiennictwu. Są oddalone epoki, w których jest ono jednoznaczne z oświatą i wiedzą ścisłą, ale niebawem rozgraniczenie ich i samodzielne istnienie literatury nie ulega już wątpliwości. W piątym dziale, traktującym o sztuce, długo będzie mowa prawie wyłącznie o architekturze, i to architekturze religijnéj; malarstwo, rzeźba występują dopiéro na scenę znacznie późniéj. Gdy w szóstym — autorowie biorą pod uwagę handel i przemysł, to są uprawnieni z początku do traktowania pod jedną rubryką rolnictwa i przemysłu, ale następnie nietylko że roz-

dzielone być muszą, ale nawet sam handel roztrząsać wypada odrębnie wewnętrzny, odrębnie zagraniczny. Najoryginalniéj w tym programacie zapowiada się dział ostatni, poświęcony zwyczajom i obyczajom. Mamy tu do czynienia z pierwiastkami pozbawionemi ścisłości, lekceważonemi dotąd przez historyków i trudnemi istotnie do ujęcia. Znajdują się one w bezpośredniéj zależności od religii, od oświaty, od stanu przemysłu; ale są, rzec można, ostatnim rezultatem życia społecznego, wykładnikiem cywilizacyi w danéj chwili dziejowéj. Rozdziały tu się odnoszące wywołały najżywszy interes u publiczności i najwięcéj się przyczyniły do powodzenia „Historyi" społecznéj.

Już z tak nakréślonego planu można sobie zrobić przybliżone wyobrażenie, czém ma być to dzieło. P. Traill uważał jednak za właściwe objaśnić z góry, jaki duch przewodniczy każdemu z tych rozmaitych względów, pod jakiemi społeczność angielska jest tam rozpatrywana. A nie jest to przezorność zbyteczna, bo rozmaite wątpliwości rodzić się mogą w umyśle czytelnika. Co może znaczyć np. „Organizacya cywilna"—pojęcie zrozumiałe w społeczeństwie rozwiniętém, cywilizowaném, gdy je zastosować przyjdzie do pierwszéj epoki zbiorowego bytu, przed wylądowaniem rzymskich legionów Cezara na 55 lat przed narodzeniem Chrystusa. Niezawodnie w oczach historyków dawniejszych społeczny byt owych hord barbarzyńskich nie posiadał najmniejszego znaczenia i traktowali oni tę dzicz pogardliwie. Ale obecnie pogląd taki ustąpił miejsca innemu, wręcz przeciwnemu. Wiemy już, że czterowiekowa okupacya Anglii przez Rzymian była tylko epizodem efemerycznym w rozwoju mieszkańców tego kraju, że przed tą inwazyą zbrojną zdarzały się inne, które rzuciły pierwsze ziarna organizacyi społecznéj, i że owa organizacya brytańsko-celtycka, po ustąpieniu Rzymian, podniosła się natychmiast, jak się podnoszą kłosy po przejściu uraganu, niepołamane. Okupacya rzymska zostawiła po sobie więcéj śladów materyalnych, zewnętrznych, aniżeli tych, co się w ustroju społecznym objawiają. Brytanie nie przyswoili sobie administracyjnego systemu swych władzców, a inwazya normańska siódmego stulecia, znalazłszy na gruncie angielskim pokrewne swéj cywilizacyi pierwiastki, nie napotkała przeszkód do prowadzenia daléj pasma organizacyi narodowéj. I cały jéj przebieg historyczny jesteśmy dziś w stanie, dzięki wielu dokonanym poszukiwaniom, zrozumiéć w jego logicznéj ewolucyi.

Mniéj dowodów wymaga wykazanie ścisłego związku i potężnego wpływu religii na życie społeczne, uderzać on musi każdego. P. Traill przypomina atoli, wśród jak odrębnych okoliczności walczyło w Anglii pogaństwo z chrześciaństwem i jak się utworzył ów kościół anglikań-

ski, istniejący już dwanaście wieków i zléwający się z istotą narodu. Starcie w XII-ém stuleciu pomiędzy kościołem a koroną co do przewagi kościelnéj albo państwowéj powagi i jurysdykcyi może być uważane za przegrywkę do reformacyi. Całe dalsze losy społeczeństwa angielskiego zarysowały się od chwili przyjęcia protestantyzmu i owiania go duchem purytanizmu. Chociaż jego wpływ i znaczenie nie jest dziś tak potężne, jak przed dwoma wiekami, to byłoby błędem nie do darowania utrzymywać, że społeczeństwo angielskie wyswobodziło się odeń. Bynajmniéj. Charakter narodu i jego działalność w wielkich, tak samo jak w podrzędniejszych sprawach, jest ciągle jeszcze nawskroś przesiąkły doktrynami kościoła narodowego. Nacisk silny, jaki na to kładzie wydawca, znajduje swe usprawiedliwienie w toku dzieła.

Mówiąc o oświacie i naukach ścisłych ze stanowiska ich oddziaływania na społeczeństwo, p. Traill przypomina, że w dawnych stadyach rozwojowych płynęły one za pośrednictwem kościoła. Pierwszym zwiastunem ich emancypacyi było założenie uniwersytetów: chociaż znajdowały się w ręku duchowieństwa, zakłady te rozwijały się niezależnie od niego, co się wszelako dopiéro z biegiem czasu całkowicie wykazać miało. Dłużéj, niż na stałym lądzie, trwało w Anglii panowanie scholastycyzmu, bo późniéj przedarło się do niéj światło promieniejące od renesansu. Uosobieniem nowego ducha, co wtedy tchnął w społeczeństwo, jest Roger Bacon, który uważał siebie za odnowiciela nauk ścisłych, wytknął wprawdzie metodę opiérającą się na zasadzie doświadczalności, ale mniéj posunął wiedzę sam, aniżeli przyczynił się do otworzenia na roścież jéj podwojów dla swych następców. Harvey i Sydenham, Boyle i Gilbert, Locke i Hobbes, a przedewszystkiém Izaak Newton — oto ci następcy, a instytucya *Royal Society* nigdy już pochodni wiedzy zgasnąć nie pozwoliła. Mimo jałowego dla wiedzy wieku XVIII-go, jego schyłek pokazuje już żywą działalność na wszech jéj zagonach, a nasze stulecie przez szereg nieprawdopodobnych prawie odkryć i wynalazków, przez odkrycie nowych sił w przyrodzie, przez prace w dziedzinie fizyki, chemii, przez wyzyskanie elektryczności, a nakoniec postawieniem przez Karola Darwina teoryi ewolucyi pchnęło wiedzę na całkiem nowe gościńce i pozwoliło jednym skokiem wznieść się społeczeństwu na wyżyny oświaty, prawie niemarzone.

Kreśląc zarys, w jakim literatura traktowana będzie, autor zwraca uwagę, że w jéj początkach nie wystarcza zajmować się samym rozwojem myśli, jak to miało miejsce z religią, oświatą albo filozofią, lecz że tu jeszcze uwzględniony musi być inny pierwszéj wagi czynnik, mianowicie język. W żadnym kraju tworzenie się języka nie odbywało się

wśród tylu sprzecznych żywiołów i prądów. To stopniowe ,klarowanie i ustalanie się języka, którym niezadługo połowa ludzkości mówić będzie, trwało sześć wieków od VII do XIV. Nic ciekawszego, jak drugi rozdział tomu pierwszego, gdzie czytelnik znajdzie obraz tego przekształcenia się i ostatecznego urabiania języka. Takie analizy i te, które poświęcone są następnie epokom przejściowym, na zewnątrz martwym i jałowym, ale przygotowującym właśnie w swém łonie rozkwit przyszłości, mają dla historyka większe znaczenie, aniżeli obraz epok krystalizujących się w jednéj górującéj osobistości, jak Chaucer'a albo Shakespeare'a. Właśnie przez to poświęcenie szczególnéj uwagi peryodom przejściowym, zazwyczaj wzgardliwie pomijanym, p. Traill i jego współpracownicy udowodnili, jaki wysubtelniony zmysł historyczny posiadają.

Jakkolwiek odrębne są jedna od drugiéj dziedzina sztuki pięknéj i dziedzina przemysłu i handlu, jakkolwiek pierwsza należy do sfery duchowéj rozwoju narodowego, a druga do materyalnéj, to spostrzegamy pewną jednakowość myśli przewodniéj, która w ich ocenie narzuca się umysłowi autorów obecnéj „Historyi". Gdy się zajmują sztuką, muszą wytłómaczyć, jak się stało, że społeczność angielska przez cały szereg wieków znała tylko jedną jéj formę — architekturę — i że chociaż renesans zawitał na jéj ziemię późniéj, niż do innych krajów, zdążyła ona w ciągu ostatniego stulecia nietylko przez jeden olbrzymi wysiłek wynagrodzić czas stracony, ale stworzyć oryginalną szkołę narodową, zabłysnąć mnóstwem wielkich artystów i dzieł genialnych. Taki skok od zacofania, od nicości, od próżni do pełnego, samodzielnego rozkwitu jest unikatem. Ale właśnie coś podobnego miało miejsce także co do przemysłu i handlu. I tu angielska społeczność zależała pole, dała się wyprzedzić innym narodom, i tu nie zdawała się zdolną do zwalczenia wielu przyrodzonych przeszkód. Kraj ubogi, o nędznem rolnictwie, nie posiadający przemysłu, nie umiejący nawet budować okrętów gdy już inne narody posiadały pokaźne floty, bez kolonii aż do czasów Elżbiety, naraz naród ów, wyczerpany domowemi i ościennemi wojnami, krzepnie, odradza się, rzuca się do wszelkiego rodzaju wytwórczości, rozwija jedną gałąź przemysłu po drugiéj, zawiązuje stosunki handlowe z całym światem, zwiedza kulę ziemską, pokrywa swemi koloniami jéj powierzchnię, wytwarza marynarkę kupiecką i wojskową jakich świat nie znał przedtém i staje się nietylko emporyum dla handlu wszechświatowego, ale i najbogatszym z narodów. Taki prozaiczny przedmiot, jak handel i przemysł, gdy go bierze pod uwagę historyk angielski, wydaje się powieścią fantastyczną, czarodziejską. Podług staroświeckich przesądów, ta tylko dziatwa na zdro-

wych wyrastała ludzi, która w dzieciństwie rosła tępo, powolnie i przechodziła rozmaite choroby. Byt Anglii wskazuje tak samo pod względem artystycznym, jak i ekonomicznym, właśnie takie prawo rozwojowe.

Wyżéj już zwrócona była uwaga, że najoryginalniejszą i najponętniejszą częścią téj „Historyi" jest ta, która jest poświęcona przekształceniu się i rozwojowi obyczajów. W wyłuszczaniu planu p. Traill nie kładzie zbytecznego nacisku na zmianę ich stopniową wskutek podniesienia materyalnego poziomu życia: zmiany ich na lepsze udowadniać nie potrzeba. Ale zaspakajającym wynikiem jego spostrzeżeń musi być to, które stawia jako aksyomat stopniowe oczyszczanie się, uszlachetnianie, uduchowienie się życia społecznego. Nietylko nazewnątrz, ale i w swém wnętrzu staje się społeczność bardziéj wyrafinowaną. Dusza Anglika XIX-go stulecia jest odmienna od téj, którą posiadali jego przodkowie wieku XI-go. Tak jak sposób życia, sfera zapatrywania, *criterium* moralne tych dawniejszych pokoleń wprawia nas w żdziwienie i wywołuje nieraz uśmiéch politowania, tak samo, nie ma wątpliwości, postąpią względem dzisiejszéj społeczności oddalone prawnuki; ale można być pewnym, że i oni dojrzéć potrafią różnicę cywilizacyi, jaka dzieli pewne epoki rozwojowe. Im głębiéj sięgają badania historyczne, tém dobitniéj występuje na jaw ta prawda, iż pomimo chwilowych i pozornych momentów zastoju, albo cofania się wstecz, ludzkość idzie bez ustanku naprzód i naprzód. Historya społeczna Anglii przynosi do uzmysłowienia téj prawdy mnóstwo niezbitych dowodów.

Moglibyśmy, po tak drobiazgowém streszczeniu wstępu, w którym plan przedsięwzięcia szeroko i podniośle zakreślony został, złożyć sprawozdawcze pióro i zadanie nasze o tyle dokonaném-by zostało, że czytelnik o ważności dzieła mógłby być przeświadczony. Oczywista, że nie można się porywać ani na krytykę, ani nawet na sąd ogółowy o dziele, które jest niejako encyklopedyą, dziele podjętém przez kilkudziesięciu pisarzy, z których każdy jest w swéj specyalności znakomitością. Nie można właśnie ze względu na osobistości autorów nazwać téj historyi społecznéj—kompilacyą. Współpracownicy przynieśli do niéj, że tak powiemy, kwintesencyę swych uprzednich, nieraz długoletnich i mozolnych badań własnych. Jest to najdoskonalsze *vade mecum* do dziejów cywilizacyi angielskiéj i prawdopodobnie służyć będzie więcéj jako książka, do któréj oderwanych tomów i rozdziałów odwoływać się będzie masa pracowników umysłowych, aniżeli jako opowiadanie historyczne, które się jednym tchem czyta od początku do końca. Będzie ono oddawało te same usługi zajmującym się stosunkami angielskiemi, ja-

kie dla powszechnych oddaje *l'Histoire Genérale* pp. Lavisse i Rambaud, i plan nawet jest pokrewny. Wyższość, jaką zdaje nam się posiadać dzieło wydane przez p. Traill'a, leży nietylko w tém, że historya, ograniczając się do jednego kraju, ściśléj obejmuje przedmiot, ale i w tém, że każda część narodowego życia traktowana jest przez ludzi, którzy badaniu jéj poświęcili swą działalność wyłączną. Biorąc tego rodzaju książkę do ręki, jest się z góry przygotowanym na to, że nić logicznego opowiadania co chwila się przerywa, że mogą się znaléść powtarzania, że w niektórych szczegółach i informacyach autorowie różnić się mogą co do drugorzędnych punktów, ale tego rodzaju usterki znikają wobec usług, jakie oddaje całość. Gdy przyjdzie jakiemu pisarzowi ochota dać syntetyczny obraz cywilizacyi angielskiéj, wystarczy mu rozebrać te opłotki, zburzyć te kopce graniczne, które współpracownicy „Historyi społecznéj Anglii" wznieśli, a ujrzy odrazu swą pracę już przygotowaną. Tak jak wodewilista francuski pisał naprzód sztukę, a następnie, podług naiwnego swego zeznania dodawał do niéj dowcipy, tak i ten przyszły historyk cywilizacyi angielskiéj nie będzie potrzebował dodać do tego dzieła nic więcéj, jak szumne frazesy i historyozoficzne ogólniki. Powinszować można epoce naszéj, że smakuje w potrawie bez takiéj przyprawy.

Autorami pierwszego rozdziału, noszącego tytuł „Anglia przed Anglikami", są historycy epoki celtyckiéj, jak Owen Edwards, i epoki rzymskiéj, jak F. T. Richards (obaj profesorowie oksfordzcy), są duchowni, jak Rew. Williams, który szkicuje przejście z poganizmu do chrześciaństwa, są wojskowi, którzy jak pułkownik Cooper-King zapoznają nas z organizacyą militarną téj wojowniczéj epoki, archeologowie i sztukoznawcy, jak R. Hughes i t. d. Tylko co zmarły P. H. Newman, brat kardynała, traktuje w tym pierwszym rozdziale życie społeczne, t. j. tę część, która stanowi indywidualne piętno tego dzieła. Mówi o panujących w téj epoce zwyczajach przy małżeństwie, pogrzebie, o stosunku jednych klas towarzyskich do drugich, o sposobie wychowywania dzieci etc. Na końcu każdego rozdziału wymienione są prace źródłowe i dzieła specyalne, odnoszące się do przedmiotów w nim traktowanych, ich literatura i bibliografia.

Niepodobna iść krok w krok za każdym z następnych rozdziałów téj historyi. Już w drugim znajdujemy osobny ustęp, poświęcony zdrowiu publicznemu w epoce władzy rzymskiéj, przedmiotowi, którego nie byliby się tknęli historycy dawniejszego autoramentu, ci sami, którzy nam nie szczędzili najdrobniejszych wypadków, odnoszących się do bitew i najazdów. P. Newman szerzéj się tu rozpisuje o życiu domowém, o zwierzętach folwarcznych, o poligamii, o zmianach, jakie

nawracanie się Anglii na chrześciaństwo wprowadza w ujednostajnieniu życia, opisuje sprzęty, ubiór, pożywienie, zabawy ówczesnego społeczeństwa. Tak scharakteryzowane przestaje być abstrakcyą nieuchwytną, i zaczynamy czuć interes do tego dalekiego świata, w którym spostrzegamy ludzi z ciała i kości.

Tom pierwszy zawiéra jeszcze dwa rozdziały, jeden obejmujący epokę od Wilhelma Zdobywcy do *Magna Charta*, a drugi obejmujący panowanie Henryka III-go, zaznaczone powstaniem parlamentu. Nawet te olbrzymie wypadki, co kładą fundamenta dla całego bytu narodowego i publicznego dawnéj Anglii, nie tłumią społecznego rozwoju, którego obraz kréśli nam w części pióro p. Creightona, a w części samego wydawcy. Widzimy Londyn wzrastający, kościół stający się silną organizacyą, mamy opisy turniejów, minstrelów, muzyki, poezyi, a przez opis szkół, przez pierwsze zaczątki literatury zdajemy sobie sprawę z umysłowego poziomu ówczesnéj masy.

Jak łatwo zrozumiéć, im daléj posuwa się ten obraz historyczny, tém zadanie autorów staje się trudniejszém, gdyż życie narodowe przestaje miéć pierwotną swą prostotę, a wprowadzając do siebie rozmaite nowe czynniki, robi się bardziéj skomplikowane. Trzeba było wycinać poręby w tym gęstym lesie, aby się w nim nie zabłąkać. I tak tom drugi obejmuje cały okres od wejścia na tron Edwarda I-go do śmierci Henryka VII-go, t. j. rdzeń wieków średnich, gdyż z pierwszemi latami XVI-go stulecia znajdujemy się już istotnie u progu nowożytnéj Anglii. Dla podołania zadaniu p. Traill przybrał sobie nowych współpracowników, między którymi pierwsze miejsce trzyma p. F. W. Maitland, słynny profesor prawa w uniwersytecie w Cambridge. Udział jego i kilku innych poważnych osobistości naukowych téj wszechnicy jest najlepszym dowodem uznania, jakie znalazło odrazu to wydawnictwo: nie chciano, aby zmonopolizował je Oksford. Dla postronnego czytelnika może fakt ten nie miéć znaczenia: tu na miejscu znamy odrębność ducha, cechującego każde z tych dwóch ognisk oświaty. Liberalny nastrój i śmiałość poszukiwań, odznaczających Cambridge, musiał tylko korzystnie oddziałać na „Historyę społeczną Anglii", łącząc się z prawowiernością i tradycyonalizmem Oksfordu. Jest niezmiernie wiele ciekawych ustępów i monograficznych obrazów w tym drugim tomie. Zaliczyć do nich trzeba przedewszystkiém zarys wzrostu i rozwoju procedury sądowéj. Owo prawo zwyczajowe, stanowiące niezaprzeczenie jedną z oryginalności ustroju publicznego angielskiego, wytwarzało się stopniowo i gdy p. Maitland spostrzega w niém potężną rękojmię swobody indywidualnéj i korporacyjnéj przeciwko nadużyciom i despotyzmowi władzy centralnéj, a humór, z jakim opisuje wykręty, do których

się uciekali sędziowie, aby pogodzić swoją religię nakazującą miłosierdzie z surowością prawa, nie ubliża bynajmniéj powadze dzieła; nie brakuje też żadnego ogniwa w łańcuchu, którym obejmuje organizacyę takich instytucyi, jak adwokatura, fidei-komisy i t. d. Społeczne życie owych czasów odzwierciedla się przedziwnie w wielu rozstrzelonych rysach. Do takich zaliczyć można np. charakterystykę lekarzy i terapeutyki wieków średnich. Leki, otrzymane tradycyjnie od doktorów bizantyjskich, zadawane były choremu przy uroczystych ceremoniałach, odmawianiu pacierzy, śpiewaniu hymnów etc. Medycyna oddawała się pod skrzydło kościoła. Kościół i uniwersytety — oto dwie instytucye średniowiecznego społeczeństwa hierarchicznego, przez które soki demokratyczne sączyć się zaczynały, choć na pozór wydawało się, iż je tłumią. Wychowańcami uniwersytetów i członkami duchowieństwa zostawali ludzie, nie liczący się do klas uprzywilejowanych. Szczegółowy opis uniwersytetów pióra p. Blakistone nie zostawia nic do życzenia. Gościnność okazywana profesorom różnych narodowości, co było łatwe przy wyłączném używaniu języka łacińskiego w wykładach, pozwala już wtedy przeczuć kosmopolityczną neutralność wiedzy. Wtargnięcie Dominikanów i Franciszkanów do Oksfordu w XIII wieku i stanowisko zajęte względem nich przez władze uniwersyteckie ma w sobie interes dramatyczny.

Trzeci tom zamyka się śmiercią kr. Elżbiety w r. 1603-im. Przy obfitości źródeł i monografii do téj najciekawszéj epoki w dziejach Anglii, trudno było spodziéwać się, żeby nam „Historya społeczna” wiele nowego przyniosła. A przecież tak jest istotnie. Nigdy jeszcze, czytając dzieje Anglii, nie czuliśmy tak dotykalnie jak tutaj, że w epoce Elżbiety rozpoczyna się nowa era cywilizacyjna, że z innym mamy do czynienia światem. Nie Anglia to już, ale Wielka Brytania. Ostatni rozdział tego tomu, noszący ten sam tytuł, co słynne dzieło prof. Seeley'a *Expansion of England*, potrafił być samodzielnym, choć kroczy po udeptanym szlaku. Nie przesądza przyszłości, ale czyni zrozumiałém, że takie nadzwyczajne rozbudzenie wszechstronnéj działalności, taki nadmiar życia musiał skruszyć na wewnątrz spruchniałe karby średniowiecznego świata, a na zewnątrz popchnąć społeczność na dalekie gościńce.

Obraz piśmiennictwa epoki Elżbiety skréślił p. Jerzy Saintsbury, znany jego historyk. Jakiekolwiek mogą być jego zasługi, żałować należy, że to nie sam p. Traill wziął ten dział na siebie. Znajdujemy tu też pełno szczegółów o trybie życia ówczesnym, a rozdział, który p. Fletcher poświęca obrazowi życia po miastach w epoce Tudorów, a panna M. Bateson zwyczajom i obyczajom towarzyskim za Elżbiety,

posiadają nadzwyczajny interes i rzucają jaskrawe światło na wewnętrzny ustrój i zewnętrzny wygląd Anglii w epoce odrodzenia. Ale najwydatniejszemi w téj części dzieła są prace, w których profesor J. E. Syms zajmuje się przesileniem ekonomiczném, a p. Hewius pauperyzmem i okolicznościami towarzyszącemi powstaniu prawa o biédnych, prawa, co zaszczepiło w państwowym organizmie angielskim zaród socyalizmu z ramienia władzy centralnéj, który w reszcie Europy pojawił się znacznie późniéj i miał się rozwijać całkiém inaczéj. Mamy tu i cenę artykułów żywności, i wysokość zarobku klas robotniczych, i sposoby zaspakajania wszelkich potrzeb materyalnych masy społecznéj odpowiednio do zajmowanego przez nie miejsca w powszechnym organizmie: cały ustrój ekonomiczny społeczeństwa daje nam klucz i do reformatorskich jego usiłowań na wewnątrz i do potężnego prądu, co je parł ku zewnętrznym wyprawom. W tym dziale „Historya" ta odpowiada coraz wybitniéj swemu zadaniu w miarę, jak posuwa się daléj.

Tom czwarty kréśli epokę Stuartów, wojny domowéj, ustanowienia rzeczypospolitéj, a raczéj protektoratu kromwelowskiego i zamyka się śmiercią królowéj Anny w roku 1714-ym. Oddziaływanie tych szybkich przeistoczeń i gwałtownych przewrotów politycznych na życie społeczeństwa dostarczyło pisarzom materyału nietylko obfitego, ale, rzec można, zbyt obfitego. Pokazuje się to w pewnéj siekaninie działów i szkicowaniu raczéj, aniżeli opracowywaniu rozmaitych gałęzi bytu społecznego. Na specyalne wyróżnienie zasługują w tym tomie studya p. Hutton nad walką religijną z jéj reakcyą anglikańską, purytanizmem i sekciarstwem. Im głębiéj wnikają współczesne prace w naturę rewolucyi angielskiéj, tém jaśniéj uwidocznia się prawda, że była ona daleko bardziéj fermentem religijnym, aniżeli politycznym. Różne części obecnéj „Historyi" stają stanowczo na tym samym gruncie. P. Jerzy Saintsbury w ocenie literatury XVII-go stulecia wskazuje jéj przeciwieństwo do poprzedzającego je peryodu: o ile tamten był tryumfem poezyi, o tyle ten oddaje zwierzchnictwo prozie, która aż do końca XVIII go stulecia dzierżyć je będzie, a wiadomo z jakim blaskiem, z jaką wielostronnością i z jak potężnym wpływem na podnoszenie cywilizacyjnego poziomu społeczeństwa. Kreśląc obraz życia społecznego, nic dziwnego, że panna M. Bateson podniosła rolę kobiéty, zaczątki jéj samodzielnego działania naprzód w sferze filantropii, a niebawem i innych. Zagadnienie, które wydawało się źle poinformowanym dopiéro wczorajszém, pokazuje nam, w świetle historycznych poszukiwań, swe korzenie sięgające rewolucyjnéj téj epoki.

Piąty tom prowadzi „Historyę społeczności angielskiéj" od wstąpienia na tron dynastyi hanowerskiéj aż do bitwy pod Waterloo, obejmuje zatém ów wiek XVIII, który historya wielu pisarzy angielskich przedstawiała zwykle jako wiek upadku moralnego, rozkładu i zgnilizny. Jest rzeczą naturalną, że światłe umysły, które w tym dziale są nam przewodnikami, nie popadły w taki błąd i nie ma jednego ustępu w téj części, gdzieby nie złożone było świadectwo przyczynku, jaki wiek ten przyniósł do zdobyczy cywilizacyi i postępu narodowego. Bezwątpienia pierwsza połowa tego stulecia pokazuje pewne obniżenie ideałów społecznych, przeważają troski o dobrobyt materyalny, ale tłómaczy się to nietylko reakcyą po wielkich przewrotach poprzedniego okresu rewolucyjnego, ale i potrzebą dostrojenia właściwych środków do coraz szerzéj uczuwanych potrzeb ekonomicznych. P. Prothero i Tomasz Warner pokazują postępy uczynione w dziedzinie rolnictwa, przemysłu i handlu. Przy wzrastającym dobrobycie zwiększa się także duch niezależności społecznéj i pomiędzy innemi pokazuje się to także w trudnościach, jakie napotyka rząd w nałożeniu na ogół ciężarów podatkowych. Szerokie zasługi położone przez Walpole'a dla ekonomicznego postępu kraju wyświecone zostały przez Smitha ze sprawiedliwością, któréj nie okazali temu mężowi stanu jego dawniejsi biografowie. Ta przewaga interesów materyalnych u społeczeństwa idąc w parze z upodleniem i wycofaniem się kościoła ze społecznéj służby odbiła się, jak sobie wyobrazić łatwo, na obyczajach i moralności publicznéj. Przykład szedł z góry i ludzie, jak król Jerzy I i II, nie mogli się do ich oczyszczenia przyczynić. Dwór królowéj Karoliny przedstawiony jest przez pannę Bateson w barwach jaskrawych. Nietylko wyraz, ale nawet samo pojęcie „*shocking*" nie istniało jeszcze wówczas! P. Traill nieco daléj pokazuje, jak to zgnuśnienie i zastój moralności ustępuje miejsca w drugiéj połowie wieku pod wpływem wiedzy i piśmiennictwa nowéj i gorączkowéj działalności. Dreszcz humanizmu wstrząsa organizmem społecznym. Losy biédnych i wydziedziczonych warstw narodu, więźniów, niewolników zaczynają zaprzątać uwagę powszechną. Czuć już zbliżanie się rewolucyi francuzkiéj. Jéj nadejście i epoka Napoleona objęte są w rozdziale trafnie zatytułowanym walką o byt Anglii. Bitwa pod Waterloo była ostateczném jéj zwycięstwem i wraz niém rozpoczyna się historya jednolita dnia wczorajszego.

Od niéj też zaczyna się szósty i ostatni tom obecnéj historyi, który się kończy na powszechnych wyborach 1885 roku: te można uważać za ostatni moment, którym wolno jeszcze zajmować się historykom; wszystkie późniejsze wkraczają już w dziedzinę współczesnéj kroniki i tymczasowych notatek. Pod wielu względami byłoby nawet

lepiéj zatrzymać się u progu naszego stulecia. Taki téż, jak nam wiadomo, był pierwotny zamiar wydawcy i tylko wielkie powodzenie przedsięwzięcia i natarczywe żądania czytelników skłoniły go do tego tomu dodatkowego.

Składa się on z czterech rozdziałów, obejmujących z kolei epoki pokoju i reform, postępu i reakcyi, władzy klasy średniéj i wyniesienia się do niéj demokracyi w ostatnich dwudziestu latach, między 1865 a 85 rokiem. Ażeby streścić tę końcową część, trzebaby przepisać chyba cały ten tom o 700 stronach, tak pełno jest tutaj osnowy interesującéj, tyle kwestyi żywotnych przewija się przed oczyma naszemi, kwestyi z których niepodobna uznawać za przebrzmiałe. Gdy p. Hutton opisuje ruch religijny w uniwersytecie Oxfordskim, okazuje się widocznie, że z niego wyszła dzisiejsza Anglia umysłowa, bez żadnéj ciasnoty, fanatyzmu i bigoteryi, i że przez śluzy wtedy otwarte potoczył się i toczy po dziś dzień prąd istotnego odrodzenia duchowego. P. Traill w charakterystyce poezyi romantycznéj Byrona, Shelley'a i t. d., dał wyjątkowéj wartości przyczynek do historyi literatury. Większe miejsce, niż uprzednio, dane tu zostało postępom wiedzy ścisłéj w różnych jéj gałęziach i licznych zastosowaniach. Ustępy poświęcone rozwojowi przemysłu, systemowi dróg żelaznych, żegludze handlowéj rozświécają ekonomiczne życie Anglii i jego mechanizm; duch zaś, co je ożywia, skreślony jest w tych, które się zajmują ekonomią społeczną. Szkolnictwo, a szczególniéj sztuka, tak potężny, i chce się nieledwie powiedziéć, zupełnie nowy czynnik w życiu narodowém, znalazła w p. Hughes przedstawiciela równie światłego, jak bezstronnego. Jest także całkowity przegląd sztuki ozdobniczéj naszego stulecia napisany przez pannę May Morris, córkę wielkiego Williama Morris, który jest doskonałym przewodnikiem do tego świata artystycznego angielskiego, mniéj znanego po za jego obrębem, niżby to przystało.

Ograniczamy tu przegląd téj „Historyi społecznéj", polecając ją najgorliwiéj nie tylko tym, co pracują nad tą lub ową dziedziną angielskiego rozwoju, ale wszystkim tym, co chcą zdać sobie sprawę z cywilizacyjnego pochodu ludzkości nie przez nadęte i puste ogólniki, ale przez badanie anatomiczne wypadków dziejowych. Jedyny zarzut, jaki tak pojętemu dziełu zrobić byśmy mogli to, iż przedmiot jest zbyt pokawałkowany. Praktyczna użyteczność, dla czytelnika zwyciężyła względy artystyczno-literackie i niewątpliwie, jeżeli ta historya społeczna ma służyć za słownik encyklopedyczny do dziejów cywilizacyi angielskiéj, metoda ta jest najwłaściwsza.

N. T.



JAN KOCHANOWSKI

w świetle ostatnich wyników krytyki historycznéj *).

„Jan Kochanowski, jego ród, żywot i dzieła.“ Przez Romana Plenkiewicza. Warszawa, 1897 roku. — Jana Kochanowskiego „Dzieła wszystkie“. Wydanie pomnikowe. Tom czwarty.

V.

Otoczony murami o zębatych blankach, fosami i basztami, a pozatém przedmieściami, polami i ogrodami, wśród których wznosiły się oprócz odosobnionych kościołów i zabudowań bogatego opactwa św. Germana, liczne wiatraki i... szubienice, Paryż ówczesny, podobnie jak Kraków i inne miasta europejskie, o ile nazewnątrz, oglądany z oddali, nosił jeszcze średniowieczny charakter, którego mu w niemałym stopniu dodawały gotyckie wieże katedry Notre Dame, o tyle wewnątrz, w obrębie owych zębatych murów, już był miastem nowożytném zupełnie, renesansowém, pełném ruchu i życia. Życie to, kipiące wsród ciasnych i krętych ulic, robiło na każdym, co tu przybywał z dalekich stron, oszałamiające wrażenie. Jak to wrażenie wypadło u Kochanow-

*) Patrz „Ateneum“ za styczeń r. b., str. 24.

skiego? Wnosząc z tonu elegii do Karola, który mu ciceronował po Paryżu, wogóle wypadło bardzo korzystnie.

Szczególniéj musiało mu się podobać wesołe życie studenckie w *Quartier Latin*, w którém znajdowała się słynna Sorbona i inne zakłady naukowe, a w téj liczbie i *Collége des trois langues* (dzisiejsze *Collége de France*). Odrębny charakter téj dzielnicy, absolutnie różniący się od charakteru innych dzielnic Paryża, ujmował każdego przybysza, jeśli ten przybysz był młody i nietylko spragniony wiedzy, lecz i rozrywek. Pod tym względem *Quartier Latin* górowało nad resztą stolicy, choć i tam, zarówno na wyspie, w t. zw. *cité*, jak i na prawym brzegu Sekwany, w okolicach wspaniałego Louvre'u, najwięcéj myślano o zabawie. Widocznie, że w Paryżu nigdy nie było inaczéj. W r. 1556, gdy tu przyjechał Kochanowski, „dwór Henryka II-go, utrzymując świetne tradycye dworu Franciszka I-go, oddany był jedynie ucztom, tańcom, maskaradom, karuzelom, kawalkadom, łowom, turniejom, których słońcem była sławna, niestarzejącéj się piękności Dyana de Poitiers..., która, pomimo 55 roku życia, umiała stale w swych sidłach utrzymać 36 letniego Henryka II. i zepchnąć na podrzędne stanowisko prawowitą jego małżonkę.”

Odmienna atmosfera panowała przy ulicy Fouar, w poważnych murach Sorbony, pretendującéj do zaszczytnego miana świątyni nauki, a dumnéj z tego, że między jéj uczniami było siedmiu papieży i wielu najpierwszych dostojników kościoła, że tutaj uczyli się tacy ludzie, jak Dante Alighieri, Roger Bacon, Brunetto Latini, Erazm z Rotterdamu i wielu innych. Ale ta miniona chwała nie wyszła na dobre Sorbonie, albowiem wbiła ją w pychę, za którą w chwili właśnie, gdy tu po światło przyjechał przyszły autor *Trenów*, pokutowała ciężko. Zasklepiona w ciasnym konserwatyzmie, odrzucająca wszelką myśl naukowéj reformy, zniewoliła Franciszka I-go, że namówiony przez słynnego humanistę francuskiego Budé'go, założył w r. 1530 świeckie *Collége royale*, inaczéj zwane *Collége des trois langues*, które, wyjęte z pod władzy uniwersytetu, było jego humanistyczno-liberalném uzupełnieniem, a posiadało nietylko katedry hebrajszczyzny, greczyzny i łaciny, ale i matematyki, filozofii i medycyny. Odtąd zaczęło się współzawodnictwo między starą Sorboną a młodém kolegium królewskiém, współzawodnictwo, które się tak dalece obróciło na niekorzyść pierwszéj, że kiedy młodemu cudzoziemcowi, jak Kochanowski, żądnemu prawdziwéj nauki, wyzwolonéj ze scholastyczno-klerykalnych powijaków, przyszło wybiérać pomiędzy temi dwoma zakładami, to przekonał się niebawem, że tylko w *Collége royale* nauka jest traktowana naukowo i postępowo, w Sorbonie zaś... Co myślał o Sorbonie, do jakiego stopnia lekcewa-

żył jéj autorytet, o tém poucza jego *Satyr*, w którym między innemi znajduje się taki dwuwiersz:

> Niech ma zapłatę godność między wami,
> Ręczę wam, że zrównacie z ich tam Sorbonami.

„To wyrażenie ostatnie, tak pełne lekceważenia, najwymowniéj wskazuje, jak się zapatrywał na tę uczelnię, żyjącą minioną już sławą. Zarówno zacofanie pod względem humanistycznym, jak i duch jéj, pełen nietolerancyi, krępujący wszelką swobodę umysłową, musiały w nim budzić od niéj odrazę. Kolegium królewskie więcéj odpowiadało jego nawyknieniom, wyniesionym z wszechnicy padewskiéj. Przyznać téż trzeba, że oprócz oryentalisty Postel'a, zmarłego jeszcze w r. 1544-ym i helenisty Dané'go, który na dwór królewski wstąpił, skład profesorów był prawie ten sam, jak w chwili założenia kolegium. Turnèbe wykładami języka greckiego ściągał młodzież ze wszystkich krajów Europy; Lambin objaśniał ody Horacego, komedye Plauta i pisma Cycerona. Poeta, jeżeli przyszłe swe studya teologiczne czy prawne brał na seryo, to je zapewne na czas późniejszy odkładał; obecnie zaś mogło go tylko pociągać kolegium królewskie, w którém wykłady porównywał z wykładami mistrzów padewskich."

Ale więcéj, niż prelekcye w *Collége Royale*, więcéj, niż uczone prace humanistów francuskich, jak dzieła Budé'go, Doleta i słynnego Skaligera, interesowała Kochanowskiego, — w którym już poeta brał górę nad humanistą — współczesna poezya francuska, święcąca swoje odrodzenie pod przewodem Ronsarda i jego plejady. Na czém zasadzało się to odrodzenie? Przedewszystkiém był to zwrot do klasycyzmu, do źródeł greckich i rzymskich. Na miejsce rond, ballad, piosnek i „wszystkich przestarzałych poezyi francuskich", zaczęto lutnię, za przykładem Du Bellaya, „dostrajać do dźwięków liry greckiéj i rzymskiéj", pisząc ody w stylu Horacego, hymny w rodzaju pindarycznym, elegie na wzór Owidiusza i Tybulla, oraz sonety na wzór Petrarki. Nadto wzięto się do tłómaczenia tragedyi Sofoklesa i Eurypidesa, poetą zaś, który w tym grecko-rzymskim kierunku poszedł najdaléj, a raczéj najbardziéj zbliżył się do starożytnych wzorów, i który siłą swego talentu dokonał istotnego przewrotu w literaturze francuskiéj, był Piotr Ronsard, przezwany zaszczytnie *Prince de l'ode*, autor *Francyady* i niezliczonéj ilości ód, hymnów, elegii, sonetów etc. Poeta ten, Węgier z pochodzenia, uprawiał wszelkie rodzaje poezyi, prócz dramatu, a szczególniéj był skorym do pisania erotyków, *Les Amours*, choć mówią, że jego miłości więcéj były literackie, niż prawdziwie namiętne, i że w nich większą rolę grała wyobraźnia, niż serce, a nawet zmy-

sły. „Napisanie sonetu, pieśni, madrygału, nic go nie kosztowało. Gdy mu zabrakło myśli, sztukował Owidyuszem, Wergilim, Bembusem, a przedewszystkiém Petrarką; gdy nie dopisywało uczucie, nadstawiał grą słów lub jakimś zgrabnym konceptem.” Kochanek t. j. dam, do których pisywał wiersze, miał mnóstwo, ze swoją *Jeanne impitoyable* na czele. Niemniéj jednak, aniżeli na wdzięki niewieście, był wrażliwy na zaszczyty, i dlatego można powiedziéć o nim, iż był równie próżny, jak kochliwy. Jego panegiryki i eklogi na cześć królewskiéj rodziny Walezyuszów, których przedstawiał pod czułemi postaciami sentymentalnych pasterzy i pasterek, zarówno jak i jego wiersze na cześć Maryi Stuart i Elżbiety angielskiéj, świadczyły, że choć w młodości podobno się zraził do życia dworskiego, w którém, jak mówił, bezpieczniéj „więcéj słyszéć, niż widziéć” (a on tymczasem był głuchy jak pień), to jednak w wieku dojrzałym, kiedy zasłynął, jako książę poetów, bardzo sobie cenił stosunki z koronowanemi głowami. „Na cześć jego pisali wiersze łacińskie: Adryan Tournèbe, Belleau, d'Aurat i Joachim du Bellay. Nawet Torquato Tasso, nie mówiąc już o wielu sonetystach włoskich, składa mu hołdy w Paryżu. Niedość na tém: wszyscy członkowie domu Walezyuszów, poczynając od Henryka II-go, obsypują go monarszemi względami i nadają bogate opactwa, nie narzucając żadnych obowiązków, nie krępując niczém jego swobody. Poetyczna Małgorzata Sabaudzka i również układająca rymy Marya Stuart uznają w nim swego mistrza i brata w Apolinie; Karol IX-ty pisuje do niego wiersze, a Elżbieta angielska, wdzięczna za nucone na jéj cześć hymny, zaszczyca go swemi listami i przesyła bogate podarki.”

Cóż dziwnego tedy, że i Kochanowski powiększył ten poczet chwalców Ronsardowéj Muzy, że i on uważał się za szczęśliwego, gdy mógł zobaczyć tego nowożytnego Pindara, a nawet zbliżyć się do niego, co mu, jak przypuszcza prof. Plenkiewicz, ułatwił młody Jan Baptysta Tęczyński, syn Stanisława, wojewody krakowskiego, przebywający na dworze francuskim. Jakkolwiek to się odbyło, jedno jest pewném, że w elegii VIII ks. III, poeta, wspominając o swym pobycie w Paryżu, z dumą rospisał się o tém, że *Ronsardum vidi*. „Tu (powiada) ujrzałem owego Ronsarda, na lutni ojczystéj wygrywającego pienia, i nie mniéj byłem zdumiony, jak gdybym słyszał Amfiona, na którego śpiéw kładły się mury tebańskie, lub Orfeusza i Linusa, z Feba zrodzonego: zdało mi się, iż rzeki zachwycone wstrzymały swój bieg, skały zaś, na głos niezwykły, puściły się w pląsy. On to chwałę bogów i miłego pokoju pożytki opiewał wówczas, kiedy Mars na powietrznych koniach uniósł się w obłoki.” To zetknięcie się z Ronsar-

dem, który wtedy stał na szczycie chwały, a który wygrywał swe pienia „na ojczystéj lutni", nie pozostało bez wpływu na poetę, a przedewszystkiém wpłynęło na zmianę jego kosmopolitycznego stanowiska, jakie dotychczas zajmował w swych utworach łacińskich i polskich. Studyując jego francuskie poezye, coraz bardziéj utwierdzał się w przekonaniu, że jednak, chcąc być prawdziwym poetą swego narodu, należy uderzać w struny „ojczystéj lutni": można nie zrywać z łaciną, ale nie należy jéj dawać pierwszeństwa przed mową rodzinną, bo skoro Ronsard, posługując się językiem francuskim, dorównywał nieśmiertelnym wzorom poezyi starożytnéj, wypowiadając się niemniéj świetnie, z niemniejszą łatwością i wdziękiem, to czemużby on nie miał z równą maëstrią posługiwać się językiem ojczystym. Wszak to samo, przed Ronsardem, czynił z takiém powodzeniem Petrarka, którego łacińska *Afryka* utonęła w fali zapomnienia, a włoskie sonety i kancony były na ustach wszystkich! I Ronsard, gdyby był to samo, co pisał po francusku, pisał po łacinie, nie byłby tak powszechnie wielbiony! Pod tym względem godziło się iść w jego ślady. „Być wieszczem swego narodu, pozyskać uznanie zarówno uczonych, jak i możnych tego świata, zgromadzić koło siebie poetów tychże dążności, a obok tego w uznaniu zasług, położonych dla literatury ojczystéj, pozyskać niezależne, dające swobodę stanowisko: oto, co mogło być szczytem marzeń dla młodego człowieka, czującego swą wartość i wyższe poetyckie zdolności."

W téj myśli, przejęty utworami Ronsarda, nie ustawał w pracy na niwie poezyi, a choć nie rozstał się ze swoją muzą łacińską, to jednak „młoda słowieńska muza" coraz bardziéj nabiérała znaczenia w jego oczach. Najlepszy dowód, że jeden ze swoich polskich wierszy, zatytułowany *O dobrodziejstwach Boga*, a napisany trochę pod wpływem Ronsardowéj *La prière à Dieu*, zdecydował się — na próbę — posłać do kraju, ażeby się przekonać, jak téż będzie przyjęty, czy się to religijne pienie spodoba uczeńszéj szlachcie. Prawdopodobnie te były pobudki, jakiemi się powodował Kochanowski, kiedy ten wiersz posyłał do kraju, a jeśli nie był zupełnie pewny wrażenia, jakie wywrze swym wierszem, to wrażenie to, może nad wszelkie spodziéwanie poety, wypadło na jego największą korzyść. Oto, co o niém pisze Jan Szczęsny Herburt z Dobromila, w przedmowie do *Herkulesa Słowieńskiego* Kacpra Miaskowskiego: „Gdy tedy o Polakach uczonych mówił (Zamoyski), wspominał, że był w młodości swei ná jednym ziećdźie w sandomierskiéj ziemi, gdźie przyjaćiele Janá Kochánowskiego, na ten czas w Paryżu ná náuce będącego, ukazali gościom tamecznym pieśń, ktorey

jest początek: Czego chcesz po nas [1]), Panie. Był téż tám Mikołai Rei, którego narod nász ma mićć w tey cénie, iako Grekowie Heziода, Rzymianie Enniusza... Wziął tedy Rei tę pieśń Kochanowskiego i pilnie onei przypatrzywszy się, zawołał támtych wszystkich gości i powiedziawszy nieco o swych pracach w naukach, wielce dowcip i wymowę Kochanowskiego chwaląc, záwarł mowę swą temi wierszami:

Temu w náuce dánk przed sobą dawam,
I pieśń Bogini słowieńskiéi oddawam."

Tymczasem poeta, któremu w ojczyźnie Rey „dank przed sobą dawał", prowadził życie, nie zawsze licujące z pobożnym nastrojem swego wiersza. Wszedłszy w stosunki z młodzieżą akademicką z *Quartier Latin*, bywając na różnych zebraniach studenckich, w których, jak na podobnych padewskich, uczestniczyły rozpustne syreny nadsekwańskie, nie gardził wesołemi pohulankami w dobranéj kompanii, nawet takiemi, gdzie płoche córy Lutecyi, dowcipniejsze, sprytniejsze i zalotniejsze od „przyjaciółek" włoskich, dowodziły swém zachowaniem się, że są i bardziéj zepsute od tamtych. Kochanowski wszakże, nie gardząc biesiadami w swobodném towarzystwie różnych paryskich Fryn i Aspazyi, wcale nie był skory do wplątania się w jaką nową awanturę romansową. Ta jego obojętność i nieczułość na wdzięki uróżowanych syren czyniła go interesującym w ich oczach. Doszło do tego, że jęły czynić zamachy na niego, reagować przeciw jego dziwnéj odporności. Do takich, co mu się narzucały same, należała niemłoda i nieświeża już Licena. Niestety, odprawa, jaka ją spotkała ze strony poety, wyrażona w jego ciętéj odzie VII-éj, mogła nietylko ją, ale i inne zniechęcić od putyfarowych nagabywań. „Gdy Wenus i zbiegły Amor z twego obozu w inną się zwrócili stronę i starość złowrogiemi zmarszczkami twarz twoją szpeci, a niegodny Demochares swą ulubioną Licynę porzucił, dziś mnie sama przyzywasz, sama się o mnie do

---

[1]) Formę tę znajdujemy i w rękopisie Osmólskiego, co (według mnie) stanowczo przemawia za trafnością twierdzenia prof. Plenkiewicza, że wiersz ten należy odnieść do epoki paryskiéj. Do r. 1885 nikt nie kwestyonował tego podania (zaczerpniętego od Jana Zamoyskiego, kanclerza i hetmana). Pierwszym, które je podał w wątpliwość, był prof. Brückner w *Archiw für slavische Philologie*, odnoszący powstanie tego wiersza do czasów *Psałterza*. Za nim poszedł Chmielowski w ocenie książki St. Tarnowskiego o Kochanowskim. Prof. Plenkiewicz nie daje się zachwiać wywodom prof. Brücknera...

bijasz, po to zapewne, by gdy inny mięsem się przesycił, jam resztki kości ogryzał" [1]).

Ale niedługo wytrwał w tém stoickiém panowaniu nad sobą (jeżeli w niém trwał wogóle). Zamało unikał pokus, ażeby w końcu nie spotkać się z taką, któréj przezwyciężenie nie przechodziłoby jego siły charakteru. Jakoż, po niedługim przeciągu czasu, ledwo dał odprawę Licenie, natknął się na kobiétę, która go zdołała opętać. Trafił na swoją. Niestety, i ta przyjaciółka nie była lepsza, ani mniéj interesowna od Lydii: równie zepsuta, była o wiele sprytniejsza, a nawet cyniczniejsza. Nie dziw! Wszak była Francuzką z moralnym pokostem Paryżanki. Dlatego i sposób, w jaki na siebie zwróciła uwagę poety, był bardziéj wyrafinowany, niż wszystkie przebiegi Lydii, na których poznawał się w końcu. Przebiegła Francuzka, widocznie mistrzyni w sztuce udawania, poznała odrazu, że na to, aby sobie podbić tego wytwornego cudzoziemca, należy czém inném podziałać na jego imaginacyę, aniżeli zwykłą wesołością i wyuzdaniem. Przeczuła, że na ten lep nie da się złapać; jakoż zaczęła go kokietać... smutkiem. Sposób okazał się odpowiednim, bo poeta, zaintrygowany ponurym wyrazem twarzy téj niezwykłéj *beauté diabolique* (tak ją nazywa prof. Plenkiewicz), ani się spostrzegł, jak połknął haczyk zręcznie zarzuconéj węd-

---

[1]) Tak charakteryzuje tę pierwszą fazę uczuć Kochanowskiego w Paryżu prof. Plenkiewicz. Ale streszczając jego wywody, przyznaję, że w tém miejscu nietrudno byłoby posprzeczać się z czcigodnym autorem. Zdaniem jego „właśnie ta obojętność, z jaką się do wesołych cór Lutecyi odnosił, była dla nich podnietą do knucia zamachów na jego swobodę. Widocznie z początku poeta trzymał się ostro, skoro narzucającéj mu się Lycenie i t. d.“ Zdaniem autora, Kochanowski stykając się z heterami paryskiemi, „doznawszy rozczarowania w stosunkach z Lydią, nie myślał w téj sferze zawiązywać już nowych... Zanadto był pewnym siebie, zanadto wytrzeźwiał z szałów miłosnych, by nie odczuwał grożącego mu z téj strony niebezpieczeństwa“. Czy tak było jednak w istocie, *that is the question.* W téjże saméj odzie VII *Do Liki,* z któréj zakończenia prof. Pl. dobył argument na poparcie swojéj tezy, znajduje się niezbity dowód, że Kochanowski i w Paryżu wcale nie wytrzeźwiał z szałów miłosnych, i że bynajmniéj nie trzymał się ostro w stosunku do wesołych cór Lutecyi. Do téjże saméj Liceny, którą gardził teraz, z początku, płonął bardzo gorącym afektem. Oto, co sam w téj kwestyi mówi na początku pomienionéj ody VII: „Liko, dopóki ci szczęście sprzyjało, póki miłość wdzięcznie ci się uśmiéchała, póki twarz twoja szła o lepszą z liliami i różami, dopóty i ów twój Demochares łatwy miał przystęp do ciebie i wszelkich zażywał rozkoszy; nie troszczyłaś się o mnie bynajmniéj, iżby spojrzéć na leżącego przed twemi drzwiami i ogrzać u swego ciepłego łona, gdy mię srogie dreszcze nielitościwie trapiły.“ Zdaje się, iż powyższy ustęp nie bardzo świadczy o owéj „obojętności“, z jaką się poeta miał odnosić z początku do Liceny i jéj podobnych istot.

ki. Że tak było, świadczy jego oda IX, napisana wyraźnie pod wpływem ód pindarycznych, a będąca prośbą do bogini miłości. „Złota Afrodyto, córo wielkiego gromowładcy, ciebie, co umysły ludzkie koisz, błagam, byś serce me troskami ciężkiemi dręczyć przestała. Zlituj się raczéj nad memi skargami i przybywaj wysłuchać prośby stroskanego, które niegdyś łaskawém zwykła byłaś przyjmować uchem... Przezacna Cyprydo, przybywaj i teraz, i uwolnij mnie od tych utrapień, a cokolwiek serce posiąść pragnie, niechaj posiędzie przy twojéj pomocy.” I znowu zaczął prowadzić podobny tryb życia, jak w Padwie, znowu powtórzyły się bachiczne biesiady, z tą różnicą, że poeta, o ile dawniéj „bolejąc w sercu”, nieraz, zrozpaczony i zgnębiony zmiennością kochanki, „żądał więzów na zbiegłego Amora”, o tyle dziś, gdy mu „dolegała jaka cięższa przygoda” ze strony dziewczyny, pocieszał się, doświadczony, że „jeśli cię kochanka unika, sama wkrótce poszukiwać cię będzie; jeśli gardzi twemi podarunkami, niedługo sama swoje ci przysyłać zacznie; a jeżeli cię nienawidzi, to mimowoli pokocha cię i rozkazy twoje wypełni.” Poetyckiém odbiciem jednéj z takich wesołych uczt koleżeńskich, na któréj królowała jego *venusta Galla*, był namiętny epigram *Ad Gallam*, z którego widać jednak, że już poeta mniéj był skłonnym do miłosnych porywów, niż dawniéj. Wprzódy szalał bez opamiętania; teraz wymagał od kochanki, ażeby w nim podniecała zapał młodzieńczy, jeśli chce, żeby się dał porwać téj bachanalii. „Dopóki Bachus, Dyana i Amor skrzydlaty panują; dopóki ciebie, piękna Gallo, oczy moje oglądają: dopóty z całych sił szał mój podniecaj, i nie wzbraniaj, smutna, kwiatami się wieńczyć, lub w struny harfy uderzać. Wierz mi, jutro już nie ten sam dzień będzie, co dziś, a i ty będziesz całkiem inną, a nawet już wczoraj wydałaś mi się nie taką jak dziś.” Zdaje się atoli, że „smutna” Francuzka tak doskonale potrafiła podniecać animusz w trochę wystudzonym poecie, że dużo wody upłynęło w Sekwanie, zanim „przekonany dowodami chciwéj kochanki”, spostrzegł się, że był najwierutniéj wyzyskiwany przez nią, dopóki miał pieniądze, a skoro na nią wydał wszystko prawie, co miał, naraził się na to, że mu z całym cynizmem powiedziała bez ogródki: „Moje życie, jeżeli mnie chcesz posiąść, musisz płacić, a jeżeli nie masz czém, opuść moje progi.” Mimo takie oświadczenie, opętany zmysłowym powabem pięknéj hetery, nie miał sił, żeby z nią zerwać. Przeklinał chciwość niewieścią, przeklinał świat, który tak „ulega mamonie”, przeklinał złoto, „przyczynę i początek wszystkiego złego”, ale, opanowany przez namiętność, którą w nim rozbudziła ta „smętna” Paryżanka, dogadzał jéj chciwości, a gdy mu nie wystarczało, zaciągał długi, byle tylko posiadać tę „piękną Gallę”, byle tylko niedopu-

ścić do tego, ażeby go porzuciła. I choć na każdym kroku zdradzała się ze swą interesownością, on, zamiast ją obrzydzić sobie, pisał elegię do niéj, a w téj elegii, złorzecząc wszystkim chciwym córom Ewy, życząc im, ażeby je spotkało wszystko najgorsze, choroby, starość, „jad partenopejski" etc., jéj jednéj życzy najlepiéj... „Takiemi przekleństwami słusznie obarczam wszystkie chciwe kobiéty; lecz ciebie, moje życie, niechaj ten los ominie! Tak, niechaj cię ominie, jeżeli w niczém mi nie zawinisz, a choćbyś i zawiniła, niechaj Amor łaskawym na cię będzie!"

W takiém położeniu, témbardziéj opłakaném, że już *dura paupertas* poczęła zaglądać do studenckiéj izdebki poety, zastał go Hieronim Ossoliński, świéżo przybyły z kraju. Był to bogaty pan, któremu mniejszy lub większy datek, udzielony poecie, nie robił żadnéj różnicy. Jakoż, widząc, że Kochanowski jest przedewszystkiém w gwałtownéj potrzebie pieniężnéj, wspomógł go; widząc jednak, co leży na dnie jego materyalnych kłopotów, starał się go wyrwać z syrenich objęć powabnéj Paryżanki. Niestety, pod tym względem nie osiągnął celu: poeta zabrnął tak głęboko, że go z téj kałuży „niepozbędnéj miłości" wyciągnąć perswazyami, przemawianiem do rozsądku, było niepodobna. Stanowczo, choć w zasadzie zawsze był przeciwny filozofii głośnego mędrca z Samos, mógł w téj chwili, jak Horacy, powiedziéć o sobie, że był „jednym z trzody Epikura". Nie znaczy to, ażeby nie był zdolny ocenić „życzliwości i dobrodziejstw" Ossolińskiego; za dowód zaś, że tak nie było, może posłużyć piękna elegia łacińska, w któréj poeta — po niejakim czasie — wyraził swą wdzięczność Ossolińskiemu. „Ile ci, Ossoliński, winienem, za to wywdzięczyć się tobie, choćbym nawet pragnął najusilniéj, nie jest w mojéj mocy... Bo kiedy na mnie nagle podwójne zmówiło się nieszczęście, i twarde ubóstwo, i miłość niepozbędna, tyś pierwszy przybył na pomoc stroskanemu przyjacielowi i nie dopuścił, bym ciężki cierpiał niedostatek; nadtoś wszelakich dróg próbował, by mnie z obłędu mego i szaleństwa wyleczyć. Lecz wówczas taki żar do szpiku kości moje przejmował, jakim gore Etna lub gorąca woda apońska; i jak gdybym lotusu skosztował, albo ziół przykuwających do miejsca, anim myślał o powrocie do kraju." Okazuje się, że go Ossoliński namawiał, aby się zdecydował na wyjazd z Paryża, aby z nim razem wracał do domowych pieleszy; ale poeta nie dał się nakłonić: nie mógł się wyrwać z uroczych więzów.

Wyrwał się przecież. W styczniu 1557 roku umarła sędzina. Na wieść o jéj zgonie, poeta, nie namyślając się długo, pośpieszył do domu: raz dlatego, żeby zapłakać na świeżéj mogile matki, a powtóre, że

go „dom nieszczęśliwy, obojga rodziców pozbawiony, głośno wzywał do ojczystéj ziemi, by, nieco zwlekając, jak drugi Ulisses, wraz ze starym psem, strat swych nie opłakiwał" [1]). Ten wzgląd rozstrzygnął o decyzyi poety: postanowił nie zwlekać, a choć „i Loara i Rodan odczuły jego b o l e ś ć, gdy przyszło galskie opuszczać kraje", to jednak przemógł się i pojechał [2]).

Wracał miotany dwoma uczuciami głównie: boleścią po stracie matki, do któréj był bardzo przywiązany, i smutkiem po przymusowéj rozłące z kochanką, na któréj wspomnienie zapalał się w nim ów „żar", który mu „kości przejmował do szpiku". Nadto wracał z całym zbiorem manuskryptów łacińskich i polskich, któremi się miał wsławić niebawem, jako pierwszy poeta swego narodu. „Dodajmy do tego, powiada prof. Plenkiewicz, bogaty zasób wiedzy i doświadczenia, znajomość tylu krajów i ludów, zwyczajów i języków, a nadto wyższą ogładę, zdobytą wśród dwóch najwyżéj w cywilizacyi posuniętych narodów, a pojmiemy, iż nie bacząc na liczny zastęp ludzi, jaśniejących w Polsce nauką i zdolnością do pióra, był on na swój czas niepospolitém zjawiskiem."

ROZDZIAŁ TRZECI.

Dworzanin (1557 — 1571).

Początkowe przykrości. — I. Na dworach możnowładców.— *Wanda.* — Kłoczowski i pokusa nowéj podróży do Włoch. — Pierwszy drukowany utwór poety. — Konszachty z Nideckim. — W Piotrkowie. — Łukasz Górnicki. — W Sycynie. — Czarnolas. — Sprawa umieszczenia się w kancelaryi królewskiéj. — II. Wilno. — Na dworze Paduiewskiego. — *Zgoda* i *Szachy.* — Myszkowski. — *Satyr.* — W Warszawie. — III. Kapituła poznańska. — Dworzanin królewski. — Stosunek i przyjaźń z Myszkowskim.—Tryb życia.— *Wróżki.* — Znowu Wilno. — Sejm w Piotrkowie. — Dudycz i Regina Straszówna. — Na Litwie. — Probostwo zwoleńskie. — Sejm lubelski. — Warszawa i Piotrków. — Jan Zamoyski. — Małżeństwo Dudycza. — *Carmen macaronicum.* — Wilno i Radoszkowice. — Orator. — Unia lubelska. — *Proporzec.* — Babin. — Rozstanie z Myszkowskim. — W Warszawie. — Wyjazd do Czarnolasu. — IV. Hanna-Pazyfila. — Sroga zima. — Troski „nieuśpione". — „Niepobożna niewola." — Nagły zwrot. — Brak złudzeń. — Zaręczyny. — W Czarnolesie.—Konkury.—Grom z jasnego nieba. — Czarne chwile.—*Psałterz.* — Myszkowski i *Muza.*

Smutny opuszczał Francyę, a szczególną „boleść" sprawiała mu niepewność, zali tu wróci jeszcze. Strapienie to, w miarę, jak się

---

1) Zob. Elegia VIII ks. III.

2) Wynika z tego, że Kochanowski bawił w Paryżu zaledwie kilka miesięcy, od października albo listopada 1556 r. do lutego 1557 r. Czy nie jest to przeciąg czasu zbyt krótki?

oddalał od Paryża, potęgowały okoliczności, towarzyszące jego podróży: północno-wschodnia Francya, z powodu rozpoczętéj wojny z Filipem II-im, roiła się żołdactwem skłonném do samowoli i gwałtu; w Niemczech srożyła się zima; a w Polsce, dotkniętéj pomorkiem, „czthery y dwádzieścia niedziel Pan srogiego zimna nie ulżył". Przybywszy do Sycyny, zastał rodzinę pogrążoną w kłopotach gospodarskich, naradzającą się w drażliwéj kwestyi podziału majątkowego. Nadto przybyło mnóstwo spraw sądowych, czemu towarzyszył obowiązek zasiadania w sądach grodzkich, obowiązek, któremu i Jan, jako celniejszy ziemianin w powiecie, musiał się poddać chcąc nie chcąc. Wszystko to, wraz z obowiązkiem objeżdżania krewnych, przyjaciół i znajomych, ciotek, stryjów, szwagrów, wpływowych sąsiadów i t. d., którym wypadało się przypomniéć po powrocie z zagranicy, drażniło go, a tém samém potęgowało ową „boleść", w jakiéj rozstawał się ze słoneczną ojczyzną „pięknéj Galli". Bo i wspomnienie téj „smutnéj" kochanki, niby kuszące widmo słodkiéj — i zdaje się niepowrotnéj — przeszłości, raz po raz mąciło mu spokój.

Na domiar złego, nie brakło i innego widma, które nań nie wpływało kojąco, a tém była myśl o niepewnéj przyszłości. Czy obrać stan świecki czy duchowny?! Pod tym względem był całkowicie niezdecydowany, a pełen najróżnorodniejszych wahań. Jedyna pewność, w któréj trwał dość stanowczo, to było przeświadczenie, że polem, na którém będzie mógł zużytkować swe zdolności i przyszłość sobie zapewnić, jest kancelarya królewska. Wiedział jednak, że chcąc sobie utorować drogę do niéj — co zawsze było połączone z trudnościami — należało miéć poparcie ludzi możnych, posiadających wpływy w sferach dworskich.

W tym celu umyślił objechać pobliskie domy możnowładcze, ażeby z niemi wejść w bliższe stosunki.

I.

Zaczął od Firlejów [1]), z którymi jego rodzina oddawna pozostawała w stosunkach, a których rezydencya w Dąbrowicy, wykwintnie przystrojona na sposób włoski, mogła go wielce wabić. Gdyby rzecz miała się przeciwnie, z pewnością nie napisałby swego epigramatu *Na wieś Dąbrowicę*: „Gościu! gdy marmurowy próg przestąpisz, pokłoń

---

1) Tak przynajmniéj przypuszcza prof. Plenkiewicz, którego wywody, najczęściéj trafiające do przekonania, streszczam tu jedynie.

się geniuszowi miejsca, ten dom bowiem szczyci się, że wychowuje Firlejów..." Jakoż wychowanie to, wybitnie nacechowane kalwinizmem, istotnie przynosiło zaszczyt Firlejom. Sam kasztelan kształcił się w Lipsku, gdzie się przejął zasadami reformy, a następnie studyował w padewskiéj wszechnicy, gdzie kolegował z Kochanowskim. Młodszy brat jego, Mikołaj, słynął, jako *alter Cycero*. Niemniéj „uczoną" była młoda pani kasztelanowa, Zofia, z domu Bonarówna, głośna z wielkiéj piękności, dziś 23-letnia matka kilkorga dzieci, które wszystkie wychowywano w zasadach wyznania helweckiego: Firlej bowiem, jako głowa i najgorliwszy krzewiciel kalwinizmu, „nietylko na swym dworze utrzymywał współwierców, ale nadto łupił w swych dobrach kościoły i zamieniał na zbory; matka zaś od dziecka w otoczeniu różnowierczém wzrastała." Na szczęście, była córką ojca, który przy wielkich bogactwach lubił się uczonymi otaczać; stąd przywykła cenić naukę. „Tém więcéj przeto względów mogła okazywać młodemu Kochanowskiemu, jako niepowszedniéj miary poecie." Jakoż nie narzekał, a rola „domownika", w jakiéj tu przebywał, wcale mu przykrą nie była. Po za chwilami, spędzanemi na humanistycznych gawędach z Andrzejem Trzecieskim, także domownikiem Firlejów, który nietylko był znakomitym humanistą, poetą, znawcą trzech języków, ale i „hulaką, co pił dobrze w imię Jezusa Chrystusa", i po za serdecznym stosunkiem ze Stan. Meglewskim, wesołym młodzieńcem, a również dworzaninem Firlejów, używał swobody, „towarzyszył Firlejowi na łowy, na których marznąc, układał c h ł o d n e w i e r s z y k i, dotrzymywał mu placu w wyszydzaniu świeckiego i zakonnego duchowieństwa w tych *Fraszkach*, pełnych dosadnego humoru, których wiele może nawet w Dąbrowicy powstało; bawił zresztą p a n i ą b e ł s k ą opowiadaniem o włoskich i galskich krainach, dopadał do Lublina dla wypitki lub awantury miłosnéj, a w chwilach większego skupienia ducha opracowywał dawniejsze, lub obmyślał nowe utwory." Tak powstała fraszka *Do St. Meglewskiego*, z którym nieraz „brząkając w strony" i „przyśpiewując" sobie, śmieli się, wspomniawszy na swego „gospodarza dobrego" [1]); tak powstała fraszka *Do Andrzeja Trzecieskiego*, który w poecie „niepotrzebne troski" uspokajał trunkiem; tak powstał epigram łaciński *Do Jana Firleja*; i tak wreszcie, w Dąbrowicy zapewne, powstał fragment *Do Jego M. Pana Mikołaja Firleja*, w którym go poeta prosi, ażeby był życzliwy jego „nowotnym rymom".

Z Dąbrowicy, w końcu sierpnia lub na początku września 1557 roku, udał się Kochanowski do Kraśnika, na dwór wojewody krakow-

---

1) Firleja.

skiego, Stanisława Tęczyńskiego. Tu go odrazu owiała inna atmosfera. O ile w Dąbrowicy panował duch reformy i włoskiego renesansu, o tyle w średniowiecznym zamku nad Stróżą hołdowano tradycyi i surowemu katolicyzmowi. W mecenasów się nie bawiono, co nie znaczy, żeby gorąco nie miłowano nauk. Wszyscy Tęczyńscy, jak się wywodzili od jednego z 12 wojewodów, byli znani z zamiłowania do nauk i dalekich podróży. Pytanie: czy tu Kochanowski czuł się w swoim żywiole, czy go niekiedy nie nudziła zbytnia powaga tego zamku? Bardzo być może, że tak było, ale na szczęście dla poety, o którym wiedziano w Kraśniku, że w Paryżu spotykał się z młodym synem wojewodzicem, bawił tu Mielecki, dawny znajomy z Tarnowa, a towarzysz pierwszéj podróży do Wiednia. Z nim mieli sobie, po ośmioletniém niewidzeniu się, niemało do powiedzenia, za czém także przemawia piękna elegia Kochanowskiego, poświęcona Mieleckiemu, a niewątpliwie napisana w tym czasie. W jego towarzystwie spędzał poeta „słodkie chwile" na dworze Tęczyńskich, a że te chwile istotnie były słodkie, to wynika z początkowych słów elegii, po przez które jakby się oglądało widok z Kraśnickiego zamku: „Nie grozi nam tu szalona swawola złowrogiéj wojny, ani téż niwom naszym nie zagraża nagłe spustoszenie. Nie słychać tu strasznéj trąby wojennéj, coby nam sen słodki płoszyła i nieopatrznych trwogą przejmowała. Tu błogi panuje pokój, tu goszczą wczasy przy otwartych wrotach, tu miłość i z lutnią w ręku Apollo łaskawy. Tu pająk tarcze mężów białą powleka tkanką, tu rdza zjada miecze i srogie pociski. Za to w ludnych wioskach kwitną biesiady młodzieży, a powietrze mile rozlega się radosnymi okrzyki." Wnosząc ze słów powyższych, nie musiało Kochanowskiemu być źle w Kraśniku. Mimo to nie zabawił tu długo. Wszystko przemawia za tém, że wyjechał razem z Mieleckim, któremu towarzyszył aż do jego rodzinnego Mielca.

Stąd udał się do pobliskiéj Wiewiórki, gdzie w téj chwili przebywał hetman Tarnowski, pogrążony w żałobie po świéżo zmarłéj „pani krakowskiéj". Była to okoliczność nie sprzyjająca odwiedzinom poety, który pod zwykłym pretekstem ofiarowania swych „powolnych służb" hetmanowi, naprawdę chciał mu tylko polecić się łaskawéj protekcyi na przyszłość... Ale w jakiémkolwiek usposobieniu zastał hetmana, przyjęcie, jakiego doznał z jego strony, wypadło korzystnie dla niego: wszak stawał przed Tarnowskim nie już jako młodzieniaszek obiecujących zdolności, lecz jako skończony humanista, a przytém poeta, któremu nawet sławny Rey „dank przed sobą dawał". Sędziwy zwycięzca z pod Obertyna, jako mąż wykształcony w tych samych uniwersytetach, z których właśnie wracał Kochanowski, umiał ocenić jego umy-

słową kulturę i talent poetycki. Zresztą, ponieważ i Włochy, i Francya, doskonale były znane hetmanowi z czasów jego młodości, „tysiące więc nasuwało się przedmiotów, obudzających ciekawość wielkiego pana, który zarówno pragnął wywiedzieć się o zaszłych w nich odmianach od czasu swego w nich pobytu, jak i ożywić się wspomnieniami lat młodych. Nie jedną też zapewne chwilę, czy to w hetmańskiéj komorze, czy za stołem obiadowym, spędzał poeta na opowiadaniu o tém, co widział, czego doświadczał, jakich poznał ludzi, czy to biegłych w nauce, czy téż w sprawie rycerskiéj, a to z tém większą swadą, że mu szło o przekonanie hetmana, iż nie napróżno lat tyle na obczyźnie przepędził.” Mimo to hetman zauważył w nim pewien brak, który mu nasunęło na myśl bliższe rozpatrzenie się w owocach dotychczasowéj twórczości poety: oto zapoznawszy się z jego utworami łacińskiemi (a można sobie wyobrazić scenę, gdy mu je czyta Kochanowski), dostrzegł w nich nadmiar erotycznego żywiołu. Były to rzeczy ładne, jego zdaniem, ale błahe, i dlatego zwrócił uwagę poecie, że dopiéro wtedy zasłuży sobie na rzetelną sławę wieszcza, gdy pióro swe przedmiotom podnioślejszym poświęci, zwłaszcza gdy po tematy zwróci się do dziejów własnego narodu, w których z pewnością znajdzie niemało wydarzeń, godnych przekazania potomnym. Życzliwą tę radę wziął sobie Kochanowski do serca, z tém zastrzeżeniem jednak, że jest jeszcze za młody, ażeby się wyłącznie porywać na tak poważne przedmioty. W tém przeświadczeniu napisał swoją elegię do hetmana, zaczynającą się od słów: „Nie wstydź się, Tarnowski, jeżeli kiedy swe imię w książkach mych wyczytasz. Chociaż nie opiewam Teb, ni wysokiego Pergamu... jednak i mnie już Amor, zdjąwszy sajdak, splata wawrzynowy wieniec.” Dlatego nie tracę nadziei, że kiedyś i starożytnych bohatérów wywiodę na boje. Wtedy i ciebie opiewać będę. „Teraz wszakże, póki jeszcze pierwszy ogień wre w piersi, pozwól mi iść w dotychczasowym kierunku; pozwól, zdala od obozu, zdala od dźwięku trąb wojennych, opiewać uczty nocne i zgiełk podchmielonych biesiadników.” Tegoż zdania był i Mielecki, który także przybył — w ślad za poetą — do Wiewiórki [1]). Jego obecność tutaj, jako wnosząca ożywcze prądy młodości, była bardzo na rękę poecie, rozmiłowany bowiem w „ucztach nocnych”, trochę się czuł skrępowany dygnitarską powagą hetmana, a na dworze jego, złożonym z samych starych sług, niejednokrotnie tęsknił za „zgiełkiem podchmielonych biesiadników”. Jakoż,

---

[1]) Dowodu na to nie ma, ale dane, przytoczone przez prof. Plenkiewicza, upoważniają do tego przypuszczenia.

po pewnym czasie, dosyć miał tego katońskiego nastroju, jaki panował w hetmańskiéj Wiewiórce.

Zdaje się, że i Mielecki podzielał to zapatrywanie, gdyż niebawem obaj pożegnali pierwszego dostojnika korony, przenosząc się do Gorliczyna, gdzie w téj chwili rezydował młody Jan Krzysztof Tarnowski, świéżo ożeniony z Zofią Odrowążówną. Wprawdzie i tu obserwowano żałobę po „pani krakowskiéj", ale inaczéj w takich razach zachowuje się podeszły w lata wdowiec, a inaczéj młode małżeństwo, gdzie mąż liczy sobie 21 lat, a żona 17. W takim domu, pomimo p. Hieronima Myszopada i statecznéj „dwornéj pani", którzy tu czuwali nad młodą parą, musiało być weseléj, choćby dlatego tylko, że nie brakło młodego otoczenia obojéj płci. Kto wié, czy poeta nie rozgorzał namiętnym afektem do jakiéj nadobnéj „dworki" z fraucymeru młodéj pani Tarnowskiéj, skoro elegia I, księgi I, przypisana Janowi Krzysztofowi Tarnowskiemu, oprócz ustępu, gdzie poeta zwraca się wprost do niego, tak jest przesiąkła erotyzmem. Co pewna, to, że epiczna elegia o Wandzie, niewątpliwie napisana pod wpływem owych napomnień hetmana, odnosi się do tych czasów, kiedy poeta bawił w Gorliczynie. Pewno ją czytał młodym Tarnowskim i Mieleckiemu... Bądź co bądź, jest to poemacik epiczny, w którym Kochanowski po raz pierwszy osiągnął wysoki stopień przedmiotowości, a jeśli nie wiadomo, coby powiedział stary hetman, przeczytawszy elegię do swego syna, to można być pewnym, że za *Wandę* z pewnością pochwaliłby jéj autora, zachęcając go, ażeby w dalszym ciągu hołdował epickiemu rodzajowi poezyi i

> Służył ojczyźnie miłéj, a jéj sprawom sławnym
> Nie dopuszczał zamierzknąć w ciemnym wieku dawnym [1]).

....W ten sposób upłynął Kochanowskiemu rok 1557. Z początkiem 1558-go naglony różnemi sprawami domowemi i rodzinnemi, powrócił do Sycyny. Tu przedewszystkiém drużbował bratu swemu, Piotrowi, żeniącemu się z Anną Odrzywolską, która mu wnosiła świetny posag w sumie 1,000 florenów, a kiedy po skończoném weselu zaczęło się normalne życie ziemiańskie, żył na wzór braci, stawał po sądach, odwiedzał sąsiadów, przyjmował ich odwiedziny, a gdy przyszło do wypitki, za kołnierz nie wyléwał.

Coprawda, nie zawsze się potrafił dostroić do poziomu téj prostaczéj szlachty, któréj gruboskórność musiała razić jego wytworną naturę człowieka dworskiego... Jakoż dowodzi tego Pieśń XVIII ks. I-éj, zwrócona do jednego z tych sąsiadów-biesiadników, o których poeta

---

1) Zob. *Omen* Kochanowskiego,

trzymał, że „y tak we łbie rozumu potrzeźwiu nie wiele, a ostatek chcą zalać..."

Czołem za cześć, łaskawy móy panie sąsiedzie,
Boże nie day u ciebie bywać na biesiedzie,
Każesz mi pić przez dzięki twe przemierzłe piwo.
Że do dna nie wypijam, patrzysz na mnie krzywo.

Jeślić o sławę idzie, kto więcey pić może,
Daięć przodek w tém męstwie...
Jeśli też tak rozumiész, żebyś mię częstował,
Męczysz mię, nie częstujesz: tociem podziękował.

Cóż dopiéro, gdy pijatyka kończyła się bijatyką, gdy kufle zaczynały „jako grad" latać w powietrzu, gdy jeden i drugi, wziąwszy konwią „aż mu na łbie zostały obręczy", jęczał pod ławą, inni zaś, „ułożywszy się" po kątach, „ronili" wypite piwo, nie przeciwni psom, jeżeli im „gębę ulizali". Takie biesiady, na których niekiedy przychodziło do walki na ostre, nie mogły się podobać wykwintnemu humaniście, który lubił wesołą gawędę przy kuflu, ale w pewnych granicach. „A więc to biesiada? Jeśliście tak weseli, jakaż u was zwada?"

To „u was" pozwala wnosić, że Kochanowskiemu, w czasie tych biesiad z sandomierską szlachtą, mimowoli nasuwało się porównanie z zagranicą, z wesołemi biesiadami padewskich i paryskich studentów, gdzie pito i dokazywano, ale w sposób cywilizowany: tam uczta równała się przyjemności, nastręczała okazyę do miłéj gawędy, a tu... Przypadek zdarzył, że w tych czasach więcéj miał sposobności do poruszania tego tematu, niż kiedyindziéj, a mianowicie w rozmowach z Piotrem Kłoczowskim, z tym samym, z którym przed dwoma laty razem jechał do Włoch. Kłoczowski jeszcze studyował w dalszym ciągu, a teraz przyjechał tylko na letnie ferye. W końcu lata znowu wybiérał się za Alpy. Kochanowski zazdrościł mu szczerze, a gdy go Piotr namawiał, ażeby jechał z nim razem, że ostatecznie traci czas, siedząc w Sycynie, że tu jest niepotrzebny wobec oddalonego terminu podziału majątku, że aż do tego terminu mógłby posiedziéć w Padwie i t. d., poeta miał do zwalczenia silniejszą pokusę, niż się to mogło zdawać Kłoczowskiemu. Ale przezwyciężył się w końcu, a poetycznym śladem téj pokusy jest poważna fraszka *Do Piotra Kłoczowskiego.*

Nie chcę cię, Pietrze, do Włoch drugi raz prowadzić,
Trafisz sam: a mnie téż czas o sobie poradzić.
Jeśli mi w rewerendzie, czy lepiéj w sajanie,
Jeśli mieszkać przy dworze, czy na swoim łanie.
Ty będziesz wczas do tego: a dokądeś młody
Użyj świata za czasu, i piękněj swobody.

Jemu już tego czynić nie przystoi. Ale nie znaczyło to, ażeby Kłoczowskiego nie miał odprowadzić do Krakowa, tembardziéj, że tam miał literacki interes: chciał znaléść nakładcę na swoją pieśń *O potopie*. Nie wątpił, że go znajdzie, zważywszy, że choć nie drukował żadnego ze swoich dotychczasowych utworów, ani łacińskich, ani polskich, jednak poezye te, krążąc w odpisach, zjednały mu poważny rozgłos w całym kraju [1]; ale chcąc w téj sprawie porozumiéć się z księgarzem-drukarzem, należało udać się do stolicy. Poeta uczynił to, a że nie pojechał naprózno, tego dowodzi fakt, ze jeszcze w tymże roku 1558-ym pieśń *O potopie* ukazała w drukowanéj szacie, wydana nakładem Siebeneichera, którego „oficyna" tak ważną rolę odegrała w ówczesnym ruchu literackim. Był to pierwszy drukowany utwór Kochanowskiego.

Ale doglądając jego druku, poeta myślał nietylko o nim, lecz i o moralnéj korzyści, jaką z téj pieśni osiągnąć może: nie wątpił bowiem, że w stosunkach, jakie przy téj sposobności pragnął zawiązać w Krakowie, drukowany utwór, podpisany jego nazwiskiem, tylko mu może ułatwić ich nawiązanie. A zależało mu na tych stosunkach, gdyż czas mu już było „o sobie poradzić". W tym celu przypomniał się swoim dawnym profesorom uniwersyteckim, odwiedził Jakóba Górskiego, który się właśnie wybijał na godnego zastępcę po nieodżałowanym Maryckim, a że zarówno on, jak i ci poważni profesorowie wszechnicy, nie gardzili „pełną prze zdrowie", którą zresztą nie gardził żaden prawdziwy humanista, więc przyszło i do wesołych rozmów przy kuflu, które poecie przypomniały jego dawne studenckie czasy, kiedy to zachwycał się nietylko wykładami Maryckiego, ale i wdziękami owéj „nadobnéj" Zofii... Przypadek zdarzył, że się z nią spotkał i teraz. Niestety, bardzo się zmieniła od owego czasu, jak ją widział po raz ostatni! Zestarzała się, zbrzydła, a nawet i dowcipną być przestała. Co gorsza, to, że jeszcze nie straciła wiary w siebie, że jeszcze próbowała przypodobać się swemu dawnemu wielbicielowi, który jeszcze „przed siedmią lat" nie był obojętnym na jéj wdzięki. Za to dziś zobojętniał tak da-

[1] Już około roku 1550 zaczął Kochanowski zdobywać sobie uznanie, jako poeta, jako współzawodnik Reja, nad którym mu niebawem wszyscy—samego Reja nie wyłączając — zaczęli przyznawać wyższość. „Pomnię ja niedawno (czytamy w *Dworzaninie* Górnickiego), kiedy tu na Prądnik przyniesione było dwoje wierszy, jakoby miały być jedne p. Reya, a drugie p. Jana Kochanowskiego: wszyscyśmy je z podziwieniem wielkiém chwalili, jako trefne, jako śmieszne, jako uczone..." Górnicki odnosi to wspomnienie do roku 1549-go, z czego się w ten sposób tłómaczy w przedmowie do *Dworzanina*. „Lubo jego wiersze jeszcze się były nie wsławiły„ ale to nic, bo jednak rychło potém p. Kochanowski wiersze pisać począł., Jeśli rychło po roku 1549, to w r. 1558 już się niemi wsławił...

lece, że kiedy ona poczęła się mizdrzyć, on na te zaloty odpowiedział wesołą fraszką *Do Zophiey:*

Nie tyś to, o Zophiia, nie ty na mą wiarę.
. . . .
Ciebie nie wiem jako zwać: co poczniesz, niegrzeczy
. . . .
Żartom nikt się nie śmieje, na gniew nic nie dbają
A jeśli słowo rzeczesz, jeszczeć y nałają.
Nakoniec, krom imienia, niémasz nic dawnego.
Bierzmuy się, proście przebóg, a zbądź już y tego...
O lata zazdrościwe, wszystko precz niesiecie,
Zofiia nie Zofią, kiedy wy przypniecie!

Tymczasem zanosiło się na sejm walny, zwołany na 20 listopada do Piotrkowa, sejm budzący wiele obaw i nadziei. „Ztąd niezwykle było gwarno i rojno w Piotrkowie, którego szczupły, murami zewnętrznemi zacieśniony obręb, zaledwie mógł senatorów i małą liczbę posłów pomieścić; reszta musiała na przedmieściach, lub nawet po wsiach okolicznych, szukać kąta dla siebie". Wraz z tłumami szlachty, przybył tu i Jan Kochanowski, wiedziony potrzebą ustalenia swego losu na przyszłość. Przyjechał z najlepszą otuchą, bo liczył na poparcie swych dotychczasowych protektorów: Tarnowskich, Tęczyńskich, Firlejów, Mieleckich, którzy tu wraz ze swemi dworami przybyli również, a których osobiste stosunki, bądź z królem samym, bądź z podkanclerzym, mogły mu miejsce w kancelaryi królewskiéj, tak upragnione przezeń, wyjednać. Zrazu wszystko szło jaknajlepiéj, choć tło było chmurne, choć burzliwy sejm świadczył o smutnym stanie kraju, w którym jakiś „wróg niewidomy"—a była nim waśń religijna—„mieszał ludzkie rzeczy". Ale poeta znajdował się w tém szczęśliwém położeniu, że stał po za tém wszystkiém, ludzie zaś, z którymi tu stykać się miał sposobność, w wysokim stopniu—niektórzy przynajmniéj—odpowiadali jego usposobieniu. Niedość bowiem, iż się poznał z Rejem, który także zjechał do Piotrkowa, jako poseł ziemi krakowskiéj, i że miał możność częstego obcowania z Mieleckim, z młodym Tarnowskim i wielu innymi, ale się poznał z Łukaszem Górnickim, w téj chwili sekretarzem podkanclerzego Przerębskiego, a również wychowańcem padewskim. O trzy lata starszy od poety, był to humanista rzetelny, cyceronianin pierwszéj wody, serdeczny przyjaciel Nideckiego, a przytém osobistość wpływowa, dzięki przyjaznym stosunkom z Padniewskim. Wszystko to nadawało mu ogromnego waloru w oczach Kochanowskiego, który rozumiał, że jeżeli kto może go wprowadzić do kancelaryi królewskiéj, to Padniewski właśnie. Wiedząc o tém, trzymał

się Górnickiego, a tak się z nim zaprzyjaźnił w ciągu téj bytności w Piotrkowie, że go aż wspomógł pożyczką... W miarę jednak, jak sejm zbliżał się ku końcowi, t. j. ku zerwaniu, poczęły się rozwiéwać nadzieje i złudzenia Kochanowskiego. Przekonał się, że jego sprawa wcale nie była na dobréj drodze, że mu wypadnie wracać z niczém. Na nic się zdała znajomość z Górnickim, na nic się zdały starania o protekcyę Padniewskiego, ten bowiem, na skutek chwilowéj konstelacyi politycznéj, a głównie na skutek tego, że miał przeciwko sobie stronnictwo Przerębskiego, po którym otrzymał podkanclerstwo, znajdował się w tém fatalném położeniu, że nikogo, pomimo najszczerszych chęci, do kancelaryi królewskiéj, bez narażenia własnéj godności, wprowadzić nie mógł. „W takich zaś okolicznościaah trudno było forytować kogoś, zwłaszcza, że do kancelaryi królewskiéj ciśniono się nietylko w widokach promocyi, ale i dla materyalnych korzyści. Za wszystkie bowiem czynności, jak wypisy, listy, przywileje, za każde niemal poruszenie piórem, pobiérano grube opłaty. Każdy więc nowoprzybyły, niemile tu był witany, gdyż pomnażając liczbę pisarzy, umniejszał dawniéj pracującym dochodów. Takich zaś zasiedziałych kreatur Przerębskiego był cały legion w kancelaryi królewskiéj. Drażnić przeto to gniazdo, gdy ostrożność nakazywała myśléć o zabezpieczeniu własnego stanowiska, byłoby krokiem arcy niepolitycznym, a nawet samemu protegowanemu szkodliwym”. Powyższe względy sprawiły, że poeta musiał zrezygnować z aspiracyi, jeżeli nie na zawsze, to chwilowo przynajmniéj. Zrezygnował, ale wyjeżdżając z Piotrkowa, wyjeżdżał rozgoryczony, bez wiary w siebie i w przyszłość.

W podobnym nastroju znalazł się z powrotem w Sycynie, gdzie mu dopiéro niepowodzenie, zaznane w czasie téj wyprawy po złote runo, na dobre zaczęło się dawać we znaki. Przedewszystkiém starsi zaczęli „mądrzyć” nad tym wypadkiem. Ani im przez myśl przeszło, iżby mógł powrócić z próżnemi rękoma. Więc na to tak długo siedział za granicą, studyował po Wenecyach, Padwach, Paryżach, ażeby teraz nie miéć żadnych owoców z téj edukacyi, która tak była kosztowna! O, stanowczo zmalał w ich oczach! Do owego sejmu imponował im trochę, jako człowiek, co tyle nauk miał za sobą, a pozostawał w przyjaznych stosunkach z pierwszemi rodzinami w kraju, na których dworach przebywał. Ale po powrocie z Piotrkowa? Jużci, gdyby był tak uczony, jak mówiono, z pewnością poznanoby się na nim, nie dano odjechać z niczém. I zaczęto powątpiewać o jego zdolnościach i mądrości, a gorszyć się życiem bezczynném, jakie — zdaniem najbliższych — prowadził. Gospodarstwem nie zajmował się, część Sycyny, przypadającą na siebie, puścił w arendę Piotrowi, a pozatém czytał książki,

pisał jakieś wiersze, z których, powątpiewano, ażeby mu co przyszło w życiu. Wszak już półtora roku ubiegło, jak wrócił do kraju, a czego dokazał! Tymczasem Piotr, choć także wyższych nauk świadom, ożenił się świetnie, a teraz uprawiał ojczysty zagon, wcale w tém nie widząc ujmy dla siebie. A cóż dopiéro Kacper, który już zajmował urząd podstarościego, a korzystnemi zastawami pomnażał fortunę, nietylko swoją, ale i braci. To przynajmniéj człowiek do rzeczy! A on nietylko majątku nie przysporzył, ale go uszczuplał swemi ciągłemi wyjazdami. Jednem słowem rozczarowano się nim.

W takiém usposobieniu zaczęto poruszać drażliwą kwestyę działów majątkowych, aż w końcu postanowiono podzielić się rodzicielską spuścizną, tak, by odtąd każdy, gospodarując na przypadłéj mu z prawa części, sam o dalszym swym losie stanowił. Była to nad wyraz przykra epoka w życiu poety; niedość bowiem, że w ogóle czuł się zrażony do rodziny, którą stryjowie buntowali przeciwko niemu, ale się musiał użérać z niemi, targować o każdy kawał gruntu, jeśli nie chciał dopuścić, aby go skrzywdzono. I tak zasada, któréj postanowiono przestrzegać w téj sprawie, z góry była ukartowana na jego niekorzyść. Bo jakaż to była zasada? Oto obrano za punkt wyjścia, że ponieważ młodsi bracia mniéj od starszych mieli sposobności korzystania z łask rodzicielskich, słuszna więc, by się im najlepsze części dostały. „Że zaś Jan (mówiono) otrzymał tak świetne, jak żaden z braci, wykształcenie, przeto tém samém utracił prawo do równego z nimi podziału: sumy bowiem, jakie pochłonęła zagranica, wartość nie jednéj części, przypadającéj do podziału, przeniosły. To więc, co zdobył w nauce, powinno mu część należną w ziemi zastąpić, zwłaszcza, że przeznaczony przez rodziców do duchownego zawodu, miał przed sobą drogę otwartą do godności i bogactw, która przed innymi braćmi nazawsze była zamknięta". Może było nieco słuszności w tém rozumowaniu, sposób jednak, w jaki mu to poznać dawano, był tego rodzaju, że poeta „teraz dzień i noc nękany troską i pracą", musiał stać na straży swojego mienia, jeśli nie chciał, żeby mu je wydarto. Zapraszany do Krakowa, gdzie chwilowo bawił Andrzéj Dudycz, świéżo przybyły z Nideckim i St. Fogelwederem, musiał sobie odmówić téj przyjemności zobaczenia się ze swymi padewskimi przyjaciółmi, „albowiem (jeśli godzi się małe porównywać z wielkiém), jako niegdyś na Ulissesa z dalekich krajów powracającego czychali zalotnicy, tak téż są tacy (pisał w epigramacie do Jędrzeja Dudycza), co i moje, o ile tylko można, zrujnowaćby chcieli, gdybym tylko nie czuwał i gdybym, wieszcz Muzom poświęcony i więcéj do pokoju przywykły, jakkolwiek ojcowskim nie bronił się orężem". W takich warunkach chodził koło téj nieszczęsnéj sprawy

podziałowéj, z upragnieniem oczekując jéj końca. Tymczasem sprawa przeciągnęła się aż do lata, jak o tém świadczy akt podziałowy, spisany w grodzie radomskim dnia 13 lipca 1559 r. „po należytéj rozwadze i zasiągnieniu zdania przyjaciół", a z którego okazuje się, iż poeta, który koniecznie chciał dostać Sycynę (ostatecznie oddaną Mikołajowi i Jakóbowi) wywalczył sobie *arcu patrio* połowę Czarnolasu, wraz z młynem na rzece Grodzkiéj.

Zostawszy właścicielem wschodniéj części czarnoleskich obszarów, nie zwłócząc długo, przeniósł się do swojéj nowéj „uszczyplonéj" dziedziny, która odtąd miała się stać jego Tusculum, i tu, w tym wielkim folwarku, zewsząd otoczonym borami, zaczął się wdrażać do ziemiańskiego żywota, przeplatanego pracą na niwie poezyi. A Czarnolas bardzo się nadawał do podobnych zajęć. Był to folwark niewielki, ale miły. Zwykły dworek szlachecki, położony na wschodnim krańcu wsi, a „rozdzielony sienią na dwie połowy, tak, iż po jednéj stronie mieściły się izby mieszkalne, po drugiéj dymna czeladna", zapewniał spokój i ciepły kąt podczas zimy: słowem, choć pochylony laty, nie pozostawiał, jako dach nad głową, nic do życzenia. Szczupły był, ale własny. A przytém był położony w pięknym ogrodzie, w zieleni drzew odwiecznych, a z tych najpiękniejszą była stara lipa, rosnąca pode dworem. Po przeciwległéj stronie, od północy, ciągnął się dziedziniec, obramowany gumnami i oborami, a te dochodziły aż do drogi. prowadzącéj od głównego traktu. Dokoła czerniał bór, odgraniczony obszarami pól uprawnych, łąk i nieużytków piaszczystych. Zdaje się, iż ostatnich było najwięcéj, skoro sam poeta z właściwym sobie humorem przyznaı niebawem w jednéj ze swych wesołych F r a s z e k, że na jego dziedzictwie obficiéj rodzą się pieśni, „niż jęczmień i żyto." O pszenicy nie było mowy. „W tém to ustroniu poeta miał teraz urzeczywistnić swe sielskie obrazy, o których marzył w Padwie... Tylko dziś brakło do posługi Amorka i p a n i s e r c a, która miała towarzyszyć pracom jego oraczym". Bo, że mu się często dawało we znaki osamotnienie, z tém się nie tail. Oprócz stryja Filipa, który, jako mieszkający na zachodnim krańcu wsi, był jego najbliższym sąsiadem, a z którym, od chwili działów majątkowych wcale nie pozostawał w dobrych stosunkach, nie miał nikogo, z kimby się mógł podzielić myślami. Po za czeladzią, dla któréj pewno nie był złym panem, jedynym człowiekiem, z którym mógł pogawędzić przy kuflu, był stary włodarz miejscowy. Poeta, w braku innego towarzystwa, bardzo polubił tego sługę, a nietylko dopuszczał go do poufałości z sobą, ale polegając na jego doświadczeniu, wszystko, co było gospodarstwem, zdawał na jego rozum: ostatecznie wiedział, że gospodarując w ten sposób, lepiéj wyjdzie na tém, aniżeli

gdyby sam wziął na siebie obowiązek obmyślania i doglądania roboty. Jakoż skończyło się na tém, że włodarz gospodarował za niego, a on, bądź siedząc pod lipą przed domem, bądź nie wychodząc ze swéj komory, któréj największą ozdobą była jego *libraria*, służył Apollinowi i Muzom. Wieczorami zaś, po skończonéj orce w polu, zapraszał włodarza, częstował go, wyciągał na rozmowę, a jedną z takich rozmów z nim, jako charakterystyczną przymówkę chłopską, nawet uwiecznił wierszem:

— Piy-że, Włodarzu.
— Panie, iużem podpił sobie.
— Piy ty przedsię. Dziękuję, jako panu, tobie.
— Mało już nie mam za swe, a człowiek się boi,
By słówkiem nie wyleciał, co więc chmiel rad broi.
— Piy-ty Włodarzu, i mów, coć się będzie zdało,
Prosto, iako za naszych oyców więc bywało.
— Tak ci bywało, panie, pijaliśmy z sobą,
Ani gardził pan kmiotka swojego osobą:
Dziś wszystko już inaczéj: wszystko spoważniało,
Jako mówię: postawy dosyć, wątku mało.

Ale, choć osiadł w Czarnolesie, nie zwątpił o możności dostania się do kancelaryi królewskiéj, o któréj przemyśliwał ciągle. Niestety, Zygmunt August ciągle przebywał w Wilnie, co za sobą pociągało konieczną odwłokę całej sprawy. Ale, co się odwlecze, to nie uciecze, myślał sobie Kochanowski, a skoro mu się nie poszczęściło dotychczas, to jeszcze nie dowód, iżby wątpić o wszelkiéj karyerze. Swoją drogą dręczył się myślą, że inni jakoś dawali sobie rady w życiu, a jemu szło wszystko oporem. Oto Górnicki, obok sekretarstwa podkanclerskiego, został bibliotekarzem królewskim, a Nidecki, który mu o tém donosił, wszedł w stosunki z Myszkowskim, sekretarzem większym, który mu robił nadzieję, że go umieści w kancelaryi. A on tymczasem, przy całéj pewności, iż był zdolniejszy od tamtych, rdzewiał w ustronnym Czarnolesie, w dali od wszelkiéj atmosfery humanistycznéj, w dali od wszystkiego, co było cywilizacyą, a czém on tak nasiąkł za granicą. Co robić więc? Jak zaradzić temu położeniu? A żeby spróbować raz jeszcze? Żeby pojechać do Wilna, zbliżyć się do dworu, skorzystać ze stosunków Nideckiego i Górnickiego? Wszak poprą go, gdy im wyjawi powód, dla którego przedsiębrał tę daleką podróż. W każdym razie, nie ruszając się z Czarnolasu, nic nie wskóra... W tém przeświadczeniu, z nadejściem jesieni, po ukończeniu zasiewów, gdy na wsi niéma wiele do roboty, pojechał do Wilna.

II.

Jechałeś potym ziemią, tam gdzie Wilna cicha
Górę z wieku sadzoną potaiemnie spycha,
Czyniąc sobie gośćiniec cichy do śiestrzyce,
Którćj szumny bieg słyszy przez wąskié granice.

Słowa te, wyjęte z *Pamiątki*, odnoszą się równie dobrze do Jana Tęczyńskiego, jak i do ich autora, który teraz przyjeżdżał do stolicy Gedymina. Gród ten, zaparty lesistemi górami, opasany świéżo wzniesionemi murami i okopami, które opierścieniały zbitą gęstwę domów drewnianych przeważnie, a wieńczony dwoma zamkami, składał się z różnorodnéj ludności: oprócz zamożnego mieszczaństwa, zamieszkującego domy na Rynku, widziano tu, zwłaszcza w t. zw. *Gościnnym dworze*, wielką mnogość Żydów i tureckich Tatarów, Turków, Wołochów i Niemców, których barwne stroje na tle straganów z porozkładanemi towarami, nadawały temu miastu jakiś wschodni koloryt, nie pozbawiony malowniczości. Kochanowskiemu jednak, przybywającemu do stolicy Litwy, najmniéj chodzilo o jéj zewnętrzy wygląd, bo 1) nie umiał na świat patrzéć okiem malarza, a 2) jechał z jasno wytkniętym celem, z którego artystyczne wrażenia były prawie wykluczone. Nadto zanosiło się na wojnę, o któréj wszędzie musiał słyszéć po drodze, a całe Wilno roiło się od pocztów zbrojnych, zalewających wszystkie ulice i place, gdyż była to chwila, w któréj pospolite ruszenie, pod wodzą Hieronima Chodkiewicza, gotowało się na wyprawę do Inflant. Ta atmosfera wojenna, odbiła się w elegii do Nideckiego, u którego poeta stanął kwaterą, a który, podobnie jak i on, wcale rycerskim duchem się nie odznaczał. „Wojna grozi, Patrycy! czyż i my pójdziem na wojnę, czyż i nam wypadnie zapisać się do twardéj żołnierki?" Nie miał ochoty po temu — jak to wynika z dalszego ciągu elegii—a powtóre, nie po to zjechał do Wilna.

Po co przyjechał, z tém pewno nie taił się przed Nideckim, skoro, ledwo przyjechał, zaraz wszedł w stosunki z wojedwodą wileńskim Mikołajem Radziwiłem Czarnym, mającym, jako brat Barbary Radziwiłłówny, największy wpływ na króla. Jako zagorzały krzewiciel kalwinizmu, był to „najgorszy z heretyków"; mimo to, pałac jego, położony naprzeciw kościoła św. Jana, słynął ze swéj przysłowiowéj gościnności, na któréj się nie zawiódł i Kochanowski: był bardzo dobrze przyjęty. Co prawda, znajdował się w tém szczęśliwém położeniu, iż nietylko korzystał z przywilejów człowieka, który już zdążył się wsławić jako poeta, ale nadto zjawił się na dworze wojewody, jako

oddawna znany jego żonie Elżbiecie Szydłowieckiéj, z domu, a więc Odrowążównie. Ostatnia okoliczność była pewném ułatwieniem dla Kochanowskiego, bo jako współherbowny z wojewodziną, a nawet pochodzący z tych samych stron, co ona, był dla niéj, jako sandomierzanki, nadzwyczaj miłym i pożądanym gościem. „Przynosił z sobą, jakby woń ziemi rodzinnéj i budził niejedno z lat młodocianych wspomnienie, które, bodaj czy w jéj duszy nie świéciło jaśniéj, niż blaski mitry książęcéj i dostojeństw, które na nią przez małżonka spływały! Wychowana w tradycyach pobożności, wspólnych całemu rodowi Odrowążów, nagle ujrzała się pod wpływem anti-katolickim małżonka, który zadając gwałt jéj sumieniu, narzucał jéj swe dogmata..., aż w końcu znękał jéj umysł, złamał wolę i do odstępstwa przymusił." Jedném słowem była to kobiéta nieszczęśliwa... Co innego mówi dedykacya *Zuzanny*, przypisanéj przez Kochanowskiego „iéy M. Paniey Elżbiecie z Szydłowca, na Ołykach y Nieświeżu Księżnie, etc." a w któréj poeta zapewnia swą protektorkę, iż szczęście jéj dochodzi tego kresu, „że nie wiem, jeśli prosić o więcéj się godzi". Cóżkolwiekbądź, piérwsze słowa dedykacyi, poprzedzającéj ten wdzięczny poemat biblijny, są piękną charakterystyką zacnéj, a młodo zmarłéj matki dzieci wojewody:

Wszytkich skarbów na świecie, y wszytkiego złota,
Godnaby, zacna pani, twa dobroć i cnota.

Co pewna, to, iż jak *Zuzanna* należy do pierwszorzędnych i najdoskonalszych dzieł poety, tak, ofiarując ją „poprostu przybraną", t. j. w rękopisie, wojewodzinie, bardzo liczył na jéj dobroć i wpływ na męża, który go mógł polecić do kancelaryi królewskiéj. Niestety, chwila, w któréj się powierzał opiece i protekcyi wojewody, była nieodpowiednia, gdyż była to chwila właśnie, w któréj Padniewski „brał górę" nad Radziwiłłem, gdy chodziło o wpływ na chwiejny umysł króla. Ztąd poszło, iż Radziwiłł, choć mógł miéć najlepsze chęci, nie wiele mógł zdziałać dla poety; paraliżował go Padniewski, świéżo mianowany biskupem krakowskim.

Nie znaczyło to przecież, ażeby sam Padniewski nie chciał czegoś zrobić dla Kochanowskiego, ażeby mu nie zależało na pozyskaniu go sobie. Najlepszy dowód, że wtedy, gdy autor *Zuzanny* zaczął powątpiewać o możności dostania się na dwór królewski, on, Padniewski, zaprosił go — przez Nideckiego zapewne — na swój dwór biskupi. Sam humanista i poeta, „dostąpiwszy jednéj z najwyższych w kościele polskim godności, pragnął teraz otoczyć się blaskiem, któryby zaćmił hulaszczą rozrzutność Gamrata, humanistyczą dworskość Maciejowskiego, wreszcie przepych wielkopański poprzednika, Zebrzydowskiego,

słowem, postawić swój dwór na takiéj stopie, iżby obok okazałości zewnętrznéj, zajaśniał doborem co najpierwszych w kraju humanistycznych zdolności. Jeżeli zaś kto, to Kochanowski trafiał w rym owych chęci". Ale poeta, wbrew wszelkim oczekiwaniom biskupa, wcale się nie zapalił do roli dworzanina biskupiego, ostatecznie bawiem, choć tu chodziło o coś więcéj, bo o rolę nadwornego poety biskupa, to jednak oficyalnie miał być tylko dworzaninem, a to mu nie wystarczało: poprostu nie wyobrażał sobie, ażeby na téj drodze mógł zrobić jakąkolwiek świetniejszą karyerę. Innego zdania byli Górnicki i Nidecki, którzy go, jak się zdaje, przekonali w końcu, że źle czyni, ociągając się z wstąpieniem na dwór Padniewskiego. „Jeżeli szło o kancelaryą królewską (tłómaczyli mu), to wstęp do niéj przy protekcyi biskupa zawsze był dla niego otwarty; gdyby zaś obrał zawód duchowny, zkądże, jeśli nie z jego dworu, najprostsza droga wiodła do beneficyów intratnych". A powtóre, służba w kancelaryi królewskiéj, wymagająca całodziennéj pisaniny, redagowania rozmaitych aktów, obrabiania najrozmaitszych spraw, i t. d., nie była dla niego, kiedy służba na dworze biskupa, który pragnął mu zapewnić byt nieskrępowany ściśle oznaczonym obowiązkiem, byle tylko mógł tworzyć spokojnie, była jakby stworzona dla niego. Zdaje się, że te i tym podobne argumenty przekonały Kochanowskiego, gdyż w końcu zdecydował się stać „w pacholczém kole" dworzan Padniewskiego. Jakoż wstąpił na jego dwór.

I nie żałował tego. Okazało się bowiem, że w swobodniejszych chwilach, gdy i podkanclerzy i jego ulubieńsi podwładni, jak Górnicki i Nidecki, a wraz z nimi i Kochanowski, mniéj mieli do roboty, przychodziło do uczonych rozmów przy stole biskupa, rozmów, podczas których poeta miał możność wejścia w poufalszy stosunek z Padniewskim, a w których poruszano nietylko takie przedmioty, jak wspomnienia padewskie lub cycerońskie Fragmenty, ale i kwestye związane z chwilą bieżącą, z polityką, z reformą etc. etc. Kochanowski zaczynał się czuć w swoim żywiole, raz, że go nie przeciążano nudną pracą biurową, a powtóre, że sam Padniewski był świetnym typem humanisty, „w którym wszystkie przymioty umysłu i właściwości charakteru zléwały się w całość harmonijną, tworząc z niego w pewnéj mierze doskonałego człowieka."

Niezależnie od tego, musiał Kochanowski, w celu uregulowania swych interesów gospodarskich, przerwać te humanistyczne sympozyony. Wypadało zajrzéć i do Czarnolasu. Wrócił więc, a nie przypuszczał nawet, rozstając się z biskupem, że upłyną dwa lata, zanim go ujrzy znowu... Mimo to, zjechawszy do domu, gdzie bądź co bądź czuł się panem i pierwszą osobą, nie tracił czasu, przerabiał dawne utwory,

pisał nowe, studyował Arata, a nawet nie gardził zwykłą dolą ziemianina, który, siedząc na roli, nie stroni od sąsiadów, od rodziny. Bo i z rodziną wolał żyć w zgodzie, aniżeli siebie i ich drażnić ciągłemi zatargami. Jednėm słowem, prowadził żywot harmonijny, który jeżeli mu co zakłócało, to chyba zbyt obfite żniwo śmierci. Bo śmierć kosiła jak zwykle, bez względu i na takich ludzi nawet, jak St. Tęczyński, zmarły w grudniu r. 1560, i hetman Tarnowski, który w d. 16 maja 1561 r. w Wiewiórce,

Pełen wieku i przystojnėj chwały,
Sam się prawie położył, jako kłos dojrzały.

Pod wrażeniem tėj śmierci, a następnie wspaniałego, iście królewskiego pogrzebu, w którym wziął udział, napisał Kochanowski, zwracając się do Jana Krzysztofa Tarnowskiego, jako nadziei i podpory wielkiego domu, dwa wiersze: elegię łacińską, bardzo długą, w któréj opowiedział całe życie hetmana, i pieśń polską *O śmierci Jana Tarnowskiego*, która w tymże roku jeszcze, sumptem syna, wyszła w Krakowie.

Tymczasem w marcu 1562 roku, odbywał Padniewski „przy oklaskach i okrzykach ludu" swój uroczysty wjazd do Krakowa, a poeta nietylko się w tėj chwili znajdował w świeckiém otoczeniu biskupa, ale mu, jako „swėj ozdobie i ulubieńcowi muz aonijskich" ofiarował kwiecisty „wieniec z Helikonu" w formie elegii łacińskiéj, wychwalającéj cnoty podkanclerzego [1]) i wyrażającéj radość z jego przyjazdu. „Ciebie matka Wisła, w żółte włosy wplótłszy gałązki wierzbowe, już dawno, wynurzywszy się z nurtów przezroczystych, radośnie przywołuje... Ciebie, w grodzie Krakusa, najpiękniejsza siedziba i poświęcane wieńce mające skroń twą ozdobić, oczekują; ciebie pragną oglądać dobrzy obywatele; tobie, w pełnych koszach, należne dary niosą wiślane Najady". Od tego uroczystego dnia począwszy, Kochanowski stale przebywał w gronie dworzan biskupa, a choć nie brakło najróżnorodniejszych zajęć, które niezawsze były interesujące, to jednak nie skarżył się na swoją dolę. Wyróżniany przez Padniewskiego, którego sobie musiał ująć swą elegią, przykładał się do niektórych robót w kancelaryi, był używany np. do korespondencyi, tak z królem, jak z koronnymi panami, lecz wogóle nie przepracowywał się. Natomiast korzystał z miłego i kształcącego towarzystwa kilku sekretarzy kancelaryi królewskiéj,

---

[1]) Kto wie jednak, czy elegia ta nie została napisana wcześniéj, niż przypuszcza prof. Plenkiewicz. bo właściwie jest ona, nie wyrazem radości z przyjazdu biskupa, lecz wyrazem niecierpliwego oczekiwania na jego przyjazd, od dwóch lat odkładany z dnia na dzień.

którzy, przebywając na dworze biskupim, byli, jako *lumina* humanistyczne, jego prawdziwą ozdobą. Wedle słów Jakóba Górskiego, który sam również do tych *luminów* należał, stanowili to wybrane kółko: Andrzéj Krajewski, wyćwiczony w akademii bonońskiéj, a obecnie kanclerz biskupi; Stempowski, młody człowiek, nadzwyczaj biegły w naukach humanistycznych i piórze; i wreszcie „doktór Patriciusz" Nidecki, którego cycerońskie Fragmenty świéżo wyszły w Wenecyi. O Kochanowskim wyraża się Górski, że „niegdyś wiele zakosztowawszy nauk, teraz słodszéj nad nie oddał się Muzie (*Musae mansuetiosi amantissimus*)". Widoczna zatem — konkluduje prof. Plenkiewicz—iż Padniewski nie obarczał go zbyt zajęciami, pozwalając mu za to częściéj dosiadywać Pegaza. Oprócz tych *luminów*, z którymi poeta „w biskupiéj komorze" niejedną pogodną chwilę przeżył, nie brakło i wesołych birbantów, jak doktór Montana, unieśmiertelniony w tylu *Fraszkach*, lub St. Złotnicki, którego pamięć przetrwa w *Foricoeniach*. W ich towarzystwie, sławiąc „wino, lutnię, podwikę", i sypiąc *Fraszkami*, jak z rękawa, spędzał czas poeta, niewiele myśląc o jutrze, jeno używając błogiego dzisiaj. Na mieście także miał mnóstwo znajomości zarówno w sferach duchownych, jak mieszczańskich. Ze Stan. Porębskim, poetą, którego *Skotopaski* stawiał na wyżynie sielanek Teokryta, miał możność gawędz nia o literaturze; z Feliksem Kosem, służebnikiem kanonika krakowskiego, niejednokrotnie „weselił się" w miejscowych gospodach; a z mieszczańskiemi rodzinami Kirschsteinów i Glaców, należącemi do rodów patrycyuszowskich, żył na serdecznéj stopie: tak dalece, że staremu Kirschsteinowi, zwanemu także Cezarynem, napisał piękny epigramat, nazywając go „czcicielem prawa i słuszności", a Josta Glaca aż trzy razy „włożył między fraszki".

W ten sposób, na przestawaniu z takimi ludźmi, upłynęło mu dwa miesiące. W czerwcu przeniósł się wraz z całym dworem Padniewskiego, rozpoczynającego objazd dóbr, do Kielc. Tutaj, w téj ulubionéj rezydencyi letniéj biskupów krakowskich, w obszernym dworze drewnianym, przez Piotra Tomickiego wystawionym, na tle uroczego pejzażu, na który składały się odnóża gór Świętokrzyskich, odwiecznemi lasami pokryte, oddychał Kochanowski, naprzekór swojéj opinii człowieka „wolnomyślnego", nietylko ożywczém powietrzem górskiém, ale i atmosferą duchowną i księżą, „środkującą między kościołem a zakrystyą". Dwór roił się tłumem prałatów, kanoników i niższego duchowieństwa, ale poety nie wytrącało to z równowagi: umiał przystosowywać się do każdego otoczenia, mieniąc się, jak Proteusz, „to w smoka, to w deszcz, to w ogień". To sprawiało, że ciągle trwał w nastroju pogodnym, ktoremu dawał wyraz w licznych fraszkach

i epigramatach, pisanych na różne osobistości z najbliższego otoczenia. Tymczasem, po krótkim pobycie w Kielcach, przeniesiono się do Bodzentyna, do zamku biskupiego, którego białe mury jaśniały na wysokiém wzgórzu, z którego okien rozlegał się widok na wspaniały ogród, słynny ze swoich drzew owocowych i na kopiaste, lasami pokryte góry. O piękniejszéj siedzibie marzyć było trudno. Jedyną okolicznością, zakłócającą ten błogi żywot, było przymusowe towarzyszenie Padniewskiemu, gdy zasiadał na sądach, ale i tak nie brakło czasu na humanistyczne *otia*. Cóż dopiéro, gdy się po paru tygodniach przeniesiono do Iłży, do któréj już sama podróż „przez skały nieprzebyte" była nadzwyczaj przyjemną rozrywką w czasie skwarnego lata. W średniowiecznym zamku iłżeckim, zbudowanym na stroméj górze, obronnym murami i basztami, a niedawno przekształconym w stylu renesansu, nie miało się wrażenia, że się przebywa w sępiém gnieździe, pomimo groźnego i posępnego wyglądu zamczyska. „U stóp bowiem kamiennego olbrzyma, od północo-zachodu, było miasto, którego domy, widziane ztąd, maleją do rozmiarów wyciętych z kart budynków, ludzie—do rozbiegłego za pożywieniem mrowiska. Wokół zresztą rozłożyły się pola i łąki kwieciste, przerznięte łożyskiem Iłżanki; wszystko to zaś objęły kołem iglaste lasy. Podobne otoczenie, co prawda, nie wieleby jeszcze nęciło oko, pomimo urozmaicenia okolicy przez rozrzucone tu i owdzie wioski i młyny; ale właśnie ponad te lasy, opadłe w dół, wzrok mógł sięgać na południe w przestrzeń o rozległéj a głębokiéj perspektywie, w któréj na ostatnim planie, w przezroczu powietrznèm, błękitniało pasmo gór Święto-Krzyskich..." Kochanowski nie został obojętnym wobec tych gór, skoro w swojéj *Pamiątce* powraca myślą, „tam, gdzie ku niebu patrzą Kazimierskie skały". Jakoż wspomnienia jego, wyniesione z pobytu w Iłży, były nader przyjemne, jak o tém świadczy epigram do Jakóba Górsiego. „Tu nawet, gdzie Iłża spoziera na żyzne pola, tu przez bystre potoki i skały nieprzebyte, doszła, Górski, wieść głosząca twoje czyny". I nie dziw, że doszła, bo gdzie było tylu wykształconych mężów, skupionych koło osoby biskupa, tam interesowano się wszystkiém, co wchodziło w zakres humanizmu, a takie zdarzenia, jak Górskiego spór z Herbestem, w którym Padniewski był uproszony na rozjemcę, najwięcéj dostarczały tematu do rozmów w otoczeniu dworskiém. Że to otoczenie nie gardziło i winem, zwłaszcza, jeśli to było wino węgierskie z Muszyny, o tém świadczy fraszka *Do Starosty Muszyńskiego*, którego poeta obiecuje swemi „pijanemi rymy" aż do nieba wprowadzić, jeśli go i jego towarzyszów, chcąc się popisać swym „smakiem starodawnym" uczci dobrym węgrzynem...

Tak zeszło całe lato. Pod jesień wrócono do Krakowa, właśnie

w chwili, gdz uniwersał królewski zapowiadał dokonanie „egzekucyi" w całéj pełni, głosząc bez ogródki, że „dopóki się ten pień z drogi nie zwali, trudno się ma co o porządku jakimś mówić". Uniwersał ten, zważywszy, iż różnowiercy domagali się nietylko świeckiéj egzekucyi, ale i duchownéj, stał się źródłem różnych obaw na dworze biskupim, przeczuwano bowiem, że się zanosi na zaciętą walkę z różnowiercami, podczas któréj Padniewskiemu, jako biskupowi, przyjdzie wystąpić w obronie kościoła, co w danéj chwili wcale nie było łatwe. Wiedziano również, że w téj walce musi przyjść do starcia między Padniewskim a Myszkowskim, a to starcie mogło piérwszego z nich zachwiać. Jedném słowem, zapanowała pewna konsternacya na dworze biskupim, co widząc Kochanowski, coraz częściéj zaczął przemyśliwać o dostaniu się na dwór Myszkowskiego.

Tymczasem d. 29 lutego 1562 r. rospoczął się sejm w Piotrkowie, sejm, na którym różnowiercy, ośmieleni uniwersałem Myszkowskiego, chcieli przeprowadzić kościół narodowy. Walka toczyła się zażarta, napaści zaś zwrócone przeciwko biskupowi, były tak silne, że już 5 grudnia Padniewski złożył pieczęć podkanclerską. Była to klęska, którą i Kochanowski musiał odczuć bardzo żywo. Upływały miesiące, nadszedł luty, a protestanci nie tracili animuszu; przeciwnie, rozzuchwalili się do tego stopnia, że nietylko napadali na Zygmunta Augusta, nietylko piorunowali przeciw przywilejom duchowieństwa, domagając się równouprawnienia, ale poprostu zaczynali grozić biskupom... Ci ostatni, widząc, że się nie uporają z potężném stronnictwem protestanckiém, wpadli na pomysł, ażeby wypuścić pismo przeciwko różnowiercom, któreby ich zdyskredytowało w oczach opinii publicznéj. W ten sposób powstała *Zgoda* Kochanowskiego, napisana z polecenia Padniewskiego, a będąca ciętą odprawą różnowiercom. Kij, wetknięty w mrowisko, mniéj czyni zamieszania w pośród mrówek, aniżeli ta broszurka poety, w licznych odpisach rozrzucona pomiędzy posłów. Zakipiało w obozie protestanckim, a na Kochanowskiego -- którego w tym obozie uważano za swego — posypały się zarzuty, że został jurgieltnikiem biskupa, że się sprzeniewierzył idei protestanckiéj. Ale poeta nic sobie nie robił z tego „świętego oburzenia" różnowierców, bo pisząc *Zgodę*, choć szedł za wskazówkami Padniewskiego, pisał zgodnie ze swemi przekonaniami. Nie znaczy to, żeby był zadowalony z tego pamfletu, (gdyż nie da się zaprzeczyć, że *Zgoda* była pamfletem): raz dlatego, że upragnionéj zgody nie sprowadził, przeciwnie, jeszcze bardziéj rozjątrzył zwaśnione żywioły, a powtóre, że *Zgoda* tak zaabsorbowała uwagę wszystkich, iż

poemat jego *Szachy*, istne cacko artystyczne, do którego wiele przywiązywał wagi, przeszedł prawie niepostrzeżenie, choć wyszedł na krótko przed sejmem, a był przypisany Janowi Krzysztofowi Tarnowskiemu. A jednak poeta zdawał sobie sprawę doskonale, że *Szachy*, choć były przeróbką poematu włoskiego, były prawdziwym klejnotem pomiędzy jego dotychczasowemi utworami, a jako taki, posiadały wartość pierwszorzędną... Mimo to, nie poznano się na nich. To go dotknęło: tém boleśniéj, że wogóle był rozdrażniony przez cały czas trwania tego fatalnego sejmu; niedość bowiem, że go szarpano z powodu *Zgody*, ale nadto musiał się procesować ze swym stryjem, Filipem, który w czasie tego sejmu, do sądów asesorskich królewskich, zapozwał poetę, że mu we właściwym terminie nie uiścił się z jakiegoś długu... Echem téj sprawy, która oburzyła autora *Szachów*, jest złośliwa fraszka *Na Stryja*...

Z tegoż czasu datują się dwa *Epitaphia* na śmierć Mikołaja Trzebuchowskiego, zmarłego w ciągu sejmu, a będącego jednym z najzacieklejszych przeciwników Padniewskiego. I Kochanowski, będąc sługą biskupa, napisał aż dwa „nagrobki" na śmierć takiego człowieka? Mogło to wydawać się tém dziwniejszém, że i Jan Krzysztof Tarnowski, któremu poeta przypisał *Szachy*, należał do antagonistów biskupa. Jak mógł Kochanowski, nie chcąc się narażać swemu protektorowi, w ten sposób zaznaczać swoje sympatye dla jego przeciwników?

Tłómaczy się to tém, że poeta powoli ostygał w swoim zapale dla Padniewskiego, przy którego boku nie widział przyszłości dla siebie. Ostatecznie przekonał się, że biskup, o ile hojnie wynagradzał niektórych ze swoich dworzan, o tyle jego, jakby umyślnie, omijał. To poetę zrażało do niego. Zawiódł się w swych oczekiwaniach. A tymczasem Myszkowski, któremu po skończonym sejmie dostała się—po Padniewskim—pieczęć mniejsza, przeczytawszy *Zgodę*, odrazu poznał się na talencie jéj autora, a że z Padniewskim był na wojennéj stopie, więc témbardziéj zapalił się do myśli, ażeby mu odbić Kochanowskiego. Wszak i Nideckiego już zdołał pozyskać dla siebie. Czemużby mu się to nie miało udać z autorem *Szachów*?... Człowiekiem, którego Myszkowski postanowił użyć w celu pozyskania sobie Kochanowskiego, był Nidecki. Przez niego zaczął działać na poetę: najprzód w Piotrkowie jeszcze, przed rozjechaniem się posłów, gdzie Nidecki — jak ongi w Krakowie w r. 1557 [1])—starał się wytłomaczyć swemu

[1]) Zob. książki prof. Plenkiewicza str. 280 i 281, gdzie pod r. 1557 czytamy, co następuje: „Że poeta odwiedził Patrycego w Krakowie, przed jego wyjazdem do Wilna, to nie ulega wątpliwości..." „przedewszystkiem (już wtedy!) Nide-

przyjacielowi, jakie korzyści mógłby osiągnąć z udania się pod opiekuńcze skrzydła Myszkowskiego; a następnie, już po swym powrocie do Wilna, dokąd mu towarzyszył Nidecki, listami tegoż, wysyłanemi do Krakowa, dokąd poeta, po krótkich rekreacyach w Bodzentynie udał się wraz całym dworem biskupim — listami, coraz usilniéj nakłaniającemi Jana, żeby nie ociągał się ze zmianą protektora. W listach tych (z których, niestety ani jeden nie dochował się do naszych czasów) było—jak chce prof. Plenkiewicz – wiele mowy o kwestyach naukowych filologicznych, mianowicie w kwestyi przekładu *Fenomenów* na język polski, nad którym to przekładem Kochanowski pracował w tym czasie [2]); ale niemniéj w nich miejsca zajmowały formalne układy z poetą, dotyczące jego przejścia do obozu Myszkowskiego, „który pragnął mu otworzyć szeroko wrota do przyszłego zawodu, *wyrabiając sekretarstwo królewskie*". Dla poety „przedstawiało się to nader ponętnie, jako dobrodziejstwo, świadczone bez ubocznych widoków, zwłaszcza, iż w zamian nie wymagano nic więcéj nad poparcie piórem dążności, które podkanclerzy miał na przyszłym sejmie wypowiedzieć w propozycyach od tronu. Krótko mówiąc, szło o napisanie czegoś podobnego do *Zgody*". Gdy Kochanowski przyrzekł napisać coś w tym rodzaju, wtedy otrzymał z Wilna treść przyszłego orędzia podkanclerzego, oczywiście z postanowieniem swobody rozwinięcia jéj według własnych pomysłów, i w ten sposób powstał jego *Satyr*, który, jak się okazało wkrótce, był w wielu miejscach dosłowną parafrazą owego orędzia.

Tymczasem poeta, pewny protekcyi nowego patrona, opuścił dwór Padniewskiego, rozstając się w zgodzie z biskupem, i udał się do War-

---

cki musiał być niemało zdziwiony, iż Kochanowski, pragnąc się umieścić w kancelaryi królewskiéj, dotąd nie zbliżył się do Myszkowskiego, który przecież jako sekretarz większy, bezpośrednio kancelaryą zarządzał i królowi od siebie kandydatów zalecał... Poeta musiał uznać trafność tych uwag, zwłaszcza, że jako u wychowańca padewskiego przyjaciela i kolegi Klemensa Janickiego, mógł się spodziewać najlepszego przyjęcia. Podążył więc z Patrycym na ulicę Kanonną"...

[2]) „Kochanowski (pisze prof. Plenkiewicz na str. 341 swego dzieła) porównywając tekst grecki *Fenomenów* i Prognostyków z ocalałym przekładem Cycerona, dopełnił go *proprio ingenio*, już to dorabiając brakujące w nim wiersze, już naprawiając tekst zepsuty własnemi konjekturami, z których kilka weszło nawet do drugiego wydania *Fragmentów*. Nim jednak podług oryginału zrekonstruował tekst cyceroński i wydrukował w r. 1579 z poprawkami tekstu Nideckiego, wprzód zamierzył drukować przekład *Fenomenów* na język polski i właśnie nad jego wykończeniem pod koniec swego pobytu u Padniewskiego pracował". W przedmowie swojéj, pisanéj d. 13 września 1564, a poprzedzającéj wydanie fragmentów, Nidecki wspomina o Kochanowskim, że *Fenomena* „mowie polskiéj przyswoił i prawom naszego wiersza poddane, potomności przekazał".

szawy, gdzie na listopad był zwołany sejm. Tutaj „kwapiony” przez Myszkowskiego, przerobił i wykończył ostatecznie *Satyra*, i napisał dedykacyę, którą z porady Myszkowskiego, pragnącego mu ułatwić drogę do przyszłych zaszczytów, zwrócił do Zygmunta Augusta. Tym sposobem już około 22 listopada, w którym to dniu Myszkowski odczytał swoje orędzie, *Satyr*, przepisany w mnóstwie egzemplarzy, mógł być rozrzucony między posłów. Bo chodziło o to, ażeby tém pismem poprzéć i spopularyzować poglądy na sytuacyę polityczną, wyrażone w orędziu podkanclerskiém. Czy *Satyr* osiągnął ten rezultat? Zdaje się, że osiągnął, że był czytany skwapliwie, ponieważ Myszkowski nie taił się ze swém zadowoleniem, czego niebawem miał dać dowody...

Za to Padniewski, który także przybył na ten sejm warszawski, bardzo był niezadowolony z *Satyra* i jego autora. Czuł się nim dotknięty osobiście. Dlatego nie obeszło się bez wymówek, gdy się spotkał z poetą. Ale Kochanowski już nie dbał o biskupa, a na jego wymówki odpowiedział złośliwym epigramatem. „Nie służę tobie, niezrównany kapłanie, ni konno, ni pieszo, lecz z tego powodu wstyd oblicza mego nie pokryje, nietylko gdybym żądał od ciebie, jakiéj nagrody, lecz nawet gdybym się jéj, wbrew mojéj zasłudze, spodziéwał. A przecież skrzętna mrówka, pomna na nadchodzącą zimę, latem wciąż zewsząd znosi zapasy, czém ludziom dobry przykład daje, by i oni, dopóki wiek służy a nogi zdrowe, opatrzyli sobie dom i przysposobili sobie chleb na starość skołataną. Wybacz tedy, że i ja, gdy już prawie zbliża się zima mego życia, jestem nieco troskliwy o zapewnienie sobie własnego kąta”...

Tymczasem Myszkowski dotrzymał przyrzeczenia: poeta dostał się do kancelaryi królewskiéj, a wstępując do niéj, nie przypuszczał nawet, że był to tylko szczebel, z którego Myszkowski postanowił go wynieść do jeszcze wyższéj godności w hierarchii dworskiéj. Jakoż w rok niespełna, wyrobił mu sekretarstwo królewskie z tytułem *Secretarius regius*, a prawie jednocześnie, d. 7 lutego 1564 r., odstąpił mu intratne probostwo katedralne poznańskie.

III.

Zostawszy proboszczem poznańskim, musiał Kochanowski, w celu objęcia dóbr, przywiązanych do probostwa, udać się do Poznania, wrażenie zaś, jakie wyniósł ztamtąd, nie mogło wypaść inaczéj, tylko dodatnio i na korzyść Myszkowskiego; ofiara bowiem, którą podkanclerzy zrobił dla poety, zrzekając się tego probostwa, świadczyła

zarówno o jego wspaniałomyślności, jak i o wysokiém uznaniu dla talentu twórcy *Satyra*. Dochody, jakie przynosiło to probostwo, były bardzo ponętnym kęskiem, a napływając z trzech kompleksów dóbr, [1]) położonych w różnych okolicach Wielkopolski, dawały najkompletniejsze „zapewnienie sobie własnego kąta", na którem tak zależało autorowi epigramatu do Padniewskiego... To była ich największa zaleta. Ale była i druga, niemniejsza. Oto Kochanowski, otrzymawszy probostwo „tylko dla dochodów", nie potrzebował wcale (bo nie miał prawa, jako człowiek świecki), brać czynnego udziału w obradach i postanowieniach kapituły — warunek, który mu z pewnością bardzo był na rękę. Wystarczało, żeby się stawił osobiście przy akcie instalacyi na proboszcza kapitulnego, co nastąpiło w dniu 7 lutego 1564 roku, poczém mógł nie zaglądać do Poznania, poprzestając na regularném pobieraniu dochodów. Było za co dziękować Myszkowskiemu.

Podziękował mu w Warszawie, gdzie, po powrocie z Poznania, odrazu zaczął pełnić obowiązki dworzanina-sekretarza przy osobie króla. Na czém polegały one? Przedewszystkiém wymagały odpowiedniego stroju, który na każdy występ musiał być inny, a przynajmniéj nie raził jednostajnością, dworzanie bowiem, pełniący służbę na pokojach królewskich, zawsze musieli występować w strojach świetnych, nie podpadających najmniejszéj naganie. Tak nakazywała etykieta dworska. Kochanowskiemu, który zawsze był elegantem, „wonnemi olejkami skropionym" mogło się to podobać... Na głowie, krótko strzyżonéj, z brodą zaokrągloną, a wąsem miernym, nosili dworzanie królewscy, pełniący służbę przy Zygmuncie Auguście, krągłą czapeczkę w formie fezu, kolorową lub w złotą łuskę, z naprzód podaném piórkiem przypiętém z boku; kaftany, aksamitne lub jedwabne, z kolorową podszewką, z futrzanemi wyłogami, z kołnierzem i bufiastemi — aż do łokcia porozcinanemi w pasy—rękawami, bywały najrozmaitszych kolorów, a zdobne białą fryzą dokoła szyi, oraz wspaniałym łańcuchem złotym, spadającym na piersi, wyglądały z pod białych, błękitnych lub karmazynowych żupanów, których ozdobę stanowiły olbrzymie guzy lub pętlice ze złotych sznurów; obcisłe, w ciżmy wchodzące spodnie, gładkie lub w pasy, również mogły być najrozmaitszych kolorów, choć

---

[1]) „Naprzód pierwszą ich grupę tworzyły dobra *Kicin* z przyległościami w półn.-wschodniéj stronie, niedaleko Poznania. Kicin obejmował wówczas połanków kmiecych 1ł, zagrodników 5, komorników 5, i łanów pustych 3. Do niego należała karczma *Zjawieniec*, oraz wsie: *Janikowo*... *Czerwonak*... *Kliny z Olendrami*, *Hamer* z młynem i karczmą, i *Darmosz*". Drugi kompleks dóbr, położonych na półn.-wschód od m. Środy, stanowiły wsie: *Środka*, *Mączniki i Szewce*. Trzeci kompleks wreszcie, pomiędzy Swarzędziem i Kistrzyniem, stanowiła wieś *Paczkowo*.

najczęściéj spotykanym był karmazynowy; u boku, na pasie rzemiennym, chwiała się prosta szpada z ozdobną rękojeścią, którą niekiedy zakrywał rąbek kolistego płaszcza włoskiego lub hiszpańskiego; lewa ręka zawsze była w rękawiczce, na prawéj zaś, obnażonéj, musiał błyszczéć złoty pierścień. W takim-to malowniczym stroju, w jakim zwykliśmy wyobrażać sobie Romea i tylu innych szekspirowskich bohaterów „miał teraz Kochanowski pełnić dyżury na pokojach królewskich, być każdéj chwili, niezależnie od pory dnia lub nocy, gotowym do pisania listów, lub spełniania jakichś rozkazów, odczytywać królowi pisma urzędowe, towarzyszyć mu na posiedzenia senatu, gdzie dlań było miejsce po za tronem, spełniać od króla mniéj ważne do ościennych dworów poselstwa, jeździć z listami do nieobecnych na dworze dostojników koronnych, należéć do komisyi granicznych dotyczących dóbr stołowych lub starostw, rozpatrywać osobiście wszelkiego rodzaju czyny, wymagające sprawdzenia, a podpadające pod kompetencyę sądów królewskich, a przedewszystkiém stać u drzwi komnaty królewskiéj, oraz wprowadzać posłów zagranicznych, lub inne dostojne osoby, na posłuchanie do króla, co nie zawsze było łatwém zadaniem ze względu na ciżbę dworską, przez którą nieraz wypadało przebojem sobie drogę torować". Ale nic nie dawało się tak we znaki Kochanowskiemu, jak ustawiczne wystawanie u drzwi komnaty królewskiéj i „wycieranie boków o twarde ich podwoje", przyczém, nie mogąc ruszać się z miejsca, dopóki król nie udał się do stołu, nieraz i głodem przymiérał. „Tu nie zważam na skinienie drugiego, tu progu nie pilnuję, ani téż sobie o twarde podwoje czułego nie obrażam boku. Tu, gdym głodny, nie mam potrzeby wyczekiwać, aż się panu jeść zachce, ani téż w ciżbie komuś na przebój torować drogi; tu sobie życie nie według obcéj urządzam woli, lecz wolno mi wszystkie godziny według własnego rozłożyć upodobania". W tak niekorzystném świetle opisze kiedyś Kochanowski, „uprawiając łany ojczyste", te lata swego dworzaństwa, na to jednak, ażeby mu obrzydło w końcu, złoży się wiele... Tymczasem nie skarżył się na swoją dolę. Bliski osoby króla, pełnił służbę zaszczytną, a choć Zygmunt August, zamknięty w sobie, smutny, a przytém dbały o swą monarszą powagę, nikogo nie dopuszczał do poufałości ze sobą, wszystkich utrzymując w pewném oddaleniu, to jednak człowieka téj miary, co jego sekretarz, mógł ujmować swém wykształceniem, wykwintnością w obejściu, wytwornym smakiem w rzeczach sztuki i nauki, oraz miłością dobra powszechnego, którego tak gorąco pragnął dla swych poddanych. Pozatém stanowili kontrasty, co nie wpływając na wychikę króla, na psychikę jego niepospolitego dworzanina, bardzo wrażliwego i drażliwego z natury, mogło niekiedy wpływać rozstraja-

jąco. „Kochanowski, choć doznał wielu zawodów, właściwie dopiéro wstępował na drogę, która go do sławy, a może i do wyższych miała doprowadzić dostojeństw. Tamten czarę życia oddawna do dna wychylił i po kilku kroplach słodyczy dopił się żółci; ten choć nieraz rozkosze czerpał z mętnego źródła, przecież tyle jeszcze miał w swéj duszy zasobów młodości, że mógł się wszystkiego po przyszłości spodziéwać. Więc téż patrzy na świat okiem jasném, pogodném i zapewne nie rozumié upodobań Zygmunta do przesiadywania w komnacie czarnym kirem obitéj, z takiémiż kobierczykami, pokrywającemi ławy i stoły, a które tém więcéj nadawały jéj pogrzebowy charakter, że je zdobiły listwy białe, aksamitne, misternie haftowane czarnym jedwabiem”.

Na szczęście, to, co miał w sobie żałobnego i ponurego stosunek z Zygmuntem, łagodził przyjemny stosunek z Myszkowskim, do którego z niekłamaną skwapliwością biegł po ukończeniu swéj służby na pokojach królewskich. Ale bo téż Myszkowski, jako człowiek, posiadał przymioty nieocenione, nieskończenie pod tym względem przewyższając Padniewskiego. Tamten nigdy nie zapomniał wobec dworzan, czém jest w stosunku do nich; przeciwnie Myszkowski: ten ceniąc w Kochanowskim przedewszystkiém jego talent, uważał go za równego sobie i zachowując dygnitarską powagę dla innych, dla niego nietylko miał serce, ale i rękę otwartą (zwłaszcza tę, którą sięgał do trzosa). Przytém, był to człowiek wesoły, zamiłowany w ucztach i bachanaliach, podczas których — czego mu nie mogli darować niektórzy — najczęściéj zapominał o swym charakterze kapłańskim. Opinia „wielbiciela nierządnic” nie była oszczerstwem, tak samo, jak nie kłamali ci, co go nazywali *il più astuto e fallace uomo di Polonia*, a podejrzéwali go o ateizm, zarzucali sprzedajność w rozdziale beneficyów, głosili o jego złém obchodzeniu się z księżmi, których bijał nierzadko, i wreszcie oburzali się na brak wszelkiéj miary w biesiadniczéj ochocie, którym nieraz gorszył nielicznych Tartuffe'ów swego hulaszczego i rozpustnego otoczenia. Do tych, którzy się nie gorszyli jego sybaryckiém, epikurejskiém życiem, ani jego przestawaniem z ludźmi, niezbyt ortodoksyjnych przekonań, ale owszem przyklaskiwali pogańskiemu prowadzeniu się podkanclerzego (nawet wtedy, gdy ten „dosięgał pięścią gęby” grającego z nim w karty opata), należał i Kochanowski, któremu ten wesoły tryb życia na dworze Myszkowskiego wcale przypadł do smaku, jak o tém świadczą liczne Fraszki i Epigramaty z téj epoki.

Chcemy sobie być radzi?
Roskaż, panie, czeladzi,
Niechaj na stół dobrego wina przynaszają,
A przytém w złote gęśli, albo w lutnię grają.

W takim nastroju, przy biesiadnym stole, „gdy woniały fijołki”, a „pieniły się puhary”, powstała większość epigramatów, a powstała „nie ze źródła aganipejskiego, lecz ze dzbana”; Myszkowski bowiem, któremu z czasem zostały przypisane, „Muzom *a tembardziéj poecie* zabraniał biesiadować w domu”. Nie gardził też „pijanemi rymami”, które rad „wśród kielichów krążących” odczytywał, poeta zaś, urągając w takich chwilach „bajaniom o źródle skrzydlatego rumaka”, nie wahał się dowodzić, że „tylko wino stwarza poetów i wdzięczne poddaje piosenki”. Woda nie daje natchnień poetyckich. „Ja sam, moj Piotrze (a przez tego Piotra należy rozumiéć Myszkowskiego), najlepiéj to poświadczyć mogę: gdym trzeźwy, na nic się nie zdam, a tylko namyślam się, i zębami ogryzam paznokcie, co nic nie zawiły. Lecz gdy sobie trochę podchmielę, a duch się winem rozgrzeje, wtedy czuję zaraz, jak w głębi piersi budzą się niezliczone szeregi wierszy, budzą się i rwą do lotu, wypuszczone zaś, hurmem walą, jak pszczoły nęcone ciepłem wiosennêm”... Co prawda, to nietylko wino, ale i towarzystwo, w którém poeta dzielił te biesiady swego Mecenasa, w niemałéj mierze przyczyniało się do ożywienia weny poetyckiéj; do tych bowiem, którym smakował słodki nektar z piwnic Myszkowskiego, a którzy stanowili jego ulubione grono biesiadne, należeli tacy ludzie, jak Nidecki, Stanisław Fogelweder; a obok wielu innych, jak Piotr Kłoczowski, Mikołaj Firlej, Grzegorz Podlodowski i Jędrzéj Trzecieski, brał udział w tych libacyach i Walenty Bacfark, znakomity lutnista, tak często wspominany we *Fraszkach.*

Ale choć tymi wesołymi biesiadnikami byli przeważnie księża, to jednak i kurtyzany miewały przystęp do tych humanistycznych agap. Niedarmo nazywano Myszkowskiego „wielbicielem nierządnic”! Ale trudno: przykład szedł z góry, z żałobnych komnat królewskich, niewolnych od rozpustnych wybryków. Zygmunt August, niepocieszony po stracie Barbary, a czując fizyczną odrazę do swojéj trzeciéj żony, Katarzyny rakuskiéj, z którą nie mógł uzyskać rozwodu, bynajmniéj nie starał się o to, ażeby świécić przykładem dla dworzan. Przykład, z tak wysoka, nie dziw, że odpowiednio działał i na otoczenie, a że na dworze, officyalnie składającym się z samych mężczyzn (od czasu separacyi z Katarzyną), uwijało się mnóstwo podejrzanych niewiast, więc i wśród dworaków, choćby tylko dla zabicia czasu, tkwił niezwykły kult pokątnych miłostek. Chodziło o wypełnienie próżniaczego życia, do tego zaś, w braku jakiegośkolwiek wędzidła moralnego, nic nie nadawało się tak dobrze, jak sute ofiary bez „sykonfancyjéj” na ołtarzu Bacha i Wenery.

Kochanowski jak się okazuje z jego fraszki *O swych rymiech* (którym jakiś ksiądz zarzucał zbytnią rozwiązłość), nie był pomiędzy ostatnimi tam, gdzie szło o wino i podwiki.

Ja inaczéj nie piszę, ieno iako żiię
Piiane moie rymy, bo y sam rad piję.
Nie mierzi mię biesiada, nie mierżą mię żarty,
Podczas i czepiec, więc też pełne tego karty.

Zwłaszcza nie mierził go czepiec, a jeśli się zdarzyła biesiada, na którą każdy uczestnik przychodził ze *swoją*, wtedy—jak w jednéj ze swych pieśni—starał się być przewodnikiem tego rozbawionego chóru.

Miło szaleć, kiedy czas po temu,
A tak bracia przypiy każdy swemu:
Bo o głodzie nie chce się tańcować,
A podpiwszy łacniéy już błaznować.
Ale to nowy zysk, że mię słuchacie
A żadnéy mi pełnéy nie podacie.
Znał kto kiedy poetę trzeźwego?
Nie uczyni taki nic dobrego.
. . . .
Przedsię do mnie, a ja nie zawiodę:
Wy też drudzy co macie pogodę
Każdy swojéj włóż w ucho leda co,
Nie macie tu oglądać się na co.

I żeby nie pozostać w tyle za innymi, sam nie oglądał się na nie, a zawsze miał jakąś Bogumiłę, Jadwigę, Magdalenę, Kachnę, Pryszkę lub Annę, któréj by przy biesiadzie mógł „kłaść w ucho leda co", choćba tem *leda co* miało być coś takiego „czego by się przed panną czytać nie godziło"... W żadnéj nie kochał się na seryo, ale lubił wszystkie, a za niektóremi, jak za Magdaleną np. na którą patrząc „wszystkę władzę stracił swoią", szalał przez czas jakiś, uwiedziony ich zmysłowym powabem. Choć zdarzały się i takie, jak „harda Neta" np., u których nie miał powodzenia. I na Magdalenę mógł patrzéć tylko..

Tymczasem z nadejściem d. 22 listopada 1563 roku rozpoczął się sejm w Warszawie. Był to pierwszy sejm, na którym Kochanowskiemu wypadło stać za tronem królewskim. Dawało mu to możność uważnego przysłuchiwania się obradom, bardzo burzliwym z powodu egzekucyi i sporów religijnych.

Zamieszanie jednak, panujące w izbie sejmowéj, wzmogło się jeszcze, gdy Orzechowski rzucił pomiędzy posłów *Quincunxa*, świéżo wydanego wraz z powtórnie wydrukowanym *Dyalogiem o egzekucyi*, a wymierzonego przeciwko władzy królewskiéj, przeciwko Litwinom,

nie mówiąc już o różnowiercach. Zapanowało powszechne oburzenie a że królowi i Myszkowskiemu zależało na uspokojeniu umysłów, więc, żeby naprawić zło, jakiego nawarzył Orzechowski, polecono Kochanowskiemu, ażeby *stante pede* napisał coś, coby uciszyło wzburzone namiętności. W ten sposób powstały jego *Wróżki*, napisane podczas sejmu na początku r. 1564, a które, artystycznie niższe od pomienionych pism Orzechowskiego, są jakby na nice wywróconym *Quincunxem* [1]). Obiegając w licznych odpisach, rozwijały tragiczny wykrzyk Orzechowskiego *Zginiemy!* a źródłem zguby, grożącéj Rzeczypospolitéj, mieniły *egzekucyą* oraz „niedostatek cnotliwych ludzi", którym upadły i inne mocarstwa... Wogóle były wyrazem przekonań Myszkowskiego, brały w obronę króla, nad którego Orzechowski wynosił prymasa, potępiały waśń religijną, któréj, jako przyczyny wszystkich rozruchów w kraju, radziły zaniechać, a różnowiercom przypisywały, że „wnoszą rozterki między ludzi, zaczym pewny upadek idzie Rzeczypospolitéj".

Co na to mówił Mikołaj Radziwiłł, jako „najgorszy z heretyków"? Wszak on, nie kto inny, stał na czele tych, na których poeta zwalał przyczynę wszystkiego złego, dowodząc, że „kto wiarę zdawna od wszystkich przyjętą wzrusza, fundamentów Rzeczypospolitéj wzrusza, co mu tym więcéj za złe ma bydź poczytano, iż czego Bóg Rzeczypospolitéj ku iey naprawie użyczyć raczył, tego on swym niebacznym postępkiem ku iey skazie używa". Był to zarzut ciężki, który Radziwiłł łatwo mógł wziąć do serca. Kto wié, czy nie dla złagodzenia tego potężnego magnata, Kochanowski poświęcił mu Elegię IX ks. III, którą mu wręczył osobiście.

Oprócz tego napisał teraz *Pamiątkę* na śmierć Jana Baptysty Tęczyńskiego, o któréj smutną wieść otrzymano właśnie w czasie sejmu. Śmierć ta, zaszła w chwili, gdy młody wojewoda jechał do Szwecyi, ażeby tam poślubić córkę królewską, na wszystkich zrobiła wstrząsające wrażenie, a Kochanowski odczuł ją silniéj jeszcze, niż inni, gdyż był przyjacielem „wszytkimi cnotami hoynie obdarzonego" hrabiego na Tęczynie. Po zatém, pilnując służby przy królu, nie często chwytał za pióro. Ciągłe posłuchania, przyjmowania posłów zagranicznych, uroczystości na dworze etc., wymagające jego obecności, a nie pozwalające wyręczać się kim innym, nietylko mu pochłaniały wszystek czas, ale jeszcze narażały na różne nieprzyjemne starcia, np. z butą magnacką. „Nieznany, nowy dworzanin, zapewne zbyt skrupulat-

---

[1]) *Wróżki* wyszły dopiéro w r. 1585 w edycyi pośmiertnéj dzieł Kochanowskiego, dokonanéj przez Jana Januszowskiego.

nie pilnujący kolei, obrażał dumę niejednego panka, któremu się zdawało, że przed nim powinny się natychmiast otwiérać podwoje komnat królewskich." Na szczęście, poeta umiał się odcinać, tak, że niejednemu „hardemu" dostało się jak we *Fraszce* 6 éj ks. 1 éj, napisanéj pod wpływem takiego zajścia u drzwi komnaty króla.

Nie chcę w tey mierze głowy psować sobie,
Bych sie móy panie miał podobać tobie...

Nareszcie, d. 26 marca, skończył się sejm, posłowie się rozjechali. Przerzedziły się wąskie i ciasne uliczki Warszawy, a gospody i wysokie kamienice w pobliżu Zamku i Fary, w których niedawno, pomimo postu, było rojno i gwarno, już nie rozbrzmiéwały okrzykami podochoconych biesiadników. Znużony po trudach sejmowych, Zygmunt August postanowił odpocząć w Warszawie, co pociągało za sobą, że i Kochanowski był skazany na kilkutygodniowy pobyt w tém mieście. Czy był rad z téj decyzyi królewskiéj? Czy nie wolałby, oderwawszy się od zwykłych zajęć dworzańskich, pojechać do Sycyny, skąd mu donoszono o projektowaném małżeństwie brata jego, Mikołaja, i nalegano, ażeby koniecznie przyjeżdżał na wesele? Cóż, kiedy nie zależał od siebie, a sytuacya była tego rodzaju — z powodu poselstwa od sułtana Solimana — że nie sprzyjała prośbie o urlop [1]).

Z nadejściem maja, gdy król zdecydował się na wyjazd z Warszawy, rozpoczęło się owo nużące, uciążliwe włóczenie się po całym

---

[1]) Tutaj prof. Plenkiewicz występuje z hypotezą, która mi się wydaje wielce ryzykowną, a mało prawdopodobną historycznie. Hypoteza stoi w związku z owém poselstwem od Solimana. Poselstwo to domagało się zadosyćuczynienia w sprawie Olbrachta Łaskiego, którego, ażeby uspokoić sułtana, należało skłonić do ustąpienia z Chocimia. W tym celu wyprawiono do niego naglące listy. Przez kogo? Prof. Plenkiewiczowi wydaje się prawdopodobném i możliwém, że doręczenie tych listów powierzono Kochanowskiemu. „Pomyślne załatwienie tak ważnego poselstwa (powiada) otwiérało mu najpewniejszą drogę do dalszych łask królewskich: cóżby więc było dziwnego (?!), gdyby Myszkowski, pragnąc zwrócić na Kochanowskiego uwagę Zygmunta, wskazał nań, jako na osobistość, nadającą się do téj sprawy?" Wszystko to być może, jednakże dowodów na to, a nawet cienia dowodów, nie ma absolutnie. Wiemy tylko, że Kochanowski sympatyzował z Łaskim, o czém świadczą jego niektóre wiersze *Do Łaskiego*. Wiemy, że Kochanowski pod koniec życia przesłał Łaskiemu egzemplarz *Psalterza* z dedykacyą, ale to jeszcze żaden dowód, ażeby tak ważne i trudne poselstwo, jak owo do Łaskiego, powierzono Kochanowskiemu... Wtedy, gdy Łaski odwiedzi Kochanowskiego w Czarnolesie, poeta będzie znanym i sławnym w całéj Polsce człowiekiem, z którym się liczył nietylko Zamoyski, ale i sam król. Teraz jednak, w roku 1564-ym, Kochanowski jeszcze nie był tém, czém z czasem stał się za Batorego, dzięki Zamoyskiemu.

kraju, włóczenie się rozmyślne, Zygmunt bowiem, nie chcąc żyć pod jednym dachem z Katarzyną, a nie chcąc również, żeby jéj przymusowy pobyt w Radomiu był poczytany za więzienie, umyślnie miejsca nigdzie długo nie zagrzéwał: to mu dawało możność tłómaczenia się przed Wiedniem, że jeśli nie mieszka razem z królową, to dlatego jedynie, że nie chce jéj narażać na męczące trudy podróży. To ustawiczne zmienianie miejsca pobytu, motywowane najrozmaitszemi pozorami, zwłaszcza dawało się we znaki dworzanom, z których „niejeden chciałby uciec z dworu, gdzie, jak w kieracie, ciągle się mozolił.” I nie można się im było dziwić, sposób bowiem, w jaki się odbywały ówczesne podróże dworskie, o ile mógł być mniéj uciążliwym dla króla, jadącego w wygodnéj karocy, o tyle był w najwyższym stopniu nużącym dla jego otoczenia. „Naprzód szły wozy z zapasami żywności, z beczkami wina i piwa; inne były pełne kotłów, naczyń kuchennych i przyborów do zastawy stołu królewskiego służących; a jeszcze inne uginały się pod mnóstwem skrzyń z szatnią, sprzętami do ozdoby komnat królewskich i sepetami należącemi do dworzan. Dopiéro za tym taborem wyruszał król w otoczeniu konnych orszaków, poprzedzony oddziałem nadwornego wojska, które tworzyło straż przednią i torowało drogę, uprzątając zawady. Za królem znowu zdążali: podkanclerzy, podkomorzy, marszałek dworu, oboźny, łowczy i inni; za nimi zaś ciągnęły wozy z kancelaryjnemi w skrzyniach aktami, wreszcie służba niższa, zapasowe konie i oddział nadwornego żołnierza, tworzący straż tylną orszaku. Jeżeli sam jednak pochód odbywał się w znośnym porządku, to popasy i noclegi przedstawiały zamęt nie do opisania. Król, z towarzyszącymi mu dostojnikami, we wsi, czy miasteczku, zajmował co największe i najporządniejsze budynki; ale dworzanin każdy musiał przed innymi zdobywać sobie miejsce przebojem. Jeszcze latem — pół biédy: rozbijano namioty, lub zajmowano stodoły; zimą jednak, szczęśliwy był, kto choć w kurnéj chacie znalazł kąt znośny dla siebie”. Była to okoliczność, która człowiekowi takiemu, jak Kochanowski, mogła zbrzydzić służbę przy królu, bo wystarczało mu pomyśléć o Czarnolesiu, gdzie latem i zimą mógł miéć wszelkie wygody; rozumiał jednak, że tylko przy królu może zrobić jakąkolwiek karyerę w życiu, i ta myśl godziła go z trudami królewskiéj włóczęgi. Znosił to wszystko, bo mu przyświecała nadzieja, że z czasem otrzyma sowitą nagrodę.

Tymczasem pociągnięto ku Łomży, a stamtąd na kilka dni do Knyszyna, gdyż królowi przyszła ochota zapolować na niedźwiedzie. Tym razem jednak, zarówno Kochanowski, jak i Nidecki, nie mieli nic przeciwko temu nadłożeniu drogi, w Knyszynie bowiem, położonym

niedaleko od Tykocina, mieli sposobność zobaczyć się z Łukaszem Górnickim. Niestety, już po tygodniu musieli się rozstać z wytwornym naśladowcą Castiglione'a, albowiem wypadało zdążać na zjazd do Bielska. Tutaj zabawiono dwa miesiące przeszło, a cały czas zajęły burzliwe obrady sejmowe, zakończone strasznym pożarem zamku od pioruna. „Król, siedząc na koniu, przyglądał się od strony stajen niszczącemu żywiołowi, gdy z gmachów, objętych płomieniem, wynoszono wszystko, co tylko uratować się dało.” Działo się to d. 20 lipca 1564 roku. Na krótko przedtém przysłano Kochanowskiemu z Krakowa świéżo wydane dwa jego utwory, *Satyra* i *Zgodę*, wydrukowane razem w jednéj książce [1]). Z Bielska, gdzie spalenie zamku nie pozwalało na dalsze obrady, oszak królewski, zwiększony zastępem posłów litewskich, podążył ku Parczowu, gdzie już zebrana szlachta niecierpliwie oczekiwała króla, a gdzie, po przybyciu tegoż, rozpoczął się głośny sejm parczowski. Tu zabawiono do końca sierpnia. Na wrzesień i październik przeniesiono się do Lublina, co Kochanowskiemu dało możność zaglądania do Czarnolasu i Sycyny, dla zobaczenia się z rodziną, oraz do Dąbrowicy, gdzie w tym czasie panowała żałoba z powodu zgonu pięknéj wojewodziny lubelskiéj. Poeta, patrząc na nieutulony żal młodego wdowca, skréślił dwa rzewne „nagrobki” z tego powodu, wysławiając w nich

> Zofiję Bonarównę, któréj żywot święty
> Godzien, aby wszem paniom za przykład był wzięty.

W połowie listopada przeniesiono się do Piotrkowa, dokąd Zygmunt August zwołał sejm na 18 stycznia. Tutaj, na początku marca, już w toku burzliwych obrad, przyjechało poselstwo Maksymiliana II, w którém, ku najwyższemu uradowaniu Kochanowskiego, znudzonego tym długim pobytem na Bugaju, znalazł się w roli świetnego „dyplomaty w fioletach” Andrzéj Dudycz, w téj chwili już biskup pięciokościelski. Była to nader miła niespodzianka dla poety. Miła i niemiła: Jan bowiem, jakkolwiek mógł być rad z tego przyjazdu swego dawnego kolegi padewskiego, nie mógł jednakże, mimo tę radość, oprzéć się pewnym refleksyom, opadającym go, niby naprzykrzone muchy. „Ten pusty, wesoły Jędrzéj, czasów weneckich i padewskich towarzysz, był trzema laty od niego młodszy, nie miał daru poezyi, którym

---

[1]) W liście, datowanym z Bielska dnia 6 lipca 1564 r., a pisanym do kardynała Hozyusza, A. Nidecki, przesyłając mu *Satyra*, jako dzieło świeżo wyszłe z pod prasy, nie szczędzi pochwał autorowi, któremu przyznaje pierwszeństwo nad wszystkimi poetami polskimi, piszącymi po łacinie, lub w narodowym języku.

on w kraju imię swoje rozsławił, a pomimo to, jakże różne od niego stanowisko zajmował! W 28 latach, gdy poeta nie mógł się dobić do kancelaryi królewskiéj, on już otrzymuje biskupstwo knińskie, następnie czanadzkie, wreszcie—jedno z najbogatszych — pięciokościelskie, a obecnie, jako poseł jednego z największych monarchów świata, otrzymuje należne swym godnościom na dworze polskim honory, gdzie najdumniejsi panowie starają się o jego względy, gdzie król w sprawach najważniejszych tajemne odbywa z nim narady, a on tymczasem, poeta, w tłumie dworzan, torując mu drogę z urzędu, całemi godzinami wystawał przy drzwiach komnat królewskich." Mimo tę różnicę stanowisk, Dudycz nie myślał wynosić się nad swego przyjaciela i kolegę z czasów studenckich, a kiedy mu wypadło jechać do Radomia, na dwór królowéj, wyraził życzenie, aby mu Kochanowskiego dodano do towarzystwa, jako p r z y s t a w a z urzędu [1]). Z podróży téj wyniósł poeta bardzo miłe wspomnienie, raz dlatego, że w Dudyczu tkwił niepospolity humanista, który cztery razy całego Cycerona przepisał (za to z brewiarzem nie miał nic do czynienia!), a powtóre, że okoliczności, towarzyszące powstaniu jego wiersza *Do Reyny*, którą była Regina Straszówna, urocza dworka z fraucymeru królowéj, wcale nie trąciły banalnością. Sytuacya była taka. Wystarczyło dwóm młodym przyjaciołom, biskupowi i poecie, stawić się na dworze królowéj, na którym poznali się z cudną Reginą, ażeby obaj ulegli czarowi jéj niezwykłéj urody, ażeby się przekonali osobiście, że niedarmo wszyscy Straszównę dla jéj piękności uroczéj nazywali „królową". Zwłaszcza zakochał się w niéj Dudycz, który pod wpływem jéj niesłychanego powabu poprostu tracił panowanie nad sobą. Sprytna dziewczyna, zoryentowawszy się w sytuacyi, postanowiła wyzyskać ten namiętny afekt płochego biskupa, a że była świadoma różnych arkanów miłości, więc zdecydowawszy się na złapanie go, wpadła na przewrotny, a wyrafinowany pomysł, ażeby do tego użyć poetę. W jaki sposób? Oto zaczęła kokietować go, on zaś, nie domyślając się podstępu i jakichś ubocznych zamiarów, odrazu połknął zarzucony haczyk. Taką jest psychologiczna geneza wiersza *Do Reyny*, w którym z takim wdziękiem zostały opisane „różowe usta" i „śliczne ręce" zalotnéj Straszówny. Nadmienić wypada, że Straszówna pochodziła z rodu Odrowążów, co sprawiało, że Kochanowski był — przez matkę — jéj stryjcem herbowym. Ale zakochany w cudownéj „królowéj", przekonał się

---

[1]) Prof. Plenkiewicz nie twierdzi jednak, że tak było z wszelką pewnością, ale jest wielkie prawdopodobieństwo, że istotnie Kochanowski odbył tę podróż z Dudyczem.

niebawem, że go „tylko zabawiała próżnemi słowy", że jéj chodziło nie o niego, lecz o Dudycza, który, podrażniony w swéj miłości własnéj, istotnie brnął coraz głębiéj. Skończyło się na tém, że poeta, ulżywszy sobie wierszem *Do zalotnéj*, „podziękował" Reginie, t. j. wycofał się ze szranków, Dudycz zaś, zapomniawszy o swéj powadze posła i kapłana, do reszty stracił głowę. Kiedy wyjeżdżali z Radomia, Kochanowski wracał już zrównoważony zupełnie, a Dudycz szalał z miłości. Niedarmo w nim płynęła krew matki Wenecyanki!... W takim nastroju znaleźli się z powrotem w Piotrkowie, gdzie tymczasem zbliżał się koniec sejmu.

Po rozpuszczeniu posłów, w czerwcu 1565 r., po półrocznym pobycie w Piotrkowie, wyruszył król, wraz z całym dworem, na Litwę, umyślnie omijając Radom... Zatrzymał się dopiéro w Knyszynie, gdzie po sejmowych trudach wypoczywał przez cały lipiec. W tymże czasie Łukasz Górnicki ostatecznie wykończył swojego *Dworzanina polskiego*, który, dedykowany królowi pod datą d. 18 lipca 1565 r., z wszelką pewnością — zanim został wysłany do druku w Krakowie—był odczytany przyjaciołom autora, Kochanowskiemu i Nideckiemu. Ta okoliczność wystarczała najzupełniéj, ażeby poeta nie nudził się tym razem w Knyszynie. Czy się nudził w Grodnie, gdzie wraz z dworem zabawił przez cały sierpień i część września, a gdzie w tym czasie gromadziły się zbrojne zastępy, gotujące się na wyprawę do Inflant? Bądź co bądź, przyjechawszy do Wilna, dzięki towarzystwu Royzyusza, stale tu przemieszkującego przy kościele św. Jana, przeżył czas jakiś bardzo wesoło i hulaszczo, pojąc się nietylko „sokratycznemi rozmowami i dowcipem obfitym" niepospolitego Hiszpana, ale i jego winem, które mu tak smakowało, „że wszystkie twe złote nauki (powiada do Royzyusza), wszystkie wdzięczne słowa wypadły mi z pamięci i nic więcéj do domu nie przyniosłem oprócz cielska Bachem napojonego i od senności chwiejnego". Cóż dopiéro, gdy pod koniec października zjawił się niespodzianie w Wilnie prosto z Krakowa „rozstawnemi końmi" przybyły Dudycz, który, rozkochany w Straszównie, a starając się wejść w stosunki z jéj rodziną, jeszcze nie zdążył wyjechać z Polski. Z jego przyjazdem rozpoczęły się najweselsze chwile w życiu poety, a ucztom i „pełnym prze zdrowie" nie było końca. Wogóle, nawet i po odjeździe Dudycza, trwał w pogodném usposobieniu, zwłaszcza gdy w dowód uznania otrzymał prezentę od króla na świéżo opróżnione po śmierci Boryszewskiego probostwo zwoleńskie, co było znacznem powiększeniem jego dotychczasowych dochodów. Ażeby mu ułatwić otrzymanie tego beneficium, wyznaczono go do sprawowania poselstwa na sejmik

ziemi sandomierskiéj: mógł więc, choć na krótko, zajrzéć do swoich stron rodzinnych, oraz korzystając z pobytu biskupa krakowskiego w Iłży, tamże d. 22-go lutego 1566 roku instytucyę rzeczoną „z włożeniem rąk na głowę” od Padniewskiego otrzymać. Tymczasem król ściągnął do Lublina, ażeby wziąć udział w sejmie, zwołanym na kwiecień. Kochanowski podążył za dworem, a pod koniec sejmu, gdy posłujący nań Mikołaj Mielecki, udawał się na Litwę, ażeby tam poślubić córkę Mikołaja Radziwiłła Czarnego, poeta dał mu w miejsce kosztownego daru „parę wierszyków na drogę”, ostatnie wiersze przyjazne, jakie Mieleckiemu poświęcił... Z Lublina udano się do Warszawy, gdzie poeta napisał dwa epitafia na śmierć Wojciecha Kryskiego, a stąd po krótkim pobycie znowu zawleczono się do Knyszyna. Tutaj przyszła koléj na łowy, co pociągało za sobą, że i Kochanowski musiał całemi godzinami, jako dworzanin, wystawać po kniejach, w śniegu, o chłodzie, a nieraz i o głodzie. Tak przeszła cała zima. Z powodu tych nieustannych łowów królewskich, poecie tak się uprzykrzyła służba na dworze, iż myślał o rzuceniu wszystkiego, o powrocie do Czarnolasu, do zacisznego życia ziemianina i poety. Jeśli nie uczynił tego, to jedynie z przyjaźni i wdzięczności dla Myszkowskiego... Swoją drogą nie tail się z tém, że o ile był zmęczony służbą przy królu, o tyle tęsknił za „wychowankami leśnego Helikonu”, które zaniedbywał poprostu dla braku czasu i spokoju [1]). Kiedyż miał pisać, skoro nieustannie musiał się przenosić z miasta do miasta, z sejmu na sejm! Ot i teraz np., jeszcze nie upłynęła zima, a już królowi, trapionemu pedogrą od zbyt długiego wystawania na śniegu, przyszła ochota wyjazdu do Warszawy. Pojechano tam. Na długo? W marcu przyjechano, a ledwo się zaczął kwiecień, już król kazał się wybiérać do Piotrkowa. Tu zabawiono przez czas sejmu, a więc do czerwca roku 1567.

Sejm ten, na którym uchwalono znaczny podatek na wojnę moskiewską, o tyle stał się pamiętnym dla Kochanowskiego, że z jego okazyi poznał się z młodym Janem Zamoyskim, który teraz wstąpił do kancelaryi królewskiéj, a przyjeżdżając do Piotrkowa, przyjeżdżał poprzedzony wielkim rozgłosem, zdobytym za granicą. Był to ten sam Zamoyski, któremu w swoim czasie „na iednym zieździe w sędomierskiéj ziemi” tak się podobał wiersz Kochanowskiego *O dobrodziejstwach Boga*. Zażylszy stosunek z nim, poparty wieloma duchowemi łącznikami, mógł poecie wynagrodzić stratę Jana Krzy-

[1]) Znakomitą ilustracyą tego chwilowego usposobienia poety, jest jego Epigramat 57, w którym Kochanowski jakby się usprawiedliwia sam przed sobą.

sztofa Tarnowskiego, który d. 1 kwietnia 1567 r. zmarł w Gorliczynie, tak, iż pogrzéb jego przypadł na czas, kiedy Jędrzéj Dudycz, zrzuciwszy fiolety biskupie, w których tak czuł się skrępowanym, i przyjąwszy protestantyzm, ożenił się ze Straszówną, poczém osiedlił się w Krakowie, jako tajny agent cesarski. Był to skandal, który wywołał równe oburzenie w sferach katolickich, jak rozradował stronnictwo protestanckie. A jednak dziwna rzecz: Kochanowski nietylko nie był oburzony tym postępkiem Dudycza, ale, przeciwnie, jakby solidaryzując się z różnowiercami, napisał elegię z tego powodu, w któréj z zapałem opiewa to odstępstwo swego przyjaciela. „Z wieścią do was przychodzę, posłuchajcie dziewice... Oto ozdoba młodzieży, człowiek pełen wiedzy i doświadczenia, wymowny i dzielny piórem, Dudycz, poseł królów, przedmiot waszéj nadziei i zajęcia, już ugiął karku pod słodkie jarzmo małżeńskie... Ciebie zaś, zacna dziewojo, czeka niepożyta sława, żeś ty jedna uznana za godną Dudycza... Dla ciebie on wzgardził bogactwy i świetną infułą, aż nazbyt bogaty tém, że twą miłością napawać się może...“

A więc poeta pochwalał ten postępek Dudycza? Nietylko pochwalał, ale, rozmyślając nad nim, coraz bardziéj zacietrzewiał się w swéj nienawiści dla bezżeństwa księży: tak dalece, że sam więcéj, niż kiedykolwiek przedtém, zaczął się zastanawiać nad wyborem stanu dla siebie. Miał dwie drogi do wyboru: duchowną, związaną z celibatem, i świecką, która z chwilą, gdyby się ożenił, pozbawiłaby go dochodnych beneficiów. A więc przyjąć święcenia, co się zarazem równało spełnieniu marzeń matki? Któż mu zaręczy jednak, czy wtedy, pnąc się na wysokie szczeble hierarchii, nie runie z nich, jak Dudycz. „I rozum, i sumienie, i poczucie własnéj godności, ostrzegały go, by nie igrał z ogniem, który tylu innych już strawił, ale raczéj obrał drogę pewną, bezpieczną, na któréj zgodnie z usposobieniem i sumieniem znaléść mógł szczęście prawe przy boku wybranéj sercem niewiasty.” Pod wpływem tych rozmyślań „jakby życie swe urządzić i zdala od zawiści bezpieczny żywot prowadzić” powstał niby żartobliwy, a w gruncie rzeczy poważniejszy o wiele, niżby się zdawać mogło, *Carmen macaronicum*, w którym poeta zastanawia się, czy zostać księdzem, co jest rzeczą praktyczną ze względu na karyerę, czy téż nie uganiać się za chlebem duchownym, a natomiast „cnotliwą *ducere żonam*”. „Nie złą jest rzeczą mnichem i kapłanem zostać, i dwory mają swoje dobre strony, ale ty pamiętaj obrać sposób życia, któryby zgodny był z twojém usposobieniem... Jeśli ci natura co innego wskazuje, jak święte kapłaństwo, nie żartuj z bogów i strzeż się srogie-

go pioruna." Pamiętaj, że przysięga, dobrowolnie złożona, obowiązuje na całe życie, a igrać z świętościami nie wolno, tak samo, jak „*solos* grzech *est* ożeniare kapłanos". Ale zdecydowawszy się na żywot świecki, należy się zdecydować jeszcze, czy być dworzaninem czy ziemianinem? Zdaniem poety, przekonanego, że „swojus *res optima* kątus", żywot ziemiański zapewnia więcéj szczęścia. „Nie patrz na to, co mówią, ale co czynią dworzanie. Bo choć nad inne przekładają swój żywot, przecież, gdy się chełpliwie nasławią łaski królewskiéj, do pługa w końcu wracają i zostają ziemianami..." Bo czyż może być coś lepszego nad żywot ziemiański. „Przed nikim nie zginam kolana, jestem wolny, nikomu nie służę, cieszę się swą wolnością i bezpiecznym pokojem. Nie wystawiam życia na wiatry, szukając dalekich zysków... Same dzieci podają mi do stołu i żona cnotliwa gotowa ze mną znosić wszystko, co szczęście przyniesie..." Kto takie wygłasza zasady, temu widocznie sprzykrzyło się już jałowe życie dworskie, ten widocznie „za miłym domem tęskni" i tylko myśli o tém, jakby się wyrwać na wieś, do cichego „własnego kąta".

Że Kochanowski, pisząc tę „pochwałę stanu ziemiańskiego", wygłaszał teoryę, którą sam jaknajprędzéj pragnął wprowadzić w życie własne, to nie ulega wątpliwości. Niestety, choć przesycony służbą na dworze, na razie był w takiém położeniu, że nie mógł myśléć o rychłém urzeczywistnieniu swych marzeń. Dlatego, nie przyznając się do swych planów na przyszłość, pełnił swe obowiązki przy królu, co pociągało za sobą, że znowu nigdzie nie popasał długo, że zamiast ziemiańskiego, który sobie tak idealizował w wyobraźni, prowadził żywot koczowniczy, cygański.

Z Piotrkowa, po skończonym sejmie, przeniesiono się do Grodna. Tu zabawiono przez sierpień, poczém zawleczono się do Wilna, skąd pod jesień, w 100,000 wojska, król pociągnał do Radoszkowicz, „skąd się do Moskwy miał ruszyć" przeciwko Iwanowi Groźnemu. W Radoszkowicach powstał epigramat Kochanowskiego, poświęcony Padniewskiemu, a pełen wrzawy wojennéj. „Teraz lutnia ma, przygłuszona bębny i hałaśliwemi trąbami, całkiem zamilkła, i zdaje się, że nie prędzéj dawne dźwięki wyda, aż zwycięski August, nowymi wsławiony tryumfy, znamienity pomnik sławy wzniesie na ziemi nieprzyjacielskiéj." Tymczasem „jako rycerz przypasany do miecza", kosztował odrębności życia obozowego, jako dworzanin jednak, najwięcéj temu życiu przyglądał się z góry, z okien królewskiego zameczku, który położony pośrodku wielkiéj równiny, otoczonéj zewsząd lasami, panował nad całą okolicą, a w téj chwili wystrzelał pośrodku stutysięcznego obozu, pośrodku namiotów i taborów wojennych. W no-

cy, gdy obóz zaiskrzył się tysiącami ognisk, widok, roztaczający się z okien rezydencyi królewskiéj, był tak malowniczy, że poeta, rozmarzony nim, napisał piękną *Pieśń* o téj wyprawie wojennéj:

O piękna nocy, nad zwyczaj tych czasów,
Patrz na nas jasno w pośród tych tu lasów,
Gdzie, jako pszczoły, wkoło swego pana
Straż dzierżym, niecąc ognie aż do rana...
Bodaj szczęśliwie tę drogę odprawił
I wszystko wedle myśli swojéj sprawił...

Jeszcze w listopadzie „siedziano jak na ledzie" w Radoszkowicach, aż skończyło się na tém, iż król, ku niesłychanemu zdumieniu wszystkich, rozpuściwszy większość rycerstwa, którego tylko część wysłano pod Ułę, zapowiedział koniec wyprawy, poczém sam wrócił na zimę do Wilna. Towarzyszący mu Kochanowski był smutniejszy téj zimy, niż kiedykolwiek; okolicznością zaś, która się do tego przyczyniła w niemałym stopniu, była wiadomość o śmierci biskupa Jędrzeja Noskowskiego, zmarłego w Płocku d. 23 listopada. Poeta wiedział, że po Noskowskim zostanie mianowany na jego miejsce Myszkowski, że pewnie skończy się jego podkanclerstwo. Dla niego, który tak był przywiązany do Myszkowskiego, że tylko jemu gwoli pozostawał na dworze, myśl, że mu się przyjdzie rozłączyć z dzisiejszym podkanclerzym, a natomiast być zależnym od innego, była przykrą nad wszelki wyraz. To téż, choć Myszkowski jeszcze bawił w Wilnie, choć tu bawili Royzyusz, Nidecki i inni, mimo to, niepewny swéj przyszłości, trapił się nieustannie, narzekał, ledwo mógł wytrzymać na Litwie... Z początkiem roku 1568 przeniesiono się do Knyszyna, dokąd znowu przyjechał z Tykocina Górnicki, a jak dawniéj czytał Kochanowskiemu i Nideckiemu rozdziały z swego *Dworzanina*, tak obecnie przeczytał im świéżo napisany przez siebie rapsod wierszowany *O porażce Grunwaldzkiéj*. Kochanowskiemu tak się podobał ten utwór, że nietylko w jednéj ze swych elegii, gdzie mówi o poetach polskich, poświęcił dłuższy ustęp Górnickiemu, „co pieśni godne Orfeusza liry składa, co do spraw marsowych liryczną nawiązując strunę, opiewa w srogiéj walce Niemce pokonane", ale sam, podniecony przykładem Górnickiego, poszedł w jego ślady, pisząc swój *Fragment bitwy z Amuratem u Warny*. Z końcem kwietnia wyruszył król do Warszawy, ale i tu nie mógł Kochanowski zabawić tak długo, jakby sobie tego życzył może, bo ledwo przyjechano, zaraz wyprawiono go, jako oratora, w sandomierskie, ażeby tam agitował wśród ziemian, których Zygmunt August pragnął pozyskać dla swych zamysłów co do unii z Litwą. Bo zanosiło się na pamiętny sejm lubelski. Jakoż, z końcem listopada

1568 r., król udał się do Lublina, gdzie 10-go stycznia rozpoczęły się obrady. Sejm ten, na którym „Litwa z nami unią uczyniła strojną", odznaczał się takim duchem inicyatywy, taką powagą i wyrobieniem politycznem, że Kochanowski, będąc jego świadkiem naocznym, mógł być najlepszéj myśli co przyszłości rzeczypospolitéj. Cóż dopiéro, gdy d. 19 lipca, już po dokonanéj unii, ks. pruski Albert Fryderyk, wobec „zacnego senatu koronnego" i czoła rycerstwa, złożył trzeci hołd lenniczy. Kochanowski, pod wrażeniem téj doniosłéj chwili dziejowéj, w któréj ten

syn książecy upadł na kolana
I wyznał swe poddaństwo i zwierzchnego pana,

napisał swój *Proporzec*. Ale nie zawsze, przez czas swéj kilkumiesięcznéj bytności w Lublinie, był nastrojony na tak podniosłą nutę, jak ta, którą tchnie jego opis „hołdu pruskiego". Ostatecznie, po za długiemi godzinami, spędzanemi w sali sejmowéj, korzystał z lata, a mając wesołe grono przyjaciół, do którego także przybył pod koniec i Royzyusz, nie stronił od kielicha, o ile ten kielich nie był próżny. Na podobnych zabawach, jak ta, którą poeta wzmiankuje we fraszce *O doktorze Hiszpanie*, opowiadając o dziwnéj przygodzie Royzyusza, jak to jednego wieczoru „poszedł spać trzeźwo, a wstał pijany", upływały mu wszystkie chwile wolne od obowiązkowych zajęć, a że i Babin, stolica rozgłośnéj *Rzeczypospolitéj Babińskiéj*, był blisko, więc nie obeszło się bez tego, ażeby raz po raz nie pojechano w odwiedziny do Imci Pana Pszonki. Wszak autor *Proporca*, choć go nie zawsze bawiły grube koncepty babińczyków, nosił tytuł poety babińskiego [1]), a często bywając w Lublinie, łatwo mu było zaglądać do téj wesołéj rzeczypolitéj śmiechu i drwin? Tymczasem skończył się sejm, a dla poety miały się zacząć najsmutniejsze dni jego życia dworskiego. Jakim sposobem? Dość powiedzieć, że „wielce ulubiony Myszkowski" oddał pieczęć podkanclerską Franciszkowi Krasińskiemu, a sam udał się do swojéj dyecezyi. Dla Kochanowskiego był to niemniejszy cios, niż dla Nideckiego, który pisał temi czasy, że „odkąd mnie Myszkowski opuścił, zdaje mi się, że mnie wszyscy opuścili". To samo mógł powiedzieć o sobie Kochanowski. Skończyły się owe poufne rozmowy sam na sam, skończyły się owe huczne biesiady z Myszkowskim, wszystko

---

[1]) W *Carmen de jure Babinensi antiquissimo* Bartłomieja z Wrześni, profesora i dziekana Uniwersytetu Krakowskiego, znajduje się wzmianka o Kochanowskim:

Hic Kochanovius doctus regiusque faceto
Est vates calamo...

to przeminęło jak piękny sen, a przeminęło bezpowrotnie. To gorzkie przeświadczenie ścinało, jak mróz, wszelką pogodę w duszy poety, bo choć mu pozostał jeszcze Nidecki, to jednak i on, stęskniony za Myszkowskim, nie mógł odzyskać dawnego humoru. A tu, jakby na złość, król nie ruszał się z Lublina, tylko czekał na posłów cesarskich, łudząc się, że mu przywiozą przyzwolenie na upragniony rozwód z Katarzyną. W końcu, nie doczekawszy się, wyruszył do Knyszyna, gdzie już 9-go września stanął z całym dworem. Tutaj miano spędzić całą jesień, a może i zimę. Kochanowski ledwo się nie urwał. I on, i Nidecki mieli wrażenie, że są skazani na wygnanie. Obaj uczuwali dotkliwy brak Myszkowskiego, obaj nie mogli się do Krasińskiego przyzwyczaić. Jedyną oazą, w któréj cieniu odpoczywali na téj pustyni nudy, było towarzystwo Górnickiego, który, o ile tylko mógł oderwać się od swych zajęć, raz po raz wpadał z Tykocina. Tak upłynęły blisko cztery miesiące. W grudniu nastąpił wyjazd do Warszawy, gdzie tym razem Zygmunt miał zabawić czas dłuższy, bo dwa lata przeszło. Na początku 1571 r., około Wielkiéjnocy, Kochanowski, nie zrywając z dworem, choć już był przesycony służbą przy królu, pojechał do Czarnolasu. W jakim celu? Przyczyną była kobiéta.

IV.

Czytając, że epigramat, napisany w Radoszkowicach w r. 1567, poeta poświęcił Padniewskiemu, jest się zdziwionym niepomału, zważywszy oziębiony stosunek obu, tudzież okoliczność, że w chwili, gdy Kochanowski przebywał na Litwie, Padniewski przez ten czas, jako biskup krakowski, najwięcéj przebywał w Krakowie. Wobec tego, mimowoli nasuwa się pytanie: co wywołało ten epigramat poety? Prof. Plenkiewicz tak rozwiązuje tę kwestyę.

Kiedy się zanosiło na wielką wyprawę przeciwko Iwanowi Groźnemu, a król przebywał na Litwie, okazała się potrzeba wysłania kilku listów do wybitniejszych dostojników koronnych, a w téj liczbie do Padniewskiego i królewnéj Anny. Skoro przyszło rozstrzygnąć, komu powierzyć wykonanie téj misyi, wybór padł na Kochanowskiego. Tym sposobem, najniespodziewaniéj zupełnie, odbył podróż do Krakowa. Tutaj doznał tak serdecznego przyjęcia na dworze biskupa, że wywdzięczając się za nie Padniewskiemu, uczcił go, po powrocie na Litwę, pięknym epigramatem łacińskim. Lecz jadąc do Krakowa, musiał się zatrzymać i w Warszawie, dla oddania listu Annie Jagiellonce. Oddał go, ale innym wyszedł z apartamentów królewny, aniżeli

w chwili, gdy wchodził w podwoje zamkowe. Wchodził spokojny, zrównoważony psychicznie, wychodził zakochany, z uczuciem w piersiach, któremu niebawem dał taki wyraz w elegii łacińskiéj: „Znowuż, matko Amorka, wszczynasz bój ze mną? Nigdyż długiego nie chcesz mi dać pokoju? Zaledwie serce me z pierwszéj wyleczyło się rany, oto znowu Amor strzałą mi je przeszywa.” Co się stało? Oto na dworze królewnéj, w jéj „froncymerze“, ujrzał i poznał istotę, która odrazu zawładnęła jego sercem. Jak się poznali? w jakich okolicznościach? to nie grało prawie żadnéj roli wobec niezwykłéj urody Hanny, wobec czaru, jakim ją obdarzyła natura. Oto, jak ją opisuje poeta:

...Póki panuje Wiosna w twarzy twojej,
Day się, Hanno, napatrzeć wdzięcznej twarzy swoiey,
Która nieda nic naprzód ani Phosphorowi,
Kiedy napiękniey z morza wynika ku dniowi.
A wy, malarze, y wy, co marmór cieszecie,
Jeśli przyszłemu wieku zachować sie chcecie:
Malujcie tę piękną twarz, y rzeżcie w kamieniu.
Nie był iako żyw Zewxis w takim podziwieniu,
Ani zacny Phidias, iako wy możecie,
Z tey tylko samey sztuki, sławni być na świecie.

Zachwycony niepospolitą „gładkością” téj „urodziwéj” dworki, przybranéj w piękne suknie według mody włoskiéj, uwierzył, że w tém pięknóm ciele musi mieszkać i wybrana dusza,

Bo nie leda, Bóg, jako swych darów rozdawa,
Temu łaskawszy, komu co nad ludzi dawa,
Przeto tusz dobrze, Hanno urodziwa, sobie,
Z twoich darów znać, że Bóg jest łaskawym tobie.

Dowodziły tego — w oczach zakochanego poety — i inne dary Hanny, nietylko jéj „gładkość”. Inteligentna, wykształcona, odznaczała się i przymiotami umysłowemi, słowem, zasługiwala na pochlebne miano „nauczonéj białogłowy”. Widocznie, że pod tym względem zaszczytnie wyróżniała się z pośród swoich towarzyszek. Ale choćby i nie tak była „nauczoną”, i tak by zdołała oczarować poetę. Za ładną była poprostu, ażeby swym powabem nie opętać tak wrażliwego na niewieście piękno, jak Kochanowski, mężczyznę. Powtóre, był skłonny do zakochania się, bo dawno już, jak się nie kochał w nikim. Cóż dziwnego więc, iż czuł potrzebę kochania, takiego zwłaszcza, któreby się mogło zakończyć małżeństwem. Miał lat 37, więc mógł mieć dosyć kawalerskiego życia. Byle tylko spotkał pannę odpowiednią, zarazby się ożenił. Hanna wydała mu się taką. Zaczął się tedy starać o pozyskanie jéj względów, co mu — zdaje się — ułatwiły pomyślnie składające się okoliczności, a mianowicie możność spotykania Han-

ny, nietylko na dworze, w orszaku królewny, ale i u wspólnych znajomych, zamieszkałych na dworze, do których panny z fraucymeru, o ile im czas na to pozwalał, chętnie wyrywały się w odwiedziny. Ale czy to było w domu ochmistrza, czy ochmistrzyni, czy burgrabiego zamku, fakt pozostanie faktem, że poeta, o ile w Warszawie bawił niedługo (bo długo bawić nie mógł), o tyle wyjechał pod urokiem pięknéj Hanny, rozpaczający na myśl o przymusowém rozstaniu z nią, a co najgorsza, niepewny jéj wzajemności. Wyjeżdżał dręczony pytaniem, czy Pazyfila (bo takiém klasyczném imieniem zdecydował się nazywać „urodziwą Hannę" w swoich łacińskich elegiach do niéj), czy Pazyfila pamiętać o nim będzie? czy choć drobny ślad został po nim w jéj sercu? „Czy jaka tęsknota po mnie została? Czy téż, jak z oczu, tak i z serca twego ustąpiłem i nie warto ci już nieobecnego wspominać?" Niepewność tę czyniło jeszcze dotkliwszą przeświadczenie, że wyjeżdżał nie związany ani słowem, ani wyznaniem, bo jakkolwiek Hanna okazywała mu wiele uprzejmości, to jednak nic go nie upoważniało do poczytania tego za skłonność z jéj strony. Były to zwykłe oznaki dobrego wychowania, Hanna zaś, wiedząc, kim był Jan Kochanowski, témbardziéj mogła się starać, ażeby na nim zrobić korzystne wrażenie. A nuż ją uwieczni jakim wierszykiem... To mogło się jéj uśmiéchać. Pytanie jednak, czy zgodziłaby się zostać jego żoną; nie łudził się bowiem, że „jeżeli go talent poetycki wynosi ponad ogół, to pod względem majątkowym z większością współzawodników mierzyć się nie może." On w każdym razie, jeżeli pokochał Hannę, to dla niéj saméj. „Mnie nie ujęły ni sydońskie złotem tkane szaty, ni perły z morza czerwonego, lecz twarz, co obcéj barwy nie pożycza, i obyczaje szlachetne, i rumieniec wstydliwy..." Jednocześnie wyrzucał sobie, że podobnemi podejrzeniami krzywdził swą ukochaną. „Jeżeli moje pismo w czémkolwiek obrazić cię może, przebacz! wszak miłość nigdy nie jest bez obawy, która zresztą, chętnie wierzę temu, jest płonną, a nawet sam nie umiem powiedziéć, dlaczego się obawiam, chyba tylko dlatego, że kocham." Swoją drogą był niespokojny i pełen najboleśniejszych przeczuć, gdy pomyślał, że oto wyjeżdża nie wiedząc na jak długo, a przez ten czas, któż zaręczy, azali inny nie zdobędzie jéj serca. Wiadomo przecie, że nieobecnym zawsze dzieje się krzywda.

W takiém uczuciu opuścił Warszawę, w takiém uczuciu pędził wśród słoty i wichrów jesiennych na Litwę, do króla, a myśląc o Hannie, układał elegię do niéj. „Im więcéj się oddalam, o moje życie, tém okrutniéj dręczy mnie sroga miłość... A gdy mnie sen słodkiemi skrzydły obejmie, zdaje mi się, że smutna stajesz przed memi oczyma... Lecz

jakże obawiam się tego, że mi tylko marne sny o tobie pozostały..." I lękał się, że Hanna może zapomnieć o nim, i pod wpływem tego niepokoju, który go ścigał aż na Litwę samą, temi słowy kończył swą pierwszą elegię do Pazyfili: „A teraz, gdy przeziębły litewskie przebiegam kraje, nie zapominaj o nieobecnym i bądź pewna, że ja każdéj chwili radbym powrócić do ciebie, choć i tak już znaczna część méj duszy pozostała przy tobie."

Nareszcie, po męczącéj podróży, zawitał do Radoszkowic. I tu, wśród wrzawy stutysięcznego obozu, nie zapomniał o Hannie, a zapatrzony w gwiaździste niebo, układał nową elegię do Pazyfili: „Oto król mój wojnę opłakaną gotuje, sam kwiat północnéj młodzi towarzyszy mu na tę wyprawę. Ale mnie w obce nie trzeba mieszać się wojny: mam ja ci wewnątrz wroga, co serce me rani. Ty wszakże, Pazyfilo, za którą sama Dyone wojnę prowadzi, przybądź, jako przyjaciółka pokoju." Marząc jednak, nie potrafił opędzić się jednéj refleksyi, mianowicie, że dobiega czterdziestki, że tém samém nie powinien być tak skorym do szalenia z miłości, bo nie jemu wznawiać igraszki młodzieńczego wieku. „To kiedyś przystać mogło, ale wiek dojrzalszy innych już żąda zwyczajów, innych trudów..." Ale od tego przeświadczenia, że „nie jemu już u zamkniętych drzwi odprawiać czaty", był tylko jeden krok do myśli o zapaleniu pochodni Hymenu. Do tego, ażeby tak szaléć, jak wtedy, kiedy był żakiem, był za poważny dzisiaj; przeciwko ożenieniu jednak, t. j. przeciwko poważnemu traktowaniu miłości, nie miał żadnych niechęci: przeciwnie, chciałby się kochać w kobiécie, która byłaby jego żoną, a tą żoną pragnąłby miéć Hannę. Ożenić się z nią, ach, czegóżby nie dał za to! „Ty, jeśli tylko miłością mą nie wzgardzisz, aż do grobu będziesz przedmiotem mych zabiegów: ty bądź panią w mym domu, tobie jednéj niech służy ma chudoba, aczkolwiek tak malutka... Z tobą nie przykro będzie twardym pługiem przewracać glebę, ni bydełko pędzić na paszę. Z tobą, Pazyfilo, obym mógł żyć, a kiedyś i życie złożyć na twém łonie!"

Tymczasem przeniesiono się do Wilna, ale zmiana miejsca, wobec tego, że Hanna była w Warszawie, w niczém nie wpłynęła na zmianę uczuć poety. Tęsknił za swą ukochaną, myślał o niéj, pisał elegie o Pazyfili, w których opisywał różne fazy psychiczne, przez jakie przechodził od rozstania się z panią swego serca, i w ten sposób powstała elegia III, księgi 3-éj, najprawdopodobniéj napisana w Wilnie, a wyrażająca myśl, że dwie przeznaczone sobie istoty przeczuwają się wzajemnie i że każda z nich nosi w duszy swéj obraz istoty drugiéj, po którym się przy spotkaniu poznają... „Nigdyż ten dzień nie zawita, gdy ty, piękna dziewczyno, do swego przytulisz mnie łona? Czy też próż-

ną żywię nadzieję, a ty innego staniesz się pieszczotą." Ta obawa, że Hanna może jest przeznaczona innemu, nie jemu, oraz pragnienie, ażeby czémprędzéj z nią się zobaczyć, to były dwie główne osi, około których krążyły jego myśli. Tęsknił, a był smutny i niespokojny, bo niepewny jutra: ale kochał wiernie, idealnie, a przytém po raz pierwszy na seryo myślał o małżeństwie. Tak przeszła zima. W lutym pojechano do Knyszyna, a przez całe dwa miesiące, które tu król spędził, Kochanowski myślał o tém tylko, kiedy nastąpi projektowany wyjazd do Warszawy. W końcu doczekał się upragnionéj chwili: pod koniec kwietnia, gdy „wiosna wróciła, a śnieżna zima uleciała", dwór przeniósł się do stolicy Mazowsza.

Tu zaczęły się dni szczęścia dla poety. Mógł widywać się z Hanną, ile chciał. Poeta był w siódmém niebie. W Hannie widział wierne „odbicie z daru bożego", miłość zaś, którą płonął ku niéj, wyszlachetniona tęsknotą, wolna od pożądań zmysłowych, raczéj Psychy, niż Afrodyty, szukała w ukochanéj dziewczynie.

Raj tam, gdzie ona siedzi, a którędy mija,
Za jéj stopami róża wstawa i lelija.

I zakochany, nie mogąc oczu oderwać od swéj lubéj, wierzył, że

Taka jeszcze nie była za dawnego wieku
Aniołowi podobna bardziéj, niż człowieku

i sławił jéj „gładkość" w łacińskich i polskich wierszach, które, zwrócone do Hanny, niemało mogły schlebiać jéj próżności.

Wiele oczom powinien, o pani, kto ciebie
Oglądał, a nacieszył twym poyźrzeniem siebie.
Dalszego czasu może niezamierzać sobie,
Iżby kiedy miał gładszą oglądać po tobie.

Niech się więcéj nie chlubią starodawne lata,
Z swoimi Helenami: jest za tego świata,
Która gładkością wszytki pierwsze tak minęła,
Aż y przyszłym nadzieję na wieki odjęła.

I „przybywało mu rymów", kiedy na jéj „wdzięczną twarz" patrzał, a patrzał tak często, że aż napisał wierszyk do Hanny, w którym ją błaga, ażeby go czasem wypychała lub nie przyjmowała u siebie, bo mu się w głowie miesza, gdy za długo napawa się jéj widokiem. Ale niechaj przypadkiem nie widział jéj parę dni, zaraz go zaczynała trapić tęskność, którą raz np. wyraził w takim czterowierszu:

A co wiedzieć gdzie chodzisz, moja dziewko śliczna,
A mnie tymczasem trapi tęskność ustawiczna.
Jakoby słońce zaszło, kiedy niemasz ciebie:
A z tobą y w pół nocy zda sie dzień na niebie.

Jednocześnie, kiedy byli razem, czuł się onieśmielonym w jéj obecności; zapytany o coś, „odpowiadał niegrzeczy"; jeśli się na nią natknął niespodziewanie, bladł ze wzruszenia; a o ile „często wzdychał", przyczém niezawsze miał jéj wiele do powiedzenia, o tyle „rzadko kiedy się rozśmiał".

To była jedna strona medalu, dodatnia. Niestety, była i druga, jeżeli nie ujemna, to przynajmniéj dająca do myślenia. Oto Hanna, choć tak często widywała się z poetą, robiła wrażenie, jakby się nie domyślała jego uczuć dla niéj, jakby nie rozumiała, „co znaczy twarz blada" poety, jakby nie przypuszczała nawet, że w nim mogła rozbudzić namiętną miłość ku sobie, jakby „nie wiedziała", że on nosi się z myślą proszenia o jéj rękę, że tylko upatruje odpowiednią chwilę, ażeby jéj uczynić wyznanie. Ta pozorna niedomyślność Hanny, idąc w parze z brakiem pewności siebie, gdy chodziło o poetę, którego jeszcze trapiło złowrogie przeczucie, że może być obojętny swéj lubéj, sprawiały, że się nie mógł zdecydować na krok stanowczy, że zwlekał i dojutrkował z oświadczynami. Bał się zaryzykować, nie śmiał wszystkiego stawiać na jedną kartę.

W takich warunkach wypadło mu wyjechać z Warszawy, a choć niezawodnie dokładał wszelkich starań, ażeby tu powrócić jaknajprędzéj, to jednak, przyjechawszy z powrotem, przekonał się, że tylko się śpieszył do nowych trosk i udręczeń: Hanna bowiem, lubo dlań była uprzejma i grzeczna, nie robiła wrażenia, iżby tęskniła po nim: była chłodna, obojętna, nieprzystępna, tak, iż poeta, zamiast się posuwać w swych sprawach sercowych, przeciwnie, zaczął powątpiewać, zali mu się wogóle uda zmiękczyć kamienne serce tego „pięknego stworzenia". Czuł, że jego widoki zmniejszały się, że oporna dziewczyna nie miała skłonności ku niemu.

W tém smutném przeświadczeniu wyjechał z królem do Lublina, a tutaj, podczas gdy wszystkich umysły były zaprzątnięte kwestyą unii, on, choć tak obarczony zajęciem, że nie miał czasu na pisanie wierszy do Hanny, wciąż myślał o niéj, co robi? czy myśli o nim? i t. p. Jest wielkie prawdopodobieństwo, że, korzystając z dwóch przerw całotygodniowych w 10-miesięcznych obradach sejmu, wpadł do Warszawy dla zobaczenia się z Hanną, ale i te wyjazdy — jeżeli miały miejsce — nie położyły końca jego wątpliwościom. W tém uczuciu napisał parę

wierszy, które z czasem weszły do *Fraszek*, jakkolwiek były smutne raczéj, niż wesołe:

Długoż masz, o miłości, frasować me lata?
Czy podobno przed czasem chcesz mnie zgładzić z świata?
....Tak li ty chcesz, tak li to niesie szczęście moje
Nie chcę przeć, mam czym cieszyć smutne serce swoje.
A ty przebóg niezajźrzy, gniew li to twóy czuię,
Łaskę li, niech do śmierci tę iednę miłuję.

Na domiar złego, z Lublina nie wrócono prosto do Warszawy, lecz przez Knyszyn, gdzie królowi podobało się zabawić aż do grudnia. Stąd nowe źródło trosk „nieuśpionych" dla poety, który wciąż myślał o swéj wymarzonéj Pazyfili. W końcu jednak, po miesiącach tęsknoty i niepokoju, znalazł się przy niéj znowu, a że król zamieszkał na zamku pod jednym dachem z królewną, więc mogło się zdawać poecie, że teraz, mając tyle okazyi do widywania się z Hanną, potrafi przełamać jéj obojętność. Niestety, mógł się przekonać niebawem, że wszelkie wysiłki z jego strony, czynione w tym kierunku, nie trafiały do serca dziewczyny. Ceniła jego talent, lecz nie kochała go, jako człowieka. Nawet przestała być zalotną wobec niego. Widząc to, poeta cierpiał coraz sroższe katusze, bo miłość w nim, zamiast stygnąć w miarę napotykanych przeszkód, zapalała się coraz gwałtowniejszym płomieniem. Zrozpaczony, zaczął przemyśliwać o znalezieniu owéj cudownéj przepaski Wenery, co zdobywała serca i myśli uporne, a zwracając się do Afrodyty, która samym lwom i żubrom odejmuje srogość, błagał ją, ażeby ulitowała się jego cierpieniom, ażeby roznieciła iskrę uczucia w Hannie.

Ty mię ratuj, a swoją strzałą uzłoconą
Ugódź w serce, a obróć myśl nieunoszoną
Zapamiętałéj dziewki, któréj ani skokiem
Człowiek dogonić może, ledwie zayźrzéć okiem.

Nie zrażał się jednak, a podniecony swém uczuciem, nie szczędził zabiegów, ażeby to oporne serce przełamać.

Jeśli to rada widzisz, a życzysz mi tego,
Abych przez cię używał frasunku wiecznego,
Cóż ci rzec, dziewko sroga: poprawdzie jam tobie
Inaczey to zadziałał, a co dziś na sobie
Odnoszę, dzieie mi się nad moje zasługi,
Ledwie taki na świecie niefortunny drugi.
Czego daley chcesz po mnie? czy jeszcze wątpliwa
Moja chęć przeciw tobie? noc w myślach tęskliwa
Y te ogniste gwiazdy rozsiane po niebie
Świadkiem, że nic milszego nie mam okrom ciebie.

....A ty, ieśli nadzieję chcesz o łasce swoiey
Zgasić we mnie, iuż dawno pragniesz śmierci mojej.

Więc doszło do tego, że Hanna, niewzruszona zaklęciami poety chciała w nim „zgasić nadzieję o łasce swojéj”, t. j. pragnęła, ażeby ją przestał prześladować swojém uczuciem?! Nie podobał się jéj, i dosyć! Skoro go nie zdołała pokochać aż dotąd, to już nie pokocha nigdy. Dlatego, niech ją uwolni od siebie, niech się stara zapomniéć o niéj, bo wszystko, coby jéj jeszcze powiedział o swojéj miłości, będzie grochem rzuconym na ścianę nie znajdzie echa w jéj sercu.

Widząc, że nie zdoła przełamać jéj oporu, poeta wszedł w nową fazę: oto zaczął słuchać głosu obrażonéj dumy, doradzającéj mu, ażeby za obojętność zaczął odpłacać wzgardą ażeby przestał być służką tak „niewdzięcznego pana”. Czyż nie lepiéj wyrzec się tak upokarzającéj służby? I zaczął błagać bogini miłości:

Zfolguy mi mało: owa się wyłamię
Z tej niepobożney niewoley, która mię
Tak zfrasowała, że y zdrowia nie mam,
Y o rozumie też nakoniec mniemam.

I zdawało mu się, że byłby gotów „postawić palmę złotą” w kościele Afrodyty, byle mógł tylko „zbyć jarzma tak ciężkiego”, byle mógł pokochać inną, skoro Hanna „co jest uprzejmość, nie czuje”. Niestety, serce nie sługa, a choć rozum i podrażniona miłość własna nakazywały odwrócić się od téj „zapamiętałéj dziewki”, dusza wyrywała się do niéj. Jakoż, pomimo wszelkich refleksyi i perswazyi rozsądku, tak się zawziął w swym afekcie, że choć nie kochany i wzgardzony, nie mógł się rozstać z swojém uczuciem. I bliski zwątpienia, złamany i wyczerpany, napisał rozpaczliwy wiersz *O miłości*, który najlepiéj maluje jego ówczesne usposobienie:

Ma już pokóy Prometheus, lecz ja miasto niego
Jestem przybit na rogu Kaukazu śnieżnego.
Mnie orlica serce źrze, które na swe męki
Odrasta, y żywi zwierz łakomy przez dzięki.
Ma pokóy Andromeda, lecz ja przykowany
Do skały prze cudzy grzech podeymnię rany.
Do mnie płynie wieloryb rozwarłszy paszczękę:
Gdzie ja mam rady szukać? gdzie ja sie ucieknę?
Ratuy mężny Herkules, ratuy Perseu sławny,
A odnów (jeno by wczas) na mnie przykład dawny.

Tymczasem życie toczyło się zwykłym trybem, a poeta, który dotąd widywał się z Hanną tylko na zamku, od niejakiego czasu — zdaje się w ciągu zapust — spotykał się z nią jeszcze i w niektórych domach

na mieście, skąd późniéj wracał do domu z latarką i „bronią w późnych przygodach nieraz doświadczoną". Ale Hanna nie dała się wzruszyć. Nieszczęśliwy kochanek, choć mu to niepowodzenie opalało skrzydła, brał się na różne sposoby, ażeby trafić do serca swéj umiłowanéj, a między innemi, ufny w moc poezyi, pisał prześliczne „pieśni żałośliwe, na jakie się zdobyło serce nieszczęśliwe", które przez znajome osoby dochodziły do rąk Hanny. Ale i to nie pomagało.

Jam przegrał, ja, miłości, tyś plac otrzymała,
Tyś mię prawie do zimnéj wody już dognała.

Miewał chwile rozpaczy, w których myślał o samobójczém rzuceniu się do Wisły.

Widzę swóy błąd na oko, y próżne nadzieje,
A przed wstydem, y żalem serce prawie mdleie.
Ku temuż mię kresowi swém pochlebstwem wiodła,
Abyś mię czasu swego tak haniebnie zbodła,
Zbodłaś mię, a ten zastrzał twój nielutościwy
Mnie być pamiętny musi pókim jedno żywy.
Acz y żywot w twych ręku; a jeśli litości
Twey nademną nie będzie, jam zginął, miłości!
Zginąłem, a łzy moie dokonać mię maią,
Które mi z oczu płynąć nigdy nie przestaią.

Doszło do tego, że podobnie, jak niegdyś w Padwie, pod wpływem zawodów miłości ku Lydii, zaczął pić lub oszałamiać się hazardowną grą w karty, a kiedy jeszcze zdarzyła się sposobność, że w czasie sejmu 1570 roku mógł pohulać z Jędrzejem Trzecieskim, zawsze do kielicha ochoczym, to tak dalece zapominał o przestrzeganiu miary w trunkach, że raz po raz dawał się spoić swemu przyjacielowi. Jeszcze mu późniéj dziękował za to!

Bógżeć zapłać, Jędrzeiu, żeś mię dziś upoił:
Boś we mnie niepotrzebne troski uspokoił,
Które mi serce gryzły: jako to być musi,
Gdy człowieka niewdzięczność opętana dusi.
Wiem dobrze, że nie długo ze mną tey rozkoszy:
Bo to wszystko po chwili trzeźwa myśl rozpłoszy,
Ale witaj mi ta noc wolna od frasunku...

W końcu stracił nadzieję i zwątpiwszy, by zdołał zmienić „niewdzięczność" Hanny, oddał się spokojnéj rezygnacyi. Pijaństwa zaprzestał, bo mu szkodziło. Widział, że głową muru nie przebije, więc szukał zapomnienia — w pisaniu.

A cóż czynić? Pijaństwo zbytnie zdrowiu szkodzi,
Gra też częściéj z utratą, niż z zyskiem przychodzi.

A nadzieie zaś niemasz wzaiemney miłości
A owa na swą szkodę suszy barzo kości.
Wy tedy, co kto lubi, moi towarzysze,
Piycie, graycie, miłuycie: Jan fraszki niech pisze.

Ale te frasunki poety nie uszły baczności jego znajomych, którzy, widząc, że, pomimo tylu przeciwności ze strony nieprzejednanéj dziewczyny „opętanéj niewdzięcznością”, nie przestawał jéj kochać, zaczęli wpływać na Hannę, tłómacząc jéj, że źle czyni, odrzucając miłość poety. Czy pod wpływem tych perswazyi, czy z innych powodów, dość, że z wiosną, a najpóźniéj na początku lata 1570-go roku, nastąpił pomyślny zwrot w zachowaniu się panny, pomyślny o tyle, że choć w niéj serce nie zabiło goręcéj, to jednak dała się nakłonić ku swemu wielbicielowi. W duszę poety, jak gdyby złoty promień słońca do ciemnéj komory, wstąpiła nadzieja. Widząc, że Hanna zmieniła się w stosunku do niego, iż staje się powolniejszą, w jednéj chwili zapomniał wszelkich uraz, i niepomny wszystkiego, co wycierpiał z powodu téj „zapamiętałéj dziewki”, zanucił pieśń szczęśliwą:

Matko skrzydlatych miłości,
Szafarko trosk y radości:
Wsiądź na swój wóz uzłocony,
Białym Łabęciom zwierzony,
Puść się z nieba w snadnym biegu,
A staw się na Wiślnym brzegu,
Gdzie ku twey czci ołtarz nowy
Stawię swą ręką darnowy.

. . . .

Tym cię błagam, o królowa
Bogatego Cypru, owa
Abo różne serca zgodzisz,
Abo y mnie wyswobodzisz.
Ale raczey nas oboje
Wzów pod złote jarzmo swoie,
W którym niechay ci służywa,
Póki ia, y ona żywa.

W końcu odbyły się zaręczyny, na które nietylko rodzice Hanny, ale i królewna dała swoje pozwoleństwo. Z powodu tych zaręczyn napisał Kochanowski krótki wierszyk do Hanny, który najlepiéj maluje, jak dalece „szczęśliwy” oblubieniec zdawał sobie sprawę z uczuć swéj narzeczonéj:

Na palcu masz dyament, w sercu twardy krzemień:
Pierścień mi, Hanno, dajesz, już i serce przemień.

Ale choć się nie łudził co do jéj uczuć, to jednak nie wątpił, że gdy ją powiedzie do ołtarza, a potém zawiezie do Czarnolasu, wtedy zdoła w niéj wzbudzić przywiązanie, wtedy jéj serce potrafi rozgrzać własném uczuciem. W téj nadziei dokładał wszelkich starań, ażeby o ile możności przyśpieszyć tę błogą chwilę, układał plany na przyszłość, którą sądził bardzo niedaleką, a tymczasem, rozkochany na zabój, korzystał z przysługujących mu praw narzeczonego, pracując nad wyrównaniem téj przepaści, która ich „różne serca" dzieliła. Znosił podarki, a czy to podarkami temi, czy swą gotowością na wszelkie usługi, czy skwapliwością, z jaką spełniał nawet kaprysy Hanny, dość, że tyle postąpił w pozyskaniu jéj względów, że jeśli nie serce, to sobie przynajmniéj zdobył uprzejmość pięknéj dziewki. I w rozmowach stawał się śmielszy, może dlatego, że, czując pewny grunt pod nogami, więcéj miał konkretnego tematu do rozmowy. Z pewnością najwięcéj gawędzili o tém, jak sobie życie urządzą na wsi, jak będą zażywali swobody sielskiéj, tak różnéj od krępującéj etykiety dworskiéj, jak będą żyli, a można być pewnym, że poeta, rozmawiając ze swą lubą, nieraz zdobywał się na podobną czułość, jak ta, którą nacechował jedną ze swych elegii łacińskich do Pazyfili: „W nadziei twojéj miłości, o serce moje, gotówem wzgardzić wszystkiém: tyś mi skarbem, ty sławą, ty jedynym zaszczytem. Wiele wprawdzie trzeba się troszczyć w nieszczęsnéj miłości, lecz choćby i wcale się nie troszczyć, toć przecie s a m o c z e k a n i e j e s t p r z y k r o ś c i ą. Kochankowie mierzą rok nie według biegu słońca lub przebytéj ścieżyny zmiennego zodyaku; dla nich godzina, to jakby rok cały; nic téż dziwnego, że wyglądają blado i przedwcześnie włos noszą siwy. Ty, dziewczyno, co jedna me cierpienie możesz ukoić, nie gubże mnie długiém zwlekaniem! Niech mi zazdroszczą, niech pękną zawistni, gdy tylko ty mi sprzyjasz, już sprawa moja niczego się nie lęka. Ty jedna bądź mi przychylną. Napróżno walczyć z Amorem: ziści się wszystko, co tylko on zechce."

Na nieszczęście, nietylko Hanna trapiła poetę „ciągłém zwlekaniem", ale i okoliczności składały się w ten sposób, że chcąc nie chcąc należało odłożyć chwilę ślubu. Zaczęły występować trudności, których poeta nie przewidział na razie, a które nie pozwalały na przyśpieszenie wesela. „Stary dwór czarnoleski, choć niepozorny i w ziemię zapadły, mógł wystarczać niegdyś poecie. Obecnie przecież, po ośmioletniém niezamieszkaniu stał się ruderą, wiejącą pustką i stęchlizną. Jakże tu do niego z królewskich komnat m i ł o ś c i w ą p a n i ą wprowadzić?" Przedewszystkiém wypadało pomyśléć o wzniesieniu nowego dworu, o usłaniu w nim wesołego gniazdka, a to wszystko wymagało

czasu i zachodu. Nie pozostawało nic innego, tylko przezimować w Warszawie, na wiosnę pojechać do Czarnolasu, wystawić dwór i dopiéro potém wstąpić na ślubny kobierzec. Taki był plan poety, aprobowany przez pannę. Tymczasem nadeszła zima, zapusty. Zaczęły się zabawy, tańce, biesiady, Hanna nietylko bywała na nich, ale bywając z narzeczonym, niejednokrotnie swém zachowaniem się jeszcze bardziéj rozmarzała poetę. Raz pozwoliła mu zabrać sobie woniejący zioły *facolet*, t. j. chusteczkę od nosa; innym razem dała mu swój fiołkowy wianek z głowy, a starając mu się przypodobać, malowała się i bieliła... Wszystko to sprawiało, że poeta był najlepszéj myśli, rozumiejąc, że Hanna powoli przekonywa się do niego.

(Dok. nast.) *Ferdynand Hoesick.*



KRONIKA GALICYJSKA.

Lwów 8 lutego.

W jednym z tak licznych dowcipnych odezwań się swoich powiedział hr. Edward Taaffe, jak się dziś pokazuje, najzdolniejszy, a w każdym razie najsprytniejszy minister-prezydent Austryi konstytucyjnéj, że sztuka rządzenia w tém wielojęzycznem państwie polega na sprowadzaniu i utrzymaniu takiego stanu, aby wszystkie narodowości i wszystkie stronnictwa wogóle były ile możności w równéj mierze — niezadowolone. Zdanie to brzmi paradoksalnie i było téż w swoim czasie jako paradoks powtarzane, ale ostatecznie pokazało się na faktach już dokonanych, że mieści się w niém maksyma polityczna, która w państwach jednolitych uchodzić może za herezyę polityczną, w niejednolitéj zaś Austryi, w tym prawdziwym unikacie pod względem struktury narodowo-państwowéj, posiada racyę bytu. Sam hr. Taaffe doświadczył tego na sobie, że najsilniejszym był jego gabinet w chwili, gdy Czesi wstąpiwszy do rady państwa po długiéj fazie polityki obstrukcyjnéj (w r. 1879) przedstawili cały spis swoich postulatów, w znacznéj części niepołączalnych z pretensyami politycznemi Niemców i przez nich téż uporczywie zwalczanych, gdy inne drobne narodowości słowiańskie nie sięgały jeszcze nawet myślą po takie nabytki polityczne, jakie obecnie należą już do faktów dokonanych, gdy wreszcie zewsząd odzywały się żądania reformy wyborczéj, a rząd nie myślał nawet o ich ziszczeniu. W chwili, gdy hr. Taaffe wbrew powyższéj maksymie paradoksalnéj przystąpił do załatwienia sprawy czeskiéj tak, aby Czesi byli — mniéj niezadowoleni,

niż Niemcy, zachwiał się widocznie a runął ostatecznie ze swoją reformą wyborczą, która szerokie, głosu dotąd pozbawione, masy uczynić miała także — mniéj niezadowolonemi, aniżeli dotąd były. Hr. Kazimierz Badeni, któremu w chwili objęcia steru państwowego rokowano co najmniéj tak długie rządy, jak hr. Taaffemu, więc chociażby lat 12, zniknął z widowni już po dwóch latach, jakgdyby dla tém dobitniejszego stwierdzenia prawdziwości powyższéj maksymy, według któréj gabinet lawirujący byłby w Austryi stałym objawem politycznym, a gabinet podejmujący dzieło równouprawnienia narodowego w śmiałéj i ściśle określonéj formie tylko efemerydą przemijającą.

Dzisiejszy minister-prezydent austryacki br. Gautsch dłużéj kolegował z hr. Taaffem, aniżeli z hr. Badenim, więcéj przeto przejąć się musiał zasadami taktycznemi pierwszego, aniżeli temperamentem politycznym drugiego męża stanu. To téż odrazu odnalazł drogę, zaniechaną od czasów hr. Taaffego, ale jeszcze nie tak zaprzepaszczoną, żeby po niéj stąpać nie można. Piérwsze kroki były trudne, dalsze stają się coraz łatwiejszemi, a jakkolwiek dziś jeszcze—w chwili, gdy to piszemy—ostatecznego rezultatu przewidzićć nie podobna, to jednak po niedwuznacznych objawach gotowości Czechów do zrzeczenia się pewnéj części zdobyczy, zawartych w rozporządzeniach językowych hr. Badeniego i po również niedwuznacznych objawach gotowości Niemców umiarkowanych do przyjęcia nowych rozporządzeń językowych, jako wystarczający od biédy łup za odniesione w radzie państwa zwycięstwo obstrukcyjne, możnaby już oczekiwać, że w bliskiéj przyszłości Niemcy i Czesi będą—w równéj mierze niezadowoleni! Co daléj nastąpi, to inne pytanie. Chwilowo osiągnie się w ten sposób korzyść nieocenioną, t. j. możność wprowadzenia machiny parlamentarnéj na tory normalnego ruchu, możność przywrócenia normalnych stosunków pomiędzy obiema połowami monarchii austryacko-węgierskiéj, w ogóle możność kontynuacyi tego życia parlamentarnego, które na schyłku roku ubiegłego zdawało się już naprawdę zamierać.

Jeżeli jednak br. Gautsch'owi powiedzie się osiągnąć ten cel najbliższy, a zarazem najważniejszy, to nie będzie tego powodzenia zawdzięczał wyłącznie wznowieniu maksymy politycznéj hr. Taaffe'go. Z zawodem zupełnym byłby się spotkał zaraz w pierwszéj chwili, gdyby nie ta okoliczność, że jest dziś w Austryi jeden żywioł, jeden kraj koronny (Galicya), czwartą część państwa stanowiący, w którym wcale nie potrzeba już lawirować, jak w Czechach, który nie myśli wcale o wydobywaniu korzyści z powikłanego położenia, lecz szczerze i otwarcie, poniekąd nawet z abnegacyą polityczną, staje w roli rozjemcy, nawołującego strony poważnione do opamiętania i umiarkowa-

nia, zaklinającego przytém te strony na najwyższe dla wszystkich interesa. Zaklął je bowiem sejm galicyjski w swoim adresie na interesa państwa, które ze swojego składu i przeznaczenia dziejowego powołane jest — mówiąc słowami dr. Juliana Dunajewskiego z ostatnich rozpraw adresowych—stać się wielkiém sklepieniem dla narodowości, węzłem jedności państwowéj połączonych, i na interesa dynastyi, któréj sędziwy, wielkoduszny, w całéj Europie szanowany dzisiejszy reprezentant, cesarz Franciszek Józef, właśnie w tym ciężkim roku obchodzi pięćdziesięcioletni jubileusz rządów, przeplatanych najsroższemi ciosami losu, jak wojny nieszczęśliwe, tragiczny zgon brata, cesarza meksykańskiego, i samobójstwo następcy tronu, jedynego syna, arcyksięcia Rudolfa, rządów zatém w gruncie rzeczy nieszczęśliwych, a jednak mimo to opromienionych od początku do końca godną podziwu troskliwością i konsekwencyą w dążeniu do zjednoczenia około tronu pod hasłem sprawiedliwości wszystkich ludów podległych berłu Habsburgów.

Co tu charakter polityczny adresu galicyjskiego jasno oświetla i co szczególnie popiéra tytuł Galicyi do stanowiska rozjemcy pomiędzy powaśnionemi narodowościami, to fakt, że, jakby komentarz autentyczny do tego adresu, zapadły w sejmie galicyjskim uchwały w tak drażliwych dziś wszędzie kwestyach językowych, uchwały zaprowadzające nowe gimnazyum ruskie w Tarnopolu i normujące sposób propagowania nauki obu języków krajowych, polskiego i ruskiego, w szkołach średnich tak, iż ani ze strony wnioskodawców, posłów ruskich, ani z większości polskiéj nie ozwał się głos zamącający znaczącą zgodność w pojednawczych intencyach. Jest to nietylko dowód szczerości myśli w adresie wypowiedzianych, lecz zarazem i przykład dany innym krajom koronnym, przykład téj dojrzałości i wyrozumiałości politycznéj, bez któréj spory narodowościowe w Austryi nigdy nie dałyby się zażegnać.

Nasi najserdeczniejsi w Wiedniu i po za Wiedniem gotowi oczywiście wszystko to uważać tylko za zręczność czy przebiegłość polityczną, bo istotnie wydaje się to nieprawdopodobném, aby Galicya po upadku gabinetu, w którym prezydentura i teka skarbu spoczywały w ręku dwóch jéj wybitnych obywateli, po zamknięciu sesyi parlamentarnéj, w któréj także jeden z jéj wybitnych obywateli zajmował krzesło prezydyalne, mogła nietylko nienależéć do malkontentów, lecz nawet poczuwać się do misyi rozjemczéj w dalszéj akcyi rządowéj około uśmierzenia sporów narodowościowych.

Jest to właśnie najwyraźniejszy dowód dojrzałości politycznéj Galicyi i jéj szczerego poczucia państwowego, że w chwili powołania

hr. Kazimierza Badeniego do steru, nie było w kraju polityka, któryby z tym faktem łączył jakieś śmiałe aspiracye polityczne, któryby owszem nie był przejęty troską, nawet obawą, że właśnie pod takim gabinetem wypadnie zrzec się niejednéj pretensyi najsłuszniejszéj lub przynajmniéj odroczyć upomnienie się o nią do czasu nieokreślonego. Po nad wszystkiém bowiem górowała chęć i dążność do takiego postępowania, ażeby gabinet hr. Kazimierza Badeniego nie doznał ze strony Galicyi najmniejszéj dywersyi w swojéj polityce państwowéj. Że hr. K. Badeni, jako austryacki minister-prezydent, a d-r Leon Biliński, jako austryacki minister skarbu, nie Galicyę z jéj odrębnemi potrzebami, lecz państwo i jego interesa ogólne głównie miéć będą na oku, to nie dawałoby jeszcze tytułu do wynoszenia własnéj dojrzałości politycznéj, bo to stanowiło pierwszy postulat rozumu politycznego, bo o tém w całym kraju od pierwszéj chwili jedno tylko było zdanie: *ça va sans dire.* Ale że minister dla Galicyi dr. Rittner w gabinecie tym nie wysuwał swojego partykularnego charakteru, do czego ze swojego stanowiska byłby nietylko uprawniony, lecz nawet do pewnego stopnia powołany, że nawet—jak w reformie wyborczéj—śmiało wystąpił przeciw niektórym dezyderatom koła polskiego, uznając ich podniesienie za szkodliwą dywersyę w pożądaném rychłém dokonaniu ważnego dla państwa dzieła ustawodawczego, że daléj—to koło zniosło wówczas bez szemrania tak nienaturalną, nawet niebezpieczną, jako precedens, kolizyę z ministrem galicyjskim i samo w tym kierunku działało, unikając w całém swem działaniu podniesienia wielu innych nawet ekonomicznych pożądań, z któremi przed każdym innym gabinetem stanęłoby było otwarcie i stanowczo bez ujmy dla swojéj pozycyi w większości rządowéj parlamentu—to już niezawodnie akt wstrzemięźliwości niezwykłéj. Wprost akt abnegacyi politycznéj, który ze względu na hałasujące w kraju żywioły radykalne wymagał i odwagi i ofiarności obywatelskiéj.

Jeżeliby państwowa polityka Polaków galicyjskich była taka, jak ją dawni centraliści nazwali, „lojalnością z wypowiedzeniem”, t. j. obliczoną na wyzyskiwanie każdoczesnego położenia dla swoich wyłącznie interesów bez oglądania się na państwo, to dziś po upadku hr. Badeniego koło polskie w Wiedniu i jedną z niém myślą partyjną przejęty sejm krajowy we Lwowie nie miałyby nic pilniejszego do czynienia, jak stawianie różnorodnych żądań wyłącznie galicyjskich jako *pacta conventa*, na których oprzéć się winna każda przyszła większość parlamentarna i każdy rząd przyszły, jeżeli chcą liczyć na poparcie głosów polskich. Szowiniści niemieccy zamącili przecież wodę tak do głębi, że łatwo łowić w niéj nawet grube ryby. A tymczasem w Galicyi nikomu na myśl nie przychodzi zapuszczać sieci w téj wodzie!

Adres sejmu galicyjskiego jest nietylko wyrazem polityki krajowéj, ale téż i wytyczną kierunku politycznego dla koła polskiego, dla którego od r. 1873, t. j. od chwili zerwania dawnéj ścisłéj łączności między sejmami a wybieraną przez nie radą państwa, zgodne działanie z sejmem stanowi nie ujętą wprawdzie w postać paragrafów, ale sankcyą opinii obywatelskiéj raz na zawsze opatrzoną i zawsze ściśle przestrzeganą normę zasadniczą. Kierunek ten wytyczny streszcza się najpierw w wierności dynastycznéj, ujętéj w adresie w historyczne już słowa: Przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy, — a powtóre w idei równouprawnienia narodowości pod znakiem autonomii, tak szeroko pojętéj, aby wszystkie ludy austryackie posiadały słuszne warunki bytu i rozwoju narodowego, aby więc wszystkie były nie równomiernie niezadowolone, lecz w słusznéj mierze zadowolone, co mieści w sobie oczywiście wykluczenie z gry szowinizmu wszelkiego autoramentu, więc zarówno szowinizmu niemieckiego, chcącego przeszczepić hakatyzm krzyżacki na grunt państwa Habsburskiego wobec Czechów i innych narodowości słowiańskich, jak i szowinizmu ultrasłowiańskiego, który nie oglądając się ani na dynastyę niemiecką, ani na tradycye historyczne Austryi, chciałby nadużyć idei równouprawnienia i autonomii dla wszczepienia w przyszłą politykę rasowego antagonizmu wobec Niemców.

Według zapewnienia, które pochodzi ze sfer wtajemniczonych, cesarz Franciszek Józef miał być bardzo zadowolony ze stanowiska zajętego obecnie przez Polaków galicyjskich i wyrazić to zadowolenie swoje temi słowy: „Nigdy dotąd nie zawiodłem się na wierności i takcie politycznym Polaków; cieszy mnie to bardzo, że i tym razem nie doznałem zawodu.

A tym razem właśnie chodziło niejako o próbę ogniową, po któréj przebyciu już bez przechwałki Polacy galicyjscy mogą powiedzieć o sobie, że zajęli stanowisko takiego elementu politycznego w Austryi, jakim dawniéj było niemieckie stronnictwo liberalne z pierwszéj fazy życia konstytucyjnego, stronnictwo poważne, zasłużone około wzniesienia całéj konstytucyjnéj budowli państwowéj, że w konsekwencyi koło polskie stało się dziś w radzie państwa jądrem krystalizacyjném dla stworzenia takiéj większości parlamentarnéj, któraby razem z rządem pracowała nietylko nad staranną konserwacyą téj budowli, lecz nadto wykluczając centralistyczne mrzonki dawnego stronnictwa liberalno-wiernokonstytucyjnego pracowała daléj pod hasłem autonomicznego równouprawnienia narodowości nad takiém rozprzestrzenieniem téj budowli, aby ona zgodnie z intencyami korony stała się wielkim przybytkiem zgodnego pożycia wszystkich ludów austryackich.

Chcąc krótko wyrazić wielką ewolucyę polityczną, jaka się za rządów cesarza Franciszka Józefa w życiu konstytucyjném Austryi dokonała, możnaby powiedzieć, że zaszła zupełna zmiana ról. Koło polskie objęło wszystkie dobre tradycye dawnego stronnictwa wiernokonstytucyjnego, stało się stronnictwem państwowém w całém tego słowa znaczeniu, a lewica niemiecka objęła w spuściźnie po swojéj zasłużonéj poprzedniczce tylko mrzonki centralistyczne, które z dzisiejszą silną domieszką szowinizmu teutońskiego i jego rodzonego braciszka, hakatyzmu pruskiego, reprezentowanego w frakcyi *Wolf & Comp.*, już zawiodły parlamentaryzm austryacki nad brzeg przepaści, a na podwaliny państwa wymierzają ciosy stanowcze.

Trzeba dobrze pamiętać o téj zmianie ról, gdy się zbierze rada państwa. Niezawodnie bowiem ozwie się wtedy ze strony szowinistów niemieckich na wszystkie tony stereotypowy, złą wolą dyktowany zarzut: *Die Polen sind für jede Majorität zu haben* (Polacy są do wzięcia dla każdéj większości) w tém znaczeniu, jakoby koło polskie, kierowane jedynie egoistyczném pojmowaniem interesów partykularnych, skłaniało się zawsze ku téj stronie, skąd chwilowo najwięcéj uśmiecha się widoków. Ze strony przeciwnéj znowu, ze sfery szowinistów słowiańskich, usłyszy się zapewne twierdzenie, że koło polskie sprzeniewierza się dawnemu programowi swojemu i zdradza sprawę słowiańską w Austryi, kiedy tymczasem ono faktycznie najlepsze usługi oddawać będzie téj sprawie, jeżeli jako jéj punkt oparcia, jako jądro krystalizacyjne nowéj większości parlamentarnéj, potrafi jak dotąd godzić interesy państwa ze słusznemi wymaganiami równouprawnienia narodowości i autonomii krajów koronnych.

Czy nie wypadnie jednak koło polskie z kontenansu politycznego, zajmując stanowisko tak trudne? Pytanie to byłoby uzasadnione, a obawa w niém ukryta byłaby słuszna, jeżeliby polityka taka była tylko nieszczerém lawirowaniem pomiędzy trudnościami, jeżeliby jéj punktem wyjścia był fortel, a celem separatyzm interesów. Tymczasem rzecz się ma przeciwnie, bo właśnie taka tylko polityka, nie zaś rzucanie się w krańcowe prądy, stanowi trafny wyraz opinii i dążeń kraju i jego reprezentacyi, bo takiéj a nie innéj polityki wyuczyła się, taką sobie przyswoiła Galicya w téj długiéj szkole politycznéj, któréj pierwszym mistrzem, arcymistrzem, już za młodzieńczych czasów cesarza Franciszka Józefa był niezapomniany Agenor hr. Gołuchowski (ojciec), a która stopniowo doprowadziła do tego, że w sędziwym wieku tego samego monarchy, więc za życia jednego pokolenia, w Austryi nietylko możliwym stał się gabinet z trzema Polakami, jak za hr. Kazimierza Badeniego (dla żyjących jeszcze niedobitków ery absolutyzmu rzecz

horribilis dictu!), lecz nadto najwyższą pozycyę w państwie, tekę ministra spraw zagranicznych i domu cesarskiego nominalnie, a tekę kanclerską *de facto*, objąć mógł także Polak i to pierworodny syn owego arcymistrza galicyjskiéj szkoły politycznéj, znowu — Agenor hr. Gołuchowski!

„Agenor hr. Gołuchowski (ojciec) — Agenor hr. Gołuchowski (syn)" — oto tytuł monografii historycznéj, która — gdyby kiedy napisana została wprawną ręką polityka i historyka — stanowiłaby dla naszego społeczeństwa kartę honorową w historyi w ogóle, a dla przyszłych pokoleń byłaby wypróbowanym podręcznikiem roztropności politycznéj. Jako dewizę, mógłby autor takiéj monografii wypisać słynne początkowe słowa przemówienia Zyblikiewicza do cesarza Franciszka Józefa w rondlu bramy Floryańskiéj w Krakowie, w chwili uroczystego wjazdu z r. 1881: „Podbiłeś nas, Najjaśniejszy Panie, podbiłeś nas Swoją szlachetnością i sprawiedliwością!"

Na który okres wypadłoby w téj monografii położyć główny nacisk? Na drugie namiestnikostwo hr. Agenora Gołuchowskiego (ojca), powitane w r. 1866 iluminacyami w całym kraju, czy może na rządy w Wiedniu, upamiętnione dyplomem październikowym, czy wreszcie na trzecie namiestnikostwo zakończone w r. 1875 zgonem przedwczesnym, który w całym kraju—literalnie w całym kraju — wywołał głęboką żałobę? Piszący to nie waha się wypowiedzieć zdania, że, ktoby pisał taką monografię dziś, w okresie zupełnéj metamorfozy państwa austryackiego, w okresie wyznaczającym żywiołowi polskiemu w Austryi rolę czynnika podpiérającego państwo i tron ze szczerego przejęcia się obopólnemi interesami, nawet z abnegacyą polityczną, ten musiałby główny nacisk położyć na najciemniejszą, albo raczéj na pozornie najmniéj świetną fazę działalności hr. Gołuchowskiego (ojca), na jego pierwsze namiestnikostwo za czasów absolutyzmu germanizatorskiego, kiedy Galicya, pogrążona jeszcze w prostracyi politycznéj, społecznéj, spowodowanéj następstwami lat 1846 i 1848, zwątpiła o wszystkiém i o wszystkich, a nielicznych Polaków w służbie rządowéj, hr. Gołuchowskiego przed wszystkimi i nadewszystko, piętnowała nazwą „*Schwarzgelberów*", co w tych czasach równało się wielkiéj klątwie politycznéj i banicyi w społeczném, albo raczéj w towarzyskiém tego słowa znaczeniu. Wtedy to hr. Gołuchowski, jako namiestnik Galicyi, niezmiernie zasłużył się około dobra i przyszłości kraju, odwracając lub przynajmniéj łagodząc w miarę możności ciosy, wymierzane przez absolutyzm germanizatorski nietylko na życie narodowe, lecz pośrednio i na ekonomiczne. Galicya bowiem należała do tych kopciuszków pomiędzy krajami, o które przedkonstytucyjne rządy wcale się nie tro-

szczyły, których zubożenie bodaj czy nawet nie wchodziło w program ówczesnych systemów. Na tém odwracaniu ciosów, w téj cichéj, wytrwałéj, nie na rozgłos obliczonéj, w danéj chwili na uznanie ziomków nawet liczyć nie mogącéj działalności polega główna, ale nie jedyna, zasługa hr. Gołuchowskiego z ówczesnego okresu jego rządów. Nie pominął on bowiem żadnéj sposobności, przy któréj mógł poprzéć jaki żywotny interes kraju na polu ekonomiczném i w zakresie oświaty. Każda drobna zdobycz w tych czasach ważyć musi na szali zasług więcéj, aniżeli w czasach dzisiejszych niejedna szeroka i rozgłośna akcya, do któréj droga stoi już otworem, a środki dane są w pełnéj mierze. Co jednak najważniejsza, co Gołuchowskiemu daje pełny tytuł do nazwy inicyatora i mistrza téj szkoły politycznéj, w któréj społeczeństwo polskie nauczyło się być dodatnim, a z czasem dzięki przyjaźnemu rozwojowi stosunków także i najwięcéj wpływowym czynnikiem państwowym w Austryi, to główna idea polityczna, wytrwale i mimo wszelkich przeciwieństw skutecznie propagowana. Idea ta polegala na zdrowéj refleksyi, że społeczeństwo polskie nie powinno pomijać żadnéj sposobności do dodatniéj pracy obywatelskiéj, nie uważać najtrudniejszéj sytuacyi za tak rozpaczliwą, żeby od téj pracy zupełnie usunąć się miało Jako stały i pewny punkt oparcia w tém dążeniu, wskazywał Gołuchowski osobę młodziutkiego jeszcze wówczas cesarza Franciszka Józefa, zapewniając o jego najszlachetniejszych intencyach, o wielkiém poczuciu sprawiedliwości i gorącéj chęci podźwignięcia państwa ze stanu, w który ono dostało się w poprzedzającym jego rządy burzliwym okresie dzięki zgubnym, istoty państwa austryackiego nierozumiejącym systemom. Refleksya ta trafiała do przekonania dojrzalszych politycznie obywateli, grono „*Schwarzgelberów*" wzrastało powoli, ale nieustannie. Jak ono potém w miarę rozszerzania się działalności Gołuchowskiego w kraju i w państwie zdobywało coraz więcéj opinię poważną, jak ostatecznie z brzaskiem ery konstytucyjnéj wydobyło się na wierzch i zapanowało w kraju, to już temat dla takiéj monografii historycznéj, o jakiéj powyżéj mówiliśmy, temat niezmiernie ciekawy, wdzięczny i pouczający. W takiéj monografii dopiéro dostanie się należne uznanie owym „*Schwarzgelberom*", tym pierwszym pionierom zwycięskiéj dziś myśli politycznéj społeczeństwa polskiego w Galicyi. Celem tego szkicu dorywczego było tylko stwierdzenie faktu, że dzisiejsze stanowisko polityczne Polaków galicyjskich w Austryi, stanowisko wiernego i stałego reprezentanta idei państwowéj austryackiéj, nie jest chwilowym wynikiem przemijającego położenia politycznego lub wyjątkowéj konstelacyi stosunków, lecz trwałym dobrze ufundowanym re-

zultatem długiéj edukacyi w wybornéj szkole politycznéj, dziełem długiéj i statecznéj pracy społeczeństwa nad samém sobą, w której wszelkie hazardowne eksperymenta i kapryśne skoki były i będą zawsze wykluczone.

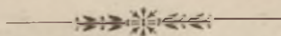
Szkic ten zajął zbyt wiele miejsca, żeby po nim przystąpić można do omówienia bieżących spraw krajowych. Niech on służy za wstęp ogólny do przyszłych kronik galicyjskich, które następować będą po sobie w dłuższych lub krótszych odstępach czasu w miarę, jak tego wymagać będzie gromadzący się materyał.

Ita.



WSPOMNIENIE WSPÓŁCZESNIKA

O MARYI SZYMANOWSKIÉJ.



Stanisław Morawski, lekarz, wychowaniec uniwersytetu wileńskiego, rówieśnik Mickiewicza, po latach wielu, osiadłszy na wsi, w Ustroniu, osładzał sobie samotność rozpamiętywaniem czasów młodzieńczych, a następnie zaś ujął za pióro i spisywał te wspomnienia. Jeden z najdłuższych rozdziałów poświęcił słynnéj w swoim czasie artystce, Maryi Szymanowskiéj, z któréj córką ożenił się twórca „Pana Tadeusza". Morawski pisał to w maju 1849 roku.

Mniemamy, że czytelnicy „Ateneum" z zajęciem przebiegną karty, skréślone przez człowieka bywałego, światowego i wykształconego.

....Zbieg rozmaitych i krzyżujących się z różnych kierunków na jednym punkcie okoliczności zbliżył mnie w Petersburgu z Maryą Szymanowską.

Wzajemne podobieństwo naszéj ówczesnéj pozycyi wkrótce tę znajomość w ściślejszą zamieniło przyjaźń, w przyjaźń tém szacowniejszą i większéj godną pochwały, żeśmy wtedy byli oboje młodzi, że ona była piękną, a ja nieułomek.

Jeszczem był w Wilnie, kiedy mnie jéj sławne *Exercices* kosztowały dużo i dni i nocy. Bo kiedyś i ja miałem do fortepianu i pre-

tensyę i skłonność. Rodzice moi, co zimę mieszkając w Warszawie, ściśle zbliżeni byli ze znakomitym i szanowanym powszechnie domem Ludwików hrabiów Platerów; sam uważanym był za jedną ze stałych gwiazd na horyzoncie warszawskim; sama, Hilzenówna z domu, łagodnością, dobrocią, pobożnością, miłosierdziem w sercu każdego warszawianina sprawiedliwy uszanowania hołd odbiérała. Ludwik Plater w podróży zagranicę napatrzywszy się na fenomeny magnetyzmu zwierzęcego i u profesora Wolfarta w Berlinie i u wiadomego szarlatana, żyda, a wiecznego wszystkich rządów północnych szpiega, Koreffa, który wtedy był domowym księcia Hardenberga lekarzem i z niejaką panną Hacuel cuda magnetyzmu wyrabiał, Ludwik Plater, powiadam, rzucił się do magnetyzmu z niestosownym do wieku swojego, bo z młodzieńczych porywów zapałem.

Szymanowska, z zacnego dostatniego i z cnót prywatnych znajomego domu w Warszawie idąca, miała dobrze starszą od siebie rodzoną siostrę pannę Julię Wołowską, od dzieciństwa przez ospę najzupełniéj pozbawioną wzroku. Jak zwykle w nieszczęściu, Bóg jéj nie odebrał nadziei. Roiło się téj poczciwéj i dobréj Julii, że nadzwyczajne i cudowne środki mogą stracony organ przywrócić! Myśl ta pochlebiała szczerze kochającemu ją rodzeństwu, a Szymanowskiéj szczególniéj, bo ją ta siostra, pomimo ślepoty swojéj, wynosiła na ręku i jak własne dziecię kochała. Szymanowska, perła rodziny, udała się z tym projektem do magnetycznego zagorzalca Platera.

Ta styczność z domem Platerów wprowadziła ją w styczność z domem moich rodziców, w którym także kwitnął magnetyzm. Ojciec mój, odwieczny wielbiciel kobiét i szalejący za muzyką, a i sam nawet kiedyś aż na dwóch instrumentach amator i śpiewak, nie mógł się nacieszyć boską grą Szymanowskiéj i rzadki talent naszéj pięknéj Polki najszczerszemi ustami wysławiał. Jeszcze dotąd zdaje się, że mi zostały w uszach ogromne dziury od wszystkiego tego, co mi zawsze i ciągle za powrotem swoim do Litwy o niéj rozpowiadając wydłubał. A kufry całe jéj kompozycyami ładował i woził je dla mnie z Warszawy. Znałem tedy i lubiłem już Szymanowską jak pełnego czucia kompozytora.

Mąż jéj, p. Szymanowski, człowiek majętny, uczciwy, cywilizowany i światły, ale prawdziwy mąż-mężczyzna *mari monstre*, nie mógł się w żaden sposób nastroić na ton młodziutkiéj żony swojéj i stąd ciągłe w domowéj orkiestrze robił dysonanse. Zagorzały amator gospodarki rolnéj i koni, chciał z żony koniecznie skrzętną i dobrą zrobić gospodynię, chciał ją z wdziękami nie wsi, ale gospodarstwa wiejskiego oswoić i bez żadnéj wstecznéj myśli nie raz jéj naprzykład w poło-

gu leżącéj kazał do łóżka pięknego przyprowadzić źrebca, żeby się nim przed kochaną żoną popisać! Nieraz téż w takiéjże epoce i nad uchem bębnić jéj kazał, zwołując na śniadanie lub obiad domową czeladkę — i myślał, że to ją doprawdy rozerwie, rozśmieszy, serdecznie ubawi. Na nieszczęście to wszystko przeciwne wywoływało skutki! Tenże sam człowiek z drugą żoną swoją był i żył wzajemnie szczęśliwy, bo się do siebie dobrali. Pierwsza do tego stopnia stoicyzmu nigdy dojść niebo-raczka nie mogła! Oboje, ludzie dobrego serca i czystéj woli uznali to nakoniec, że się dla siebie wzajemnie nie zdali. P. Szymanowski nie był, jak widzicie, poetą, przy rozstaniu się z żoną udzielając coś na ich wychowanie, narzucił na nią spłodzone z nią troje dzieci, ona je z otwartemi przyjęła rękami! I dotąd dostatnia, owszem majętna, młoda kobiéta raptem w innych zupełnie stanęła szatach.

Ale przeniosła nad wszelkie dostatki swobodę duchowego życia, przenosząc czarowne dźwięki swego fortepianu nad miłe dla jéj męża, ale mało dla niéj ponętne rżenie tureckich źrebiąt. „Mam dany talent od Boga—powiedziała sobie — wyżywię nim i siebie i dzieci" — powiedziała i zrobiła z tą szlachetną dumą, która godnego człowieka jeszcze godniejszym w takich razach czyni.

Szymanowska bo się już urodziła z duszą muzyczną. Każdy dźwięk boskiego natchnienia zaraz trafiał na odpowiednią i gotową strunę jéj czułego serca. Całe skarby, jakie sobie zebrała, winna była sobie saméj wyłącznie. Nikt ją wtajemniczyć w sekrety sztuki nie umiał, bo Warszawa podówczas żadnego w tym rodzaju mistrza nie miała i kiedy w roku 1812-ym za świetnym dworem Napoleona Paër, Rhode, Cherubini, jak porwane wirem téj wielkiéj komety światełka, nagle wśród Warszawy błysnęli, młodziutka i prześliczna podówczas kobiéta wywołała swoim talentem serdeczne zadziwienie, zachwycenie i życzliwość tych wielkich mistrzów, życzliwość nieudaną i trwałą, bo w wiele lat potém, kiedy się już ona jako artystka w podróżach swoich z nimi spotkała, ludzie ci, znakomici wszyscy co do jednego, dobrze ją pamiętali i otoczyli w cudzym kraju tém poważaniem, podziwieniem, szacunkiem, okryli ją temi skrzydłami ojcowskiéj przychylności i opieki, jakich godną ze wszech miar była.

Przypomnijmy sobie nawiasem, że podróż po Europie nie była jeszcze wtedy tą ślizgawką na łyżwach, jaką dziś odbywamy po żelaznych drogach, była to podróż prawdziwa, równą miarę dotkliwych trudów, co i duchowych dająca rozkoszy. Nie rzuciła się jednak na oślep na tak trudne dla płci jéj przedsięwzięcie. Czuła ona to dobrze, że ze sławnéj amatorki trzeba jéj zostać koniecznie wielką i pierwszorzędną artystką. Dni i noce kamienną pracą pracując, doskonaląc

i tak wysoki już talent, wyrabiając w sobie godną znawców całego świata zasługę i wartość, zamknęła się przed okiem ludzi; w takiém, o ile przyzwoitość dozwalała, osamotnieniu, oddawała się przez lat kilka statecznie celowi, który jéj szlachetne poświęcenie się miał nakoniec uwieńczyć, który jéj dzieciom miał zapewnić i wychowanie i kawałek codziennego chleba, który miał stworzyć obcym jéj ludziom tyle chwil zachwycających, tyle szczęśliwych momentów, a polskiemu krajowi przyniéść tyle zaszczytu i sławy! Dopiéro, kiedy się już prawdziwie na siłach poczuła, kiedy sobie śmiało powiedziéć już mogła: „*anch' io son pittore*", puściła się na czteroletnią pielgrzymkę artystyczną po Francyi, Niemczech, Anglii i Włoszech w towarzystwie również miłéj, dobréj i pięknéj siostry swojéj, Kazimiery, sławnéj już w Warszawie z niepospolitego, ucinkowego, ale bez najmniejszéj żółci dowcipu.

Zaraz na pierwszym wstępie w Wiedniu zachwycony tą duszą, jaka przez jéj grę do serc ludzkich mówiła, cesarz Aleksander, który już w ścisłéj sprawiedliwości, tańcując z nią na balu w Warszawie, naprawił tą wysoką grzecznością niesłuszną obrazę ojcu jéj przez Wielkiego Księcia Konstantego, w momencie porywczego zapomnienia się zrządzoną, i cesarz Aleksander tutaj, w Wiedniu, z własnego natchnienia mianował ją pierwszą fortepianistką dworu swojego.

Odtąd noszona na rękach całéj Europy, wiele tam znalazła współczucia, wiele nabyła rozgłosu i sławy. Nie pokażesz-by jednéj owoczesnéj wyższości, z którąby Szymanowska nie weszła w stosunki, z którąby wzajemnym szacunkiem i przyjaźnią na długo złączona nie była. Świadkami tego są jéj sławne albumy, o których niżéj na swojém miejscu powiemy. Monarchowie, książęta, dyplomaci, wodzowie, poeci, literaci, muzycy, wszystko, co żyło podówczas, otaczało ją wielce pochlebnym hołdem uwielbienia. Göthe, stary Göthe, pomimo wiadoméj dumy, zarozumiałości, oziębłości i suchości, z jakiemi w ostatnim okresie długiego życia swojego cudzoziemców przyjmował, pomimo całéj swojéj poezyi, a raczéj dla téj właśnie poezyi, oczarowany był Szymanowską i tak sobie głowę nią zawrócił, że wszędzie, czy u wód, czy w Weimarze, gdzie się tylko z sobą spotkali, już nieodstępnym był jéj towarzyszem. Ten rodzaj przyjaźni i uwielbienia trwał w nim stale, bo nawet w dobre kilka lat potém, kiedy Petersburg był Szymanowskiéj ciągłém mieszkaniem, Göthe w częstéj z nią był korespondencyi i rekomendowanych przez nią podróżników z największą zawsze przyjmował dystynkcyą.

Przypomnijmy, że Göthe już i podówczas, a późniéj więcéj jeszcze po zmarłym już Byronie, był pewnym rodzajem Napoleona Euro-

py i reprezentował słusznie, albo téż niesłusznie, najwyższą jéj moralną potęgę.

Oprócz tych zalet, odnoszących się wprost do jéj osoby, należy wiedziéć, że Szymanowska nie wyjechała zagranicę z próżnemi rękami, poprzedziła już ją i sława!

Dobrze jeszcze przed swoją podróżą znajomą była w muzykalnym świecie i ze swojego talentu i z kompozycyi swoich. Już wtedy albumy jéj muzyczne przelatywały z końca w koniec Europy, od Beethowena w Wiedniu do Mercadantego w Madrycie, którzy w nich, jako dla niepospolitéj artystki, umyślnie dla niéj ułożone zapisywali pamiątki.

Oprócz owych sławnych „*Exercices et Préludes*" wyżéj wspomnianych, które w liczbie dwudziestu poświęciła wielbionéj podówczas z wdzięków swoich Zofii hr. Chodkiewiczównéj, potém hr. Ossolińskiéj, oprócz „Kaprysów" poświęconych sławnemu Fieldowi, „*Divertissement*" z akompaniamentem skrzypiec i „*Roman sur le Départ*", sześciu „Menuetów", „Poloneza" na aryę ulubioną księcia Józefa Poniatowskiego i prześlicznych „Ośmnastu wielkich tańców", poświęconych księżnie Wiazemskiéj, w których szczególniéj wieloczęściowy „*Cotillon*" wszystkich zachwycał, oprócz tych, mówię, kompozycyi „Muzyka wojskowa" w sześciu „Marszach" objęta, przypisana W-mu Księciu Konstantemu i „Serenada" z akompaniamentem wiolonczeli, ułożona dla sławnego amatora księcia Antoniego Radziwiłła, wielkorządcy poznańskiego, „Fantazya" dedykowana księżnie Zajączkowéj, namiestnikowéj Królestwa Polskiego, i mnóstwo innych zachwycających, ulubionych produkcyi sławę jéj w kraju i zagranicą szeroko już rozniosły. Dodać do tego jeszcze należy śpiewane podówczas wszędzie trzy jéj arye o Jadwidze, Janie Albrechcie i Glińskim dla „Śpiewów historycznych" Niemcewicza złożone, które we wszystkich znajdowały się rękach i epidemiczną w Polsce popularność miały. Wszystko to napisała ona między ośmnastym i dwudziestym rokiem wieku swojego.

Te pełne dobrego smaku, czucia i prawdziwéj muzyki utwory tém więcéj zadziwiały znawców, że były owocem szczęśliwych i instynktowych natchnień téj niepospolitéj kobiéty, były one wyłącznie wypadkiem jéj wrodzonego talentu, którym ludzie tylko już z Wyższéj Ręki obdarzonymi być mogą. Nikt wierzyć nie chciał, że Szymanowska, jakem już raz napomknął, nigdy w życiu dobrego nie miała metra, bo ich wtedy w Warszawie nie było. Nikt jéj tam nie był w stanie dać pierwszych nawet początków generał-basu i zasad kompozytury. Co tedy po ten czas stworzyła, była winna sobie saméj wyłącznie, własnemu gienialnemu przeczuciu, własnemu natchnieniu!

A i w ciągu podróży wszędzie jeszcze rzucała kwiaty fantazyi swojéj po drodze. Ile sobie przypomniéć mogę „*La danse nationale polonaise*" przypisany Baillotowi i nokturn „*Le murmure*", w Paryżu, „Świtezianka" ballada Mickiewicza, w Moskwie, „Trzy śpiewy" Mickiewicza i sławny „*Le murmure à trois mains*", w Petersburgu, były owocem ciągłego téj rzadkiéj kobiéty natchnienia.

Dom Szymanowskiéj wszędzie zagranicą, gdzie się zatrzymała tylko, stawał się natychmiast jakimś przybytkiem, w którym wszystkie miejscowe znamienitości, czy rodu, czy literatury, czy sztuki, zbiegały się i kojarzyły jak w środku promienistego koła. Pełna wychowania, wykształcenia umysłowego, pełna dobrego tonu, naturalności, prostoty, dowcipu, umiała salonowi swojemu nadać także pełen godności i szlachetności kierunek, nadać mu prawdziwe życie. Przykładała się do tego nie mało i wyręczała ją dostojnie i z ujmującym wdziękiem w obowiązkach gospodyni domu siostra jéj, Kazimiera, piękna, świéża jak róża, z cudownemi oczami i prześlicznemi, nie wiem już jak długiemi, czarnemi rzęsami brunetka, bardzo mile drobniutkim głosem śpiewająca francuskie romanse.

Wtedy jeszcze wojażujący artysta niemałą był rzadkością. Otaczano go szczerą życzliwością, względami, opieką, zapraszano i zachęcano go wszędzie, jak jaskółkę na wiosnę, jak dudarza do chatki naszego rolnika. Dziś, co wytkniesz palec — to na artystę, co czapką rzucisz — to trafisz w gieniusza! Świat niemi wprawdzie już śmiertelnie znudzony!

Wówczas kochano muzykę ze szczerego serca. Każdy szedł słuchać koncertu, jak na modlitwę! Rhode, Lafon, Paganini, Lipiński, Romberg, Catalani — oto ludzie, a bodaj czy nie cała lista wielkich mistrzów i wirtuozów ciągle wojażujących owego czasu. Reszta się tylko jak komety zjawiała. Nie było jeszcze wtedy owych ustawicznych cudownych dzieci, owych dziesięcio i czternastoletnich gienialnych podrostków, tych Orfeuszów jeszcze w skorupce od jaja, co przewłóczywszy się po połowie kuli ziemskiéj nikną potém nie wiedziéć gdzie, jak kamfora. Nie każdy podówczas odważał się na uszach biednéj Europy robić próbki swego talentu! I jeden Liszt tylko w tych ostatnich kilku latach zasłużył na tę powszechną furorę, jaka podówczas otaczała wszystkich wybranych kapłanów téj sztuki.

Kiedy już w taki sposób objechała sam ekstrakt cywilizowanego świata, zebrawszy ogromne dla talentu swojego skarby przez ciągłe stosunki z mistrzami sztuki swojéj, Szymanowska, odwiedziwszy na chwilę rodziców w Warszawie, otrzymawszy powtórne ich błogosławieństwo, zabawiwszy czas jakiś w Moskwie i Kijowie, postanowiła nakoniec

stale w Petersburgu zamieszkać. Jeszcze tam była niedawno osiadła, kiedy łaska rządu dozwoliła wywiezionym od lat kilku z Litwy przyjaciołom i kolegom moim, Malewskiemu i Mickiewiczowi, przenieść się także do téj stolicy. W tymże samym czasie i mnie okoliczności do Petersburga zaniosły.

Mickiewicz i Malewski, już dobrze od Moskwy w domu Szymanowskiéj znajomi, bardzo sobie tego życzyli, żebym i ja się z nią zapoznał. Aleksander Chodźko i kilku innych kolegów uniwersytetu, a od lat trzech już ciągłych mieszkańców Petersburga, bywali u niéj i słów dobrać nie mogli na dostateczną téj zacnéj kobiéty pochwałę. Wyznam szczerze, że, pomimo całą namiętność do muzyki, pomimo całéj żądzy poznania naszéj wielkiéj artystki, jednakże doświadczenie, chociaż w młodym wieku, ale dobrze już nabyte, odradzało mi tę znajomość. Opiérałem się długo naleganiom moich przyjaciół. Było tam akurat pięć kobiét razem na jednym punkcie ciągle skupionych! a wiedziałem oddawna, że, gdzie się dużo tych miłych istot pod jednym dachem znajduje, tam dla mężczyzny zawsze mało nadziei, żeby z téj znajomości był kontent! Kobiéty mają rzadki i zadziwiający talent utylizowania mężczyzn jak wołów roboczych, niby od niechcenia, mimojazdem, nawiasem, — lubo same zawsze najpierwsze zgrozą egoizmu bywają przejęte i o tém ciągle na różne tony przed nami śpiéwają. Plotki więc i różne a ciągłe polecenia i komisa są zawsze nieodłączną takich stosunków plagą, od któréj żaden takt, żaden na świecie rozsądek uwolnić mężczyzny nie zdoła. W obcym kraju między rodakami i rodaczkami niebezpieczeństwo było podwójne: bo się oni ściśléj z sobą w tym razie łączyć zwykli. W przyjętéj *ad hoc* przezemnie manierze, nie dozwalającéj łatwego pod tym względem zbliżenia, zbudowałem był wprawdzie sobie jakąś zasłonę i tarczę przeciw tym często od samego nieszczęścia trudniejszym do zniesienia pociskom. Wszelakoż i to nie było dostateczną ochroną od wystrzałów, wymierzonych nieraz ze wszystkich punktów kobiécéj bateryi w człowieka, który powolność, grzeczność i uszanowanie dla płci pięknéj wessał już w siebie z mlékiem, bo się urodził w epoce, kiedy te uczucia i zalety wszystko na świecie znaczyły i świętą były powinnością. Zaraz jednak dodać tu muszę, że powody bojaźni mojéj, w tém co się Szymanowskiéj dotyczy, płonnemi były, żem o tym domu zupełnie innego natychmiast nabrał przekonania, które dobra dalsza znajomość bardziéj jeszcze utwierdziła we mnie.

Wprowadzony nakoniec, a raczéj wciągnięty do niéj zostałem. Przyjęła mnie z dziwnie uprzejmém ujęciem, z tą pełną poloru natu-

ralnością, z tą ukształconą prostotą, która tylko w osobach wyższego wychowania spotykać się daje.

To sprawiło, że od pierwszéj chwili byliśmy tak, jak żebyśmy się od stu lat znali; a w tém właśnie leży największy dar i takt gospodyni domu zmuszonéj żyć na wielkim świecie. Obok niéj był rzadkiéj piękności aniołek, młodsza jéj córka, Celina, prześliczna i, jak róża w połowie rozkwitła, wychylająca się dopiéro z pączka świéżutka, z cudownemi, czarnemi oczyma panienka. Oko uważne i wprawne odrazu poznać mogło, że Szymanowska była bardzo cywilizowana i światła. Wszystko, co mówiła, bez żadnego naciągania i popisywania się, płynęło najnaturalniéj samo z siebie, nie miało najmniejszéj do uczoności pretensyi, najmniejszéj chęci dumy, desynowania się i robienia efektu, i tém właśnie przekonywała, że dużo umiała, że dużo widziała, że się dużo sama uczyła i że z nasłuchania się w wyższych towarzystwa sferach wszystko, co pożyteczne i miłe, potrafiła z prawdziwą korzyścią wcielić w swoje pojęcia. To pewna, że gdyby nawet nie miała swego nieocenionego talentu i tak jeszcze byłaby ona zawsze nieskończenie miłą i odznaczającą się od tłuszczy cywilizowanych kobiét kobiétą. Obeznana była dobrze z całą piękną literaturą Europy, posiadała języki: angielski, włoski, niemiecki, a francuskim tak pisała i mówiła, jak gdyby rodowitą była Francuzką.

Chcielibyście może widziéć jéj portret? Była piękna. A dla mnie bodaj czy nie więcéj jak piękna, bo silna, hoża i nadzwyczajnie przyjemnéj od pierwszego wejrzenia przyciągającéj twarzy. Wzrost słuszny, kibić prawdziwéj Muzy, prosta, szykowna i kształtów przyzwoicie pełnych, łechcących zmysły, ruchy jéj były zgrabne, powabne i miękkie, faliste, łabędzie, rozkoszne. Ale ona sama nie domyślała się tego, nie wiedziała może o tém, jak każde jéj poruszenie, wdzięczne, zaokrąglone, spiralne, malownicze, dyszało przyrodzoną a drażniącą oko swobodą i gracyą. Gdyby nawet chciała, nie byłaby w stanie, nie umiałaby dać ani jednego niezgrabnego albo wymuszonego kroku, wszystko to widać było, jak wyléwało się samo z siebie, jak tchnęło jakąś gorącą świéżością, jakąś zieloną, daleką nadzieją, jakimś chłodkiem bukietu, jakiémś *patchuli* rozkoszy, jakąś energią silnie splecioną z jednoczesném a wdzięczném zaniedbaniem póz, któremi się ludzie tak bardzo zachwycają w kreolkach. Sztuka tu nic nie pomoże, trzeba się już na to taką urodzić!

Ręce od ramion do samych różowych paznokci jakby toczone! Plecy atłasowe, pulchne, dziwnéj śnieżnéj białości, z dwoma cudownemi dołkami i o tych dobrze wiedziała. Biust cały artystycznie złożony. Nóżka jéj warszawska, co dosyć powiedziéć, nie tyle drobna co wą-

ziutka i długa, a zawsze najstaranniéj ubrana. Szymanowska miała oczy błękitne, włos blond-ciemnawy, zęby białe jak kość słoniowa, uśmiéch polskiéj szczerości na ustach z róż i korali utkanych. Głos jéj dla mnie przynajmniéj mało był dźwięczny i śpiéwać nie mogła. Jak pani Staël, lubiła nosić turbany, berety, które w wielkiéj modzie były podówczas i te jéj były dziwnie do twarzy. Dodajcież do tego to, co się w środku téj pięknéj i szlachetnéj znajdowało główki, dodajcie to, co tak dowcipnie i mile przez te piękne i zawsze wesołe wybiegało usta, a wtedy domyślicie się łatwo, dlaczego tak wielu ludzi za nią szalało, — a ona za nikim! Uchodzące, owszem zgadzające się z dobrym tonem i przyjęte jeszcze podówczas, jako ostatki dawnego salonowego z kobiétami dowcipu, dwuznaczne i śliskawe aluzye, których język francuski tak obficie dostarcza w potocznéj rozmowie, rumieniły ją jak młodziutką panienkę. I ten zbyteczny a bardzo często objawiający się wstydek, który mnie zawsze gniéwał, jako gość niepotrzebny w kobiécie jéj położenia i wieku, chociaż szczery i nieudany, do wad należał, bo się z resztą jéj hożéj i wcale nie mniszéj maniery niezupełnie zgadzał.

Jeszcze jeden, kiedy chcecie, miała w sobie osobliwszy kaprys — od urodzenia wstręt nieprzezwyciężony miała do kotów i na sam widok albo nawet na samo przeczucie zbliżającego się kota mdłości ją brały! To w Petersburgu, gdzie dużo tych zwierząt i to wielkiego gatunku zwykle chowają, nieraz ją w przykréj stawiało pozycyi. Przyjaźnią serdeczną z poczciwym Oleszkiewiczem złączona, dyametralnie przeciwne w tym względzie miała z nim skłonności, dlatego nigdy prawie odwiedzić jego pracowni nie śmiała.

Szymanowska nie miała w sobie ani cienia téj, jak puch erdredonu, sprężystéj a miękkiéj egzaltacyi, która dzisiaj tak wiele kobiét niewypowiedzianym w towarzystwie otacza urokiem, która dla mężczyzn jest dziś tak czarującą i odurzającą ponętą. Myśli jéj, uczucia i zdania były myślami i uczuciami tkliwéj, prawdziwéj kobiéty, ale kobiéty sądzącéj zawsze o wszystkiém naszym męskim, zdrowym rozumem. Ta jéj praktyczna wyższość, usuwająca ze sceny w obcowaniu z ludźmi tak miłą słabość kobiécą, stąd zapewnie pochodzić musiała, że przy wszystkich do marzeń gotowych już w sobie żywiołach ledwie nie od pierwszéj młodości zmuszona była myśléć o sobie i czuwać nad losem dzieci. Nie miała zatém czasu wyrobić w duszy swojéj tych idealnych światów, do których osoby jéj płci i jéj wychowania przez zbytek ziemskiego szczęścia dochodzą z tak wielkim poklaskiem w salonie—z tak szkodliwemi następstwami w rodzinie. Ale co mnie uderzyło najwięcéj przy téj pierwszej wizycie, to była owa nieudana i anielska łatwość,

z jaką na pierwszą prośbę, na pierwszy cień prośby choćby trzyletniego dziecka, nie drożyła się ze swoim talentem i siadała natychmiast do fortepianu. Znałem po rok 1838 włącznie ledwie że nie wszystkich sławnych w każdym rodzaju europejskich artystów, ale takiéj pod tym względem łatwości, takiéj względności, takiego zastosowania się do woli każdego, takiego niedrożenia się z darem od nieba sobie nadanym nie spotkałem w nikim! Jeden Orłowski miał w tém niejakie z nią pokrewieństwo. Ale na niego, jakem w inném miejscu powiedział, trzeba było użyć prostego i niewinnego zresztą fortelu, a tu się wszystko samo z siebie wysnuło, wylało! Już była przy fortepianie, kiedy weszła do sali z piórem za uchem, ze zwalanemi w atramencie paluszkami, śmiałym bardzo krokiem młodziutka, ale już sformowana, miléj twarzyczki i nieco pochyło trzymająca się osóbka — była to starsza córka pani Szymanowskiéj, Helena, która tylko co lekcyę swojego ukochanego języka niemieckiego była skończyła. Śmiała i ledwie że nie zanadto już naturalna, a przytém pełna dystrakcyi, zaraz mnie o uczone rzeczy zagadła i o nich szeroce rozprawiać przedemną zaczęła. Bawił mnie w komicznym sposobie ten rodzaj pewności i zarozumienia w drobnéj, bo ledwie szesnasty rok zaczynającéj dziewczynce; wziąłem ją za *bas-bleu* w zarodku i dlatego nie podobała mi się, bo cierpiéć pedantek nie mogę! Taki sam skutek akurat i ja na niéj zrobiłem... ona mnie wzięła za jakiegoś ptimetra i trzpiota, bo z właściwą sobie przenikliwością dostrzegła, żem grzecznie, ale potężnie, żartował z jéj filozoficznych marzeń i z całego ogromu nauki, w téj jeszcze zielonéj główce zawartego; nie podobaliśmy się tedy sobie wzajemnie! Któżby mógł w owym momencie przewidziéć, że, jakeśmy się lepiéj ocenili i wzajemnie poznali, Bóg téj znajomości dwóch dusz poczciwych pobłogosławił na długie lata! że panna ta, którąm w lat kilka potém wychodzącą za przyjaciela mojego, Franciszka Malewskiego, do ślubu prowadził, że, jednem słowem, pani Helena Malewska, kobiéta pełna dobroci i światła, cnotliwa i przykładna żona, dobra matka licznego potomstwa, będzie, oto już rok z górą dwudziesty, najlepszą, zawsze stałą po dziś dzień moją przyjaciółką! Nie prędko już potém w Paryżu młodszą jéj siostrę, Celinę, wyswatałem za Mickiewicza, wygnańca i tym sposobem dwóch szkolnych i nierozłącznych przyjaciół więzami powinowactwa ściśléj jeszcze pomiędzy sobą złączyłem. Szymanowska muzykę swoją na ten raz zaczęła od kompozycyi własnéj, która wtedy w Petersburgu robiła furorę, od nokturnu *le murmure*, świéżo ułożonego. Słyszałem go już był po wielu domach. Brząkały go ledwie nie wszystkie kobiéty stolicy; toś tylko przy otwartych oknach, idąc po ulicy, i słyszał! Ale jakim on był, kiedy miał żywą duszę, poznać to tylko było można

pod ręką Szymanowskiéj! Za tém poszły inne kompozycye — wywijała to wszystko jak z płatka. A główną cechą wszystkiego była ekspresya, gust i życie.

Zaciągnięty do jéj domu, ledwie nie gwałtem wyciągnięty z niego być musiałem przez Malewskiego: takem się o niéj w oczarowaniu zapomniał! Zdurzony masą talentu i uczucia w muzyce, dowcipem, uprzejmością i gościnnością w obejściu się z ludźmi, jakie tam znalazłem, wyrwanym stamtąd być musiałem i strąconym jak Telemak jaki z téj oczarowanéj wyspy przez mojego Mentora, który się z temi skarbami już był u niéj oddawna oswoił. Pierwszym skutkiem téj pierwszéj wizyty było, że ja, co choć nie bardzo biegle, ale z wielkiém jak mówiono czuciem, grałem na fortepianie, wróciwszy do domu, natychmiast instrument mój nazawsze przed sobą zamknąłem i, jako niegodny partacz, nigdym się już odtąd do dziś dnia ani razu klawisza nie dotknął!

. . . .

Polak nie mógł się nie cieszyć i w słuszną nie urość dumę, widząc, że Bóg nam dał tak niepospolitą rodaczkę. Nie można było nie miéć dla niéj od razu téj przychylności, przyjaźni, szacunku, uszanowania, na jakie i talentem, i rozumem, i nieszczęściem, i prowadzeniem się, i poświęceniem swojem dla dzieci, i nakoniec oddaniem się dla rodaków zasługiwała.

Dom jéj stał zawsze otworem dla tych wszystkich Polaków, którzy wyższém ukształceniem i konduitą warci byli tego zaszczytu. Nie anonsowano ich nawet nigdy, wchodzili do jéj wielkiego salonu, jak krewni, jak bracia. A tak od niéj zawsze traktowanymi byli bez względu na obecność najznakomitszych osób w stolicy, jak żeby sami do rzędu znakomitych ludzi należéć mieli. Ten szczególny takt w obejściu się z gośćmi swoimi, żeby wszyscy bez różnicy pod jeden strych poszli, i równą a jednostajnie grzeczną gościnność w jéj domu znaleźli, posiadała w wysokim stopniu. W mieście, arystokratyczną dumą przesiąkłém, Polacy ledwie że nie jedynie i wyłącznie u niéj znajdowali sposobność poznania się z ludźmi, na najwyższych stojącymi szczeblach, do czego ona oprócz powszechnie przyjętego na świecie, a najczęściéj jałowego, jednych z drugimi salonowego zbliżenia jeszcze treścią zręcznie i trafnie wprowadzonéj na stół rozmowy cudownie przykładać się umiała. Był już w niéj z przyrodzenia dar nieporównany wygrzebania i wyprowadzenia na jaw wyższéj i światłéj strony każdego człowieka, co się u niéj znajdował, tym sposobem—zainteresowania

wzajemnie osób humorem, wiekiem, nauką i pozycyą na świecie bardzo od siebie dalekich.

Jéj ujmująca grzeczność, otwartość, naturalność, ciągle musujący dowcip, jéj nauka, jéj niepospolity talent muzyczny i piękna postać przy nieposzlakowanéj konduicie różniły całém niebem dom jéj od domów innych europejskich artystek. Ten właśnie powszechny dla niéj szacunek był przyczyną, że w jéj salonie dawały się widzieć ledwie nie co dzień najznakomitsze osoby płci obojéj: z zagranicznéj ich liczby wymienię te tylko przynajmniéj, które mi tu na pamięć po tylu latach przychodzą, nie mówiąc już o mnóstwie cudzoziemców i cudzoziemek podróżujących, którzy nigdy poznać jéj nie zaniedbali. Widywałem w jéj domu często księżnę Kurakin, jedną z najpoważniejszych dam dworu, księżnę Barbarę Golicyn i panią Diwow, córki hrabiego Rumiancowa, księżniczkę Alinę Wołkońską, córkę sławnego ministra dworu, całą zacną i utalentowaną rodzinę sekretarza stanu Lwowa, panią Dierżawin, panią Szyszkow, Narbutównę z domu — żonę ministra oświecenia, pana Middleton z familią—posła Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnéj, barona Palmstjerna — ambasadora szwedzkiego, hrabiego Simonetti—ambasadora Sardyńskiego, pana Potemkina—posła rosyjskiego przy dworze bawarskim, barona Bourgoing — ministra francuskiego, kawalera O'Sullivan — sprawiającego interesa Holandyi, księcia Ksawerego Lubeckiego– gienialnego ministra finansów Królestwa Polskiego, hrabiego Grabowskiego—ministra sekretarza stanu Kr. Polsk. z siostrzenicą i wnuczką, tajnego radcę Turkułła — dzisiaj ministra sekretarza stanu Królestwa Polskiego, hrabiego Zamoyskiego, jenerała Kosseckiego, Fryderyka hrabiego Skarbka, jenerała Łubieńskiego, księcia Giedrojcia i mnóstwo innych; oprócz Mickiewicza, Juljana Korsaka i Aleksandra Chodźki trzech jeszcze naszych ustnéj mowy albo gienialnego sztrychu poetów—Oleszkiewicz, Żelwiettr i Orłowski ścisłą przyjaźnią byli z nią złączeni. Cóż powiedzieć o artystach cudzoziemskich? Jacy tylko zjechali kiedy do Petersburga jak w dym się do niéj zaraz rzucali i zawsze uprzejmą gościnność, światłą radę, szczerą pomoc i protekcyę znaleźli, lubo się natychmiast, jak tylko we własne porośli pierze, niewdzięcznością wypłacać umieli.

. . . .

Szymanowska z duszą prawdziwie wzniosłą przyzwanéj od Boga na tę misyę artystki nie znała, nie rozumiała, nie znalazłaby nawet, gdyby sama chciała, miejsca w sercu swojém na te wszystkie nędzne uczucia. Wychowana w poczciwym i bogobojnym domu rodzicielskim, przejęta uczuciami téj szlachetności duszy, która w dobrze pojętych

wyższych społeczeństwa sferach, bez względu nawet na różnicę uprzywilejowanych kast towarzyskich, wrodzonym zdaje się być przymiotem, obca była intrygom, chciwości, zawiści i innym wadom poziomym, tak powszechnie poniżającym moralną wartość artystów; ona zapominała zawsze o sobie i dla każdego artysty, dla każdéj artystki cudzoziemskiéj, czy słowiańskiéj, drzwi jéj domu stały otworem, wszelka protekcya, pomoc, dodanie odwagi, a czasem i wsparcie pieniężne były im zapewnione. Pochwały i zachęcenia sypały się z jéj ust cnotliwie wymownych nawet dla takich osób, które, ulegając zarozumieniu, wrzodowi wieku naszego, w niewykończonym dzisiaj jeszcze talencie obiecywały coś więcéj na przyszłość. Ta szczera z duszy idąca abnegacya własnych korzyści i interesów nieraz sprawiła, że wdzięczny protegowany, zaraz sam na jéj miejscu stanąć zamyślił, że pod nią szyć i dołki kopać natychmiast zaczął, że jéj poczciwy chléb, który ona teraz dla tylu osób własną ręką zapracowywać musiała, odebrać i sam go na karty, trunki i wszelką rozpustę roztrwonić za największy artystyczny miał obowiązek! Kobiéta, pełna rozumu i przenikliwości, odgadła w lot natychmiast, przeczuła to pierwéj od wszystkich ją otaczających, ale robić dobrze nie przestała dla tego. I świéży znowu z zamorza przybyły talent znowu w niéj znalazł opiekunkę i matkę.

Trzeba było przypatrzyć się tym wielkim intrygom rosnącéj codzień w geometrycznym postępie ambicyi, chciwości, podłości, trzeba było to widziéć, co ja tyle razy widziałem, żeby umiéć ocenić całą wspaniałość postępków i uczuć téj niepospolitéj kobiéty. Trzeba było widziéć, tak jak ja widziałem, że nieraz dosyć jéj było słodkiém okiem niezaprzeczonéj piękności spojrzéć tylko na jakiego potężnego magnata, który właśnie całemi latami żebrał tego spojrzenia, żeby zabić, zgubić na wieki przyszłość niewdzięcznego człowieka, co jéj szkodzić się starał, a ona akurat tego wzroku na ten cel nie użyła nigdy!

Szymanowska, kiedy jéj Bóg odebrał majątek, nie chąc być nikomu ciężarem, własną pracą los swój i dzieci zapewnić z dumnie do góry wzniesioném czołem postanowiła, bo tak uczciwemu człowiekowi przystoi, ale chciwie szukać złota, oddać się zawiści, intrygom, potwarzy, taka, a tak powszechna już dzisiaj podłość ani jéj nigdy na myśl nie przyszła.

Gra Szymanowskiéj była pełna ekspresyi i czucia, w każdém trąceniu klawisza odzywała się jéj dusza, a własne chwilowe wrażenia umiała przelać w swojego słuchacza, że je także razem z nią sercem pojmował. Widziałem i słyszałem wielu najpierwszych w Europie artystów, ale rzadko w kim spotkałem się z równie jasném i delikatném pojęciem każdego wyższego odcienia melodyjnego.

Epoka, kiedy ją poznałem, była już śpiewem łabędzia prawdziwéj muzyki, to jest muzyki mówiącéj do duszy! już się zaczynała i dobrze była podrosła muzyka mówiąca tylko do oka i zadziwiająca rozum—bo muzyka biegłości i mechanizmu palców. Ta biegłość dzisiaj doszła już do tego stopnia, jakiego ani Szymanowska, ani żaden z ówczesnych artystów domyśléć się prawie nie mogli, ale za to za jéj czasu było daleko więcéj czucia i gustu!

Ówcześni artyści mówili: „Bracie mój, skłoń ucho twoje do mojego śpiewu, słuchaj, jak pod ręką moją czarujące rodzą się dźwięki, jak one wielbią i roznoszą w przestrzeń chwałę Stwórcy naszego, słuchaj tych męzkich tonów, co szerzą po kuli ziemskiéj rozgłos bohatérskiéj sławy, wszak czujesz oto w tém słodkiém pieniu dwóch serc sobie oddanych duchowe małżeństwo? w tych smętne niedoli naszéj odbicie, a tutaj znowu wszystkie razem zmieszane krewkości nasze i cnoty, i wady, i słabości i zbrodnie!"

O, Szymanowska śmiało tak powiedziéć mogła! Nie było w niéj jednego tonu, jednego uderzenia struny, żeby się w duszy słuchacza nie odbiły natychmiast, czy ryk rozpaczy, czy jęk boleści, czy jad nienawiści, czy radość szczęścia, czy żałoba smutku, czy uśmiéch nadziei, czy obłęd miłości, czy konwulsyjne drganie rozkoszy. A wszystko to było okryte jakąś ogólną sinawą barwą niebieskiego eteru, jakiémś odległém przeczuciem dalszych wiecznych losów, jakimś urokiem serdecznéj tęsknoty. Dosyć powiedziéć, że latające wolno po jéj pokojach kanarki, jak się tylko, bywało, do fortepianu zabrała, jak gdyby rozumiały, że jéj dusza podówczas z Bogiem rozmawia, siadały na jéj pulpicie i uważnie jéj dźwięków słuchały.

Teraz mnie kto bez wątpienia po dzisiejszemu zapyta: „Byłaż ona prawdziwie narodową?" Śmiało i z ręką na sercu odpowiadam: była, ale była nią tylko w części, bo jéj nie dali być nią zupełnie. I w tém nie jéj wina, ale wina naszego narodu, wiecznie oziębłego dla wielkich naszych talentów! Rozbieżcież każde jéj dzieło, oceńcie duch każdéj jéj stronicy, przypatrzcie się temu co w licznych rękopismach po niéj zostało, zastanówcie się nad niemi, wszędzie ona przeczuwa, czego nam potrzeba, wszędzie, gdzie tylko może, z uniesieniem, z radością chwyta ona i rzuca się na nasze krajowe motywy!

Nie mogła Szymanowska być w ścisłém znaczeniu tego wyrazu narodową muzą, tak jak do tego wszelkie miała usposobienie i żądzę; naprzód, że w czasie, kiedy ona żyła, duch artystyczny narodowości naszéj tlał jeszcze w dawnym popiele, jeszcze wiatrem właściwego czasu rozdmuchany nie był i jeszcze nie zaczął się ani wyrabiać ani rozwijać, owszem gieniusz naśladownictwa w całym podówczas u nas żył bla-

sku. Potém, że będąc w takich okolicznościach czysto narodową, najmniejszéj nie pozyskałaby sławy, któréj wartość, znając się na swojéj wyższości, bardzo cenićumiała i sprawiedliwą pałała jéj żądzą. A z czysto polskim utworem nie wyszłaby wtedy przy całym swoim talencie za pierwsze wrota polskiego kraju,—cóż dopiéro mówić o reszcie Europy? Nakoniec, że bardzo jeszcze młodo zakończyła życie, nie miała więc czasu wysnuć z siebie wszystkiego, co w jéj duszy leżało.

Ale powié mi tutaj kto z boku: „Cóż znowu, ciągle chwalisz, a chwalisz, przecież nie była świętą? Przy światłach muszą być cienie! wykaż nam jéj wady"! Chcę sobie jéj wady przypomniéć,—przypominam, przypominam,—przypomniéć nie mogę! Jużciż jakieś tam, jak każdy człowiek miéć musiała, ale te były zapewne tak drobne, tak domowe, że obcego człowieka nie uderzały w oczy. Widziałem ją w różnych okolicznościach,—i była zawsze taką, jak być należało. I w tém właśnie znajduję nowy dowód jéj wielkiéj wyższości, że i patrząc na na nią przez lat wiele zbliska i po latąch dwudziestu, kiedy już przed wzrokiem moim zasłania ją mogiła i kiedy jéj obraz w oddaleniu tylko przedemną staje, pamięć moja same w niéj tylko zawsze okrągłe widziała i widzi kontury, nigdzie szorstkości, nigdzie garbu lub kolca!

Obdarzona dowcipem za trzydzieści dowcipnych kobiét, wprawdzie schwyciła ona zawsze w lot każdą śmiészność w człowieku, ale ten łup zostawał wyłącznie przy niéj, nie pozwoliła mu nigdy chodzić z tryumfem po świecie. Szymanowska pomimo całéj dobroci i miękkości serca, pomimo całéj duszy, jaką w każdą muzykę wléwała, a więc nieczułą być nie mogła, zdaje mi się, że się zakochać wtedy przynajmniéj, kiedy ją poznałem, już nie była w stanie. To zatém, że w życiu swojém, tak młodo na świat puszczona, żadnego nigdy nie zrobiła esklandru, żadnéj nie dała sobie zarzucić miłosnéj intrygi, było zapewne skutkiem jéj rozsądnego prowadzenia się, ale więcéj było skutkiem szczęśliwéj natury. Zresztą i czasu jeszcze miała przed sobą, umarła bowiem w 41 roku życia swojego, jeśli, jak mi córka jéj pisze, rodziła się 14-go grudnia 1790 roku, a wyglądała młodszą. Kochających ją było dosyć, ona cała, dzieciom oddana, miała wprawdzie w sobie dużo téj miłéj salonowéj kokieteryi, bez któréj kobiéta staje się prostą tylko samicą, lubiła grzeczności i nadskakiwania mężczyzn, ale tylko jako zabawkę, jako przyjemny hołd jéj talentom, jéj dowcipowi, jéj wdziękom oddany. Lubiła to może jako tryumf, jak niewinną zemstę nad zazdrosnemi jéj damami, jak małą szczutkę dawaną od czasu fałszywym przyjaciółkom swoim, ale tego, co nazywają miłosną intrygą, nie prowadziła nigdy. Dlatego téż dom jéj, pełen otwartości i szczeroty, zachował zawsze te

wszystkie przyzwoitości i dobrego tonu odcienia, których napróżno w domach innych artystek w życiu mojém szukałem i których niedostatek zawsze mnie z ich towarzystwa usuwał, że nie powiem wypędzał— tak było dla mnie nieznośném.

Czynność Szymanowskiéj ciągła, ustawiczna, niezmordowana, była godna podziwu. Trudno było pojąć, jak przy takim rodzaju życia, do jakiego ją okoliczności znagliły, na wszystko wystarczało jéj czasu! Wizyty jéj oddawane, ciągłe ranki i wieczory muzykalne, na które się tłumy amatorów do niéj zbiegały, ciągłe prośby artystów przybywających do Petersburga o pozwolenie pokazania próbek ich talentu, dla których spraszać musiała wszystkie znamienitości stolicy, godziny lekcyi najpierwszym w kraju domom dawane, edukacya własnych córek, osobiste nad instrumentem doskonalenie się i praca, liczne kompozycye, z których wiele niewydanych po niéj zostało,—wszystko to, pochłaniając całe dwadzieścia cztery godziny dnia każdego, zdawało się przekonywać, że ta kobiéta jedynie tylko macierzyńską miłością i poświęceniem się ożywiana i pobudzana, była w stanie tak wielkim trudom wydołać. Dodajmyż do tego niezliczone korespondencye, do których obyczajem wszystkich dam wysoko ukształconych i zmuszona była i sama jeszcze z siebie wielką miała ochotę. Jest to do dzisiaj powszechna kobiét na wielkim świecie żyjących, czy zaleta, czy wada; stół jéj piśmienny założony był stosami najrozmaitszéj wielkości listowego papiéru, na którym ona po kilkadziesiąt biletów, żartując i bawiąc się rozmową z obecnemi, rozpisywała i zamęczała ich roznoszeniem destynowanego *ad hoc* lokaja swego, starego poczciwego Augusta. Styl jéj był przyjemny i łatwy nietylko w listach, ale nawet i wtedy, kiedy dla zabawki napisała jakąś literacką bluetkę; charakter ręki miała piękny, kiedy chciała, to jest, kiedy cokolwiek powolniéj pisała. Ale jéj rzadko na to stawało czasu; mam dotąd mnóstwo jéj bilecików lecącém piórem o jednym tylko albo o dwóch wierszach, a takich codzień do różnych osób wylatywało z pod jéj ręki po trzydzieści najmniéj. Mieszkanie jéj duże, skromnie dosyć, ale bardzo przyzwoicie ubrane, koniecznie musiało być przestronne, bo oprócz salonu i buduaru dla gości, trzeba było w niém jeszcze pomieścić siebie, dwie córki, dwie siostry, Kazimierę i Julię i brata Teodora, który u nas dla cienkiego głosu także za pannę się liczył, i nakoniec trzeba dać było miejsce kuchni i usłudze. Jedyny syn jéj Romuald uczył się wtedy i mieszkał w instytucie dróg i mostów i po jéj śmierci dopiéro, zostawszy oficerem, niedługo potém na Kaukazie życie zakończył. Jak ona biedaczka temu wszystkiemu w tak kosztownem i zbytkownem mieście pracą swoją wydołać mogła i nietylko długów nie zrobić, ale jeszcze jakiś fuundusz

po sobie zostawić potrafiła, był to już sekret jéj rzadkiéj rządności, rozsądku i taktu. Nietylko tam nigdy nie było widać ściskania się i skąpstwa, ale owszem każda okoliczność wykazywała obserwacyjnemu oku ten szczęśliwy i wolny od wszelkiego przymusu dostatek, tę w każdym względzie rozsądną wygodę i komfort, które rozum i serce nad rotszyldowskie skarby w życiu przenosi. Kutwiarstwo Paganini'ego chciwość Catalani, żarłoctwo Rossini'ego i rozhukane na cztery wiatry wybryki innych sławnych artystów i artystek nigdy ani na jeden moment nie postały w jéj przykładnym domu, nigdy ani na moment nie zmazały jéj szlachetnéj duszy. Była to zawsze młoda, piękna i dobrze wychowana pani, która w niedoli nie zapomniała ani na chwilę o wewnętrznéj własną cnotą wyrobionéj godności i któréj Bóg wprawdzie odebrał bogactwa ziemskie, ale bogactwo duszy najzupełniéj w jéj posiadaniu zostawił tak, że je nietknięte i nieskalane dzieciom oddała w spuściźnie. Nieraz téż wielki ochmistrz i gospodarz jéj dworu, siostra jej poczciwa Julia starała się na dawanych nam przedziwnych Szymanowskiéj obiadkach obok francuskich wymysłów zrobić rodakom miłą niespodziankę i postawić przed nami daleko ponętniejszy talerz litewskiego chłodniku, polskiego barszczu, albo półmisek naszych wybornych zawijanych zrazów i topniejącéj jak lód w ustach duszonéj kapusty. Te chwile na wesołéj biesiadzie wolnéj od wszelkiéj obmowy w poczciwym domu strawione śród kobiét dobrych, jaśniejących wszystkiemi wdziękami umysłu i ciała, liczę i liczyć zawsze będę do najszczęśliwszych chwil życia mojego.

W tak przyjaznéj oddawna byliśmy już ścisłości, kiedy okoliczność, którą natychmiast opowiem, wprowadziła na moment między nami dysonanse i fałszywe akordy, opowiem tutaj tę bagatelę umyślnie dla tego, żebym lepiéj dał jeszcze poznać całą szlachetność jéj duszy. Człowiek bardzo niedobry, a tém gorszy jeszcze, że ciągle przed ludźmi udawał baranka, że sam o sobie niepytany opowiadał każdemu, jak wielkim kiedyś był łotrem i jak go potém łaska Boska, światło religii i rady poczciwego Oleszkiewicza zmieniły, prawdziwy Rodin z „Wiecznego Żyda" dał powód do tego. Nie mogę jednak wstrzymać się, żebym tu wprzódy nie powiedział słów kilka o tym osobliwszym człowieku, nie z powodu charakteru jego, bo łotrów daleko większych od niego tak pełno chodzi ciągle po świecie, że już to nikogo nie dziwi, ale z powodu szczególnego daru, szczególnéj własności, jaką on w sobie niewątpliwie posiadał. Ta własność, ten dar tak w nim, jak w innych jemu podobnych ludziach różnego stanu, spotykanych niekiedy na drodze życia mojego był i zostanie już dla mnie do śmierci wieczną fizyologiczną i psychologiczną zagadką. Jest, jak wiecie, u ludu naszego

podanie, że w złowionym w pewnéj epoce i pod pewnemi warunkami nietoperzu znajdują się dwie kosteczki: kruczek i widełki, że kto je posiada, ten dotknąwszy kruczkiem każdéj, jaką zechce kobiéty, wprowadza ją w zapamiętałą ku sobie miłość,—jak że znów którój widełkami się dotknie, odpycha ją od siebie w nieprzełamanym wstręcie. Widziałem, jak powiadam, ludzi wszelkiego stanu — panów, chłopów, żydów, cyganów, którzy chyba że już te bajeczne mieli przy sobie kosteczki, bo za nimi rzeczywiście kobiéty, do których się tylko choć żartem udali, bez żadnéj pamięci szalały, bo dla nich jedna po drugiéj bezwstydne nawet robiły głupstwa! sam teraz we włości mojéj mam takiego chłopaka, którego i dziewczęta, i stare baby, i mężatki rozdzierają na wszystkie strony i wyrywają go sobie jedna przed drugą. Starałem się z takimi ludźmi wejść w jakieś stosunki i jakkolwiek ich poznać. Każdy z nich był brzydki, najczęściéj głupi jak stołowe nogi, niepoczesny, pijak, albo podły łotrek. I ani moralnie sondowani przezemnie, ani materyalnie opatrzeni żadnego na sobie i w sobie nie okazali śladu, któryby w jakikolwiek sposób mógł usprawiedliwić tak ogólne kobiét za niemi szaleństwo; proszę wytłómaczyć czém się to dzieje. Pan R. był właśnie jednym z tych ludzi w wyższéj klasie. Brzydki jak małpa i nawet z miny do małpy podobny, drobny, chudy, wargi grube naprzód wystające, a pod niemi takież wystające zęby mający, chociaż bardzo niegłupi, dosyć oświecony, a nawet biurowy urzędnik zdolny, z miny już cuchnął łotrem i nie mógł jakby się zdawało naturalnym sposobem takiego na żadną światową pannę wywiérać wpływu, jaki w ślad za nim chodził. Do któréj dziewczyny choćby najlepiéj wychowanéj i dozorowanéj przysiadł się, waryowała za nim! On z niemi postępował jak człek niesumienny i już kilka razy do kilku haniebnych zapomnień się dał im powody, a potém razem z owocami błędu szydersko i podle od siebie odepchnął.

Ten niedobry człowiek nic świętego na świecie oprócz piéniędzy i ich marnotrawstwa nie widział; do tego wzdychał tylko i wszystko temu celowi poświęcał. Powziął on myśl wydawania pisma satyrycznego i dostał na to przywiléj. Nie wiem dlaczego, aż do śmierci swojéj wielką dla mnie okazywał zawsze życzliwość, tłómaczył ją tém, że mi jest wdzięczny za wyświadczoną mu kiedyś przysługę, żem go raz w czasie iluminacyi i fety w Peterhofie, w ścisku zemdlałego dostrzegłszy, i od zemdlenia flakonikiem wody kolońskiéj, i od rzezimieszków moją około niego pilnością ratował. W nadziei, że do tego pisemka będę mu artykułów dostarczał, p. R. przysyłał mi zawsze wychodzące numery swego pisemka. Widywaliśmy się z nim czasem w domu Szymanowskiéj, gdzie się pokazywał z żoną niekiedy. Już sobie pisemko to bodaj od trzech z gó-

rą miesięcy szczęśliwie wychodziło i najczęściéj nudziło, kiedy mię raz jeden znajomy Polak jadącego na ulicy zatrzymał i powiada: „Ach, Morawski, jakżeż ty jadowicie te baby odchlastał! Nie wiedziałem, że masz tak ostre pióro. — Ja? Jakie baby? Przeżegnaj się piętą! — A Szymanowską *e tutti quanti*, cóż albo nie? — Dalibóg, nie rozumiem, co ci się roi! — At, gadaj, i zapiéra się jeszcze! Wszyscy już o tém wiedzą!" Nie czując się do niczego, przegnałem tego pana, który nigdy u Szymanowskiéj nie bywał i pojechałem dalej. Wróciwszy potém do domu, znalazłem inkryminowany numer, przebiegłem go, nigdziem nawet najmniejszéj aluzyi do Szymanowskiéj znaléść i domyśléć się nie mógł. I dziś nawet nie wiem, jaki to był artykuł, co się do niéj stosował. Co mi o tém weszło przez jedno ucho, wyszło natychmiast przez drugie, byłem nazajutrz u Szymanowskiéj równie grzecznie i przychylnie, jak zawsze, przyjęty. W parę dni potém, po jakimsiś proszonym, nie pamiętam już u kogo, obiedzie, wziął mnie na stronę Malewski i z uczuciem wymawiał w imieniu Szymanowskiéj, żem tak niesłuszną i ostrą potwarz na zacny dom rzucił! O! tu już byłem do żywego dotknięty! zapewnilem go słowem honoru, że potwarz właśnie przez nich na mnie rzucono, że gotów jestem wszelkiemi możliwemi środkami dowieść im wszystkim, jako artykuł wspomniany nie wyszedł z pod mojego pióra, jako do tego momentu nie wiem, ani się domyślam, który z urywków w tym numerze zawartych stosuje się do pani Szymanowskiéj i że mi nawet okoliczność, która wywołała podobną krytykę, zupełnie dotąd nie jest wiadoma, tém więcéj, żem w użyciu nigdy żadnéj złéj myśli o tych damach nie miał. Kiedy jednak człowiek delikatny i uczciwy, który za punkt honoru w życiu swojém położył nigdy źle nie mówić o domu, w którym bywa, kiedy człowiek, który obecnością swoją równy może zaszczyt domowi temu przynosi, jaki mu tam wzajemnie robią ci, co przyjmują, mógł na podobne zasłużyć podejrzenie, kiedy pani Szymanowska powtarzająca codzień przedemną *vous gagnez à être connu* mogła na jedną chwilę przypuścić, że ja jestem w stanie tak niegodnie postąpić, pomimo całéj mojéj niewinności i należnego dla tych dam szacunku, noga moja u nich nie postanie nigdy. — Taki był los całego życia mojego! ludzie nawet najbliżsi mojego serca przypisywali mi czasem cnoty, których nie miałem i zawsze garściami rzucali na mnie wady, których serce moje nie umiało się nawet domyślić! Zdaje się, i tak mnie zapewniano, że to był poszept i niecny manewr pana R., chcącego wszelkie od siebie usunąć podejrzenie. Może téż i same kobiéty na tak niesłuszną i krwawiącą najdrażliwsze serca mojego fibry trafiły drogę. Tegom już dla szczerego od téj rzeczy wstrętu nigdy dochodzić nie chciał,

a dotychczas, powtarzam, jaki to był artykuł, nie wiem. Odtąd już dwa czy więcéj miesięcy zdarzało mi się tu i owdzie spotykać panią Szymanowską na wieczorach i balach. Przekonana zupełnie o niewinności mojéj, dowiedziawszy się, że właśnie sam R. to napisał, mając już nawet brulion tego wszystkiego jego ręką ułożony, podwoiła dla mnie z dziećmi swojemi pełne wdzięku grzeczności, prosiła po dawnemu na obiady, wieczory. Nie przyjmowałem ich nigdy, również grzeczną zawsze na to znajdując wymówkę.

Tymczasem plaga okropna, a wówczas sto razy okropniejsza niż dzisiaj — cholera — pierwszy raz zbliżyła się do granic Rosyi. Przestrach i przerażenie dreszcz po całym wywołały kraju. Cesarz na wstrzymanie, jeśli można, postępu téj klęski wyznaczył komisyę, która się miała udać na miejsce, oprócz tego polecił wysłać ze stolicy pięciu lekarzy w sam krater tego zabójczego wulkanu. Rozkaz monarchy kazał mi we dwadzieścia cztery godzin udać się w drogę do Saratowa, gdzie już śmierć połowę miasta skosiła, i tam czekać na dalsze rozkazy. Rozkaz z pokorą przyjąłem i natychmiast wybrałem się w podróż, bez względu na materyalne z tego powodu kłopoty i straty. Ten rodzaj heroizmu, przy bijących w oczy przeciwnych postępkach moich kolegów, sprawił, że imię moje rozeszło się błyskawicą po całém mieście i było na ustach ledwie nie każdego mieszkańca stolicy. Mnóstwo znajomych i nieznajomych różnego stanu ludzi zbiegało się do mnie. Oleszkiewicz, Malewski, Małachowski płakali ciągle jak dzieci, łzy i łkania najobojętniejszych nawet dla mnie osób przez całe dwadzieścia cztery godziny, zostawione mi do wybrania w drogę, nie ustawały w mojém mieszkaniu! W téj mojéj niedoli i ruinie i tak już wątłéj podówczas jeszcze sytuacyi, bom w ciągu dwudziestu czterech godzin ledwie nie wszystkiego, co miałem, pozbyć się i ledwie że nie na wiatr wyrzucić musiał, Szymanowska zapomniała o sobie, o naszych kwasach, o powadze płci swojéj i tylko pamiętała o mnie, o tém, co nazywała mojém nieszczęściem, sama łzami zalana wpadła do mojego mieszkania, co mogła dla ulżenia téj przykréj pozycyi robiła. Mam dotąd jeszcze drobne, ale drogie dla mnie pamiątki, ofiarowane mi wtedy przez nią dla ulżenia niewygód podróży. Z własnego domysłu poruszyła mnóstwo znakomitych osób do starań za moim losem, dostawiła mi kilka pism rekomendacyjnych do władz południowéj Rosyi. Słowem, zrobiła wszystko, co może zrobić siostra, przyjaciółka, matka! Po ostatni dzień życia mojego zostanie to dowodem jéj anielskiéj duszy i prawem na stali wyrytém do wiecznéj mojéj wdzięczności. Odtąd tedy znowu dawne wróciły stosunki. Ale te złote chwile niedługo nam trwały! Tułając się blisko roku po wszystkich zakątkach Rosyi, wróci-

łem nakoniec witany łzami szczeréj radości od całego Szymanowskiéj domu. Niestety, ledwie że nie tuż za mną wdarła się do stolicy cholera. Mściwa, rozsrożona, zabójcza. Okropność, którą ona mnie otaczała dotąd w miejscach dla mnie zupełnie obcych, o wieleż razy zwiększyła się tutaj, robiąc mnie ciągłym świadkiem mąk i konania samych tylko przyjaciół i dobrych znajomych! Boże mój wielki, wyjmij te chwile z mojéj pamięci! I Szymanowska nasza w dniu 25 lipca 1831 roku, jeszcze przed chwilą w oczach moich zdrowa, wesoła i hoża, stała się ofiarą tego morderczego powietrza. Nie wyszło kilka godzin srogiéj męczarni, znoszonéj z dziwną odwagą i nie podobną do wiary spokojnością umyslu, jedna z wielkich ozdób płci swojéj, jeden z wielkich zaszczytów naszego kraju stanął w zastępstwie za nas przed Bogiem!

Śmierć jéj nawet w tym krwawym momencie powszechnym i głośnym żalem, a rzewnemi przyjaciół i znajomych łzami, uczczoną i z głębi duszy opłakaną została!

Szymanowska posiadała i zostawiła dzieciom swoim rzadkiéj wartości albumy, o których już wyżéj nieco mimojazdem wspomniałem. Albumy te należą do umysłowych skarbów kraju naszego, chociaż się w prywatném ręku dotąd znajdują. Wywołały one w swoim czasie powszechną zazdrość Europy i rzeczywiście do niepospolitych klejnotów liczyć się powinny.

W ciągu kilkoletniego pobytu muzy naszéj zagranicą i w Rosyi, w ciągu długiego pobytu swojego w rodzinnym kraju, słowem — gdzie tylko była ta zacna kobiéta, umiejąc sobie zaskarbić przyjaźń i szacunek wszystkich i zostając w bliskich z wszystkimi niepospolitymi ludźmi swojego czasu stosunkach, starała się i potrafiła zebrać i skupić w jedno własnoręczne pamiątki i podpisy najznakomitszych gwiazd duchowego horyzontu całéj Europy. Ludzie ci różnych narodów, a różniejszych jeszcze dążeń, z ochotą spełniali jéj życzenia, chętnie wtłaczali się w jéj pamiętniki, ciesząc się i chełpiąc z tego braterskiego zbliżenia, które wszystkich wielkich przedstawicieli ówczesnéj europejskiéj sławy pod jedną i tak gościnną strzechą zebrało. Takich albumów miała trzy.

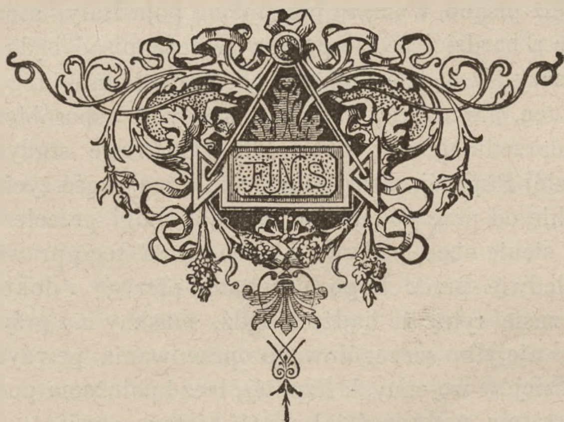
Jeden w bogatéj, drogiemi kamieniami ozdobnéj oprawie, dar księcia Cambridge, brata angielskiego króla Jerzego IV-go, zawiéra w sobie autografy i podpisy sławnych poetów, historyków, wojowników, malarzy i t. d., dostał się on córce Szymanowskiéj, Helenie Malewskiéj.

Drugi stanowi zbiór, z niemałym kosztem i trudem zebranych autografów najsławniejszych dawnych kompozytorów muzycznych i no-

woczesnych autorów, z umyślnie przez każdego z nich na pamiątkę dla Szymanowskiéj napisaną muzyką. Ten zbiór znajduje się w Paryżu w ręku córki jéj, Celiny, małżonki sławnego poety Adama Mickiewicza.

Trzeci, zapełniony także nazwiskami różnych znamienitości krajowych i zagranicznych wszelkiego rodzaju, przeszedł był w dziale do syna jéj Romualda, który wysłany na Kaukaz, jakby już wcześnie zgon swój nieszczęsny przeczuwał, cały ten zbiór z Kijowa odesłał darem siostrze swojéj, Malewskiéj, i tym sposobem od wiecznéj zatraty zachował.

Pisma publiczne całéj Europy w owym czasie wiele mówiły o tych rzadkich albumach, jak o rzeczy nadzwyczajnie z natury swojéj zajmującéj, ciekawéj i nieocenionéj. Biograf Szymanowskiéj, który przecież kiedyś znaléść się musi, dużo szczegółów i wspomnień w tych źródłach odszukać potrafi, czego ja oddalony od świata pustelnik i wieśniak zrobić nie mogę. Thomas Moore, Chateaubriand, Casimir Delavigne, Beniamin Constant, Karamzyn, Koźmian, Canning, Beranger, Niemcewicz, Jouy, Goethe, Osiński, Kryłow, Roztopczyn, Humboldt, Dawydow, Pasta, Paër, Miss Siddons, Catalani, Cherubini, Clementi, Beethoven, Weber, Mercadante, Rossini i tylu innych zgromadzonych tam gienialnych gości zapewniają temu jedynemu może w swoim rodzaju zbiorowi rosnącą z każdym dniem, w otchłań przeszłości zapadłym, wielostronną a niczém nie dającą obliczyć się cenę.



Pułkownik Konstanty Górski.

W ś. p. pułkowniku Konstantym Górskim, który skończył życie w sam dzień Nowego roku 1898, straciliśmy nietylko dzielnego na polu naukowem pracownika, lecz nadto prawego obywatela i zacnego, o wybitnie oryginalnéj naturze, człowieka. Nic tedy dziwnego, że wszystkie nasze dzienniki i tygodniki podały bezzwłocznie o nim wielce sympatyczne wspomnienia. Ale zasługuje on i na coś więcéj jeszcze—i jako człowiek i jako pracownik.

O wartości prac jego historycznych, dotyczących wojen i wojskowości, albo już pisano, w miarę jak się one pojawiały, albo inni niebawem, wogóle a bardziéj wyczerpująco jeszcze pisać będą. Ale sądzę, że nie od rzeczy téż będzie dotknąć, choć przygodnie i tego—jaką drogą człowiek ten, nie mający z natury żadnych usposobień piśmienniczych, ani poprzedniego przygotowania w zakresie studyów nad przeszłością zgasłéj Rzplitéj, którego znaczniejszą część życia pochłonęły zajęcia dalekie od prac podobnego rodzaju, mógł przecie wkroczyć na pole tak dla siebie obce, pod sam koniec życia tego prawie, co więcéj na pole—zaledwie przez kogo dotykane pierwéj i dokonać na niém w krótkim czasie tyle, że bądź co bądź, musimy mu przyznać niespożytą zasługę. nietylko szczegółowego opracowania pewnych epizodów w zakresie dziejów wojennych Rzplitéj, lecz i położenia podwalin, przez swe prace ostatnie, pod ten dział naszéj historyografii.

Zrozumiałem to łatwiéj uczynić może oczywiście tylko wskazanie wyraźniejszych faktów z jego życiorysu. Że zaś ja byłem jedynym

z jego przyjaciół i towarzyszy pracy z lat ostatnich, który go znał od dzieciństwa, był razem z nim w szkołach i uniwersytecie, a potém spotykał się z nim wciąż, na rozmaitych drogach i rozdrożach życia, aż do ostatniéj chwili, i na parę jeszcze godzin przed jego zgonem słuchał jego żywych a trzeźwych wypowiadań się o rzeczach szerszy ogół obchodzących;—czuję się więc w obowiązku dotknięcia, nieco szerszego, bardziéj charakterystycznych szczegółów jego biografii, poczynając od lat najmłodszych.

Otóż ś. p. K. Górski przyszedł na świat r. 1826 w gniazdowéj „okolicy" szlacheckiéj, noszącéj nazwę „Górskie", odwiecznéj dziedzinie Radwanów-Górskich, w parafii topczewskiéj na starém Podlasiu bielskiém – przedtsawiającém może już ostatni gromadny wzorzec zgasłego gdzieindziéj drobno-szlacheckiego, i bytu, i trybu, i zwyczaju, i obyczaju. Z domu tedy rodzinnego wyniósł on zaściankowo-mazowieckie zawzięte przywiązanie do wszystkiego, co swoje i swojskie, oraz zamiłowanie do sielskiéj krzątaniny gospodarczéj, jak i do konika, jeśli nie do szabelki.

Początkowe wychowanie (od r. 1835) otrzymał w po-pijarskiéj szkole powiatowéj w stołecznym niegdyś Podlasia Drohiczynie, gdzie skończył klasę V-tą. Tu wśród rówienników tego samego, drobnoszlacheckiego przeważnie pochodzenia, z powiatów drohickiego i bielskiego, tylko się bardziéj jeszcze mały Kostuś umocnił w skłonnościach swéj krwi mazowieckiéj.

Wstępując do szkoły, nałamywać się do wymowy polskiéj poprawnéj, jak większość jego mazurzących jeszcze w klasie wstępnéj kolegów, już nie potrzebował, bo przyswoił sobie tę dystynkcyę już w rodzicielskim domu. Nie tak prędko mu poszło z drugim językiem, mimo usilnych a dotykalnych wdrażań prof. Minerwina. Lepiéj już wiodło się z łaciną, choć i nie dla tego jedynie, że tu niemniéj trzeba się było ostro trzymać wobec ciągle grożącéj reprymandy prof. Piotra Pawęzkiego Skargi. Naprawdę zaś wyższą zdolność wcześnie zapowiadał do matematyki. Wogóle uważany był za dobrego zawsze, choć i nie za pierwszego w klasie ucznia. Jako kolega—żywy, wesoły, charakteru niezależnego, gotów w każdéj chwili do wszelkich posług, czy przerobić zadanie matematyczne, czy pomódz słabszym w łacinie, czy stanąć w obronie młodszych — był lubiony powszechnie. Rej też wodził zawsze pomiędzy nami młodszymi we wszelkich wycieczkach szkolnych: czy to na górę zamkową „królowéj Bony" przysłuchiwać się u wejścia do pieczary smętnym żalom uwięzionéj w jéj głębi „zaklętéj królewny", czy na „Błonia" nadbużne, czy do lasu koczerskiego albo runickiego. Oczywiście jego też „szałas" w dniu dorocznéj majówki był

najprędzéj przy pomocy młodszych skończony, by go przed innymi ofiarować panom profesorom. A już o „grach” i mówić nie trzeba: tu bitna jego natura znajdowała ujście bez wszelkich już więzów: rączy, zwinny, żartki, urwis Kostuś śmiało wyzywał „o lepsze” silniejszych i starszych i pobić się nie dał, czy to była „kasza” tylko, czy „ścianka”, czy wrzawna „ekstra”, w któréj zwykle przodował, czy „palant”, „przeganianka” lub inne gry jakie. Tak bitnie usposobiony, oddawał się on i rysunkom o tyle tylko i dla tego, żeby módz potém rysować zgrabnych ułaników i fantastycznych usarzy, których myśmy młodzi na wyścigi potém kopiowali. Piosenki podobnież, których moc umiał, wyśpiéwywał tylko takie, co odpowiadały jego nastrojowi, mniéj pilnując chóru „u Pijarów”, do którego też należał. Jako skończony piątoklasista, przeniósł się w r. 1841 z Drohiczyna do Białegostoku.

W Białymstoku rozminęliśmy się prawie: ja przybyłem tam wtedy, kiedy on 1843 r. gimnazyum już kończył; wiem przecie, jaką tam po sobie pozostawił pamięć — dobrego ucznia, celującego przedewszystkiém w matematyce oraz sympatycznego kolegi.

Po skończeniu gimnazyum, napróżno na razie marzył o dalszych studyach—jechać do uniwersytetu nie było o czém; ruszył tedy szukać szczęścia do Warszawy. Nie wiele wszakże stracił tu czasu na niepewne kołatanie się: w porę przyrzeczony zasiłek od możniejszych krewnych ośmielił go, jak i tylu, tylu jego z drobnoszlacheckich gniazd podlaskich współ-chudopachołków, do rzucenia się w świat dalszy ku zdobyciu sobie przebojem, mocą nie dającéj się niczém zwalczyć energii i zaciętéj wytrwałości, wykształcenia wyższego i szerszéj drogi w życiu. Nad wyborem kierunku zwrotu nie trzeba było łamać sobie głowy: dla szlacheckiego syna starego Podlasia, najwięcéj powabów przedstawiała zawsze Ukraina, ku Ukrainie od wieków odpływały całe fale młodych Podlasian, nie czekając na p. Krzysztofa Kosińskiego, Kijów też był i dla naszego „Radwanka” wielce pociągający—ruszył tedy do Kijowa.

Tu, odpowiednio swym zdolnościom i usposobieniu, wstąpił na wydział matematyczny fakultetu filozoficznego w nowozałożonym uniwersytecie św. Włodzimierza. Kiedym i ja przybył w połowie r. 1847 do sędziwéj stolicy, by wstąpić również do uniwersytetu, powitałem dawnego z lat dziecinnych towarzysza, już jako starego studenta, rozpoczynającego kurs III-ci matematyki, co więcéj—posiadającego już za swój żywy, swobodny a serdeczny współudział we wszystkiém tém, co mocniéj zajmowało ówczesną młodzież uniwersytecką, niepowszednie uznanie i miłość koleżeńską. A już u swych powietników cieszył się on nadto i powagą nieograniczoną.

Mnie przyjął z otwartemi rękami. Związani wspólnemi wspomnieniami dzieciństwa, ożywieni temiż samemi sentymentami zagrodowemi i temiż samemi aspiracyami mazowieckiemi, stanęliśmy z sobą odrazu jak najbliżéj—zamieszkaliśmy nawet razem. I odtąd, aż do opuszczenia Kijowa, trzymaliśmy się z sobą razem i tak ściśle, że w żywszych kółkach koleżeńskich, z któremi on mnie, surowego nowicyusza, odrazu był zapoznał, poczęto niebawem uważać nas naprawdę za nierozłącznych. Co więcéj, musieliśmy się istotnie wyróżniać wśród kolegów czémś wspólném a charakterystyczném, kiedy ta „Ruś" i „Litwa", jakeśmy my ich po swojemu przezywali, do nas dwóch wyłączniéj nazwę „Mazury" stosowała. Jemu téż winienem głównie, że na razie już nie klepałem téj srogiéj biédy studenckiéj, jaką wytrzymywać, rzucając się odważnie na „daleką ukrainę", byłem przygotowany.

Ciesząc się powszechném wśród kolegów — tylko nie wśród „paniczów" oczywiście — uznaniem, był on wszakże wyłączniéj, wśród innych grup ówczesnéj uniwersyteckiéj w Kijowie młodzieży, przedstawicielem ściślejszéj grupy, „podlaską" w ogóle przezywanéj, a złożonéj głównie z byłych gimnazistów Białegostoku, Grodna i Swisłoczy. Téj téż p. Konstanty był faktycznym seniorem i przewodnikiem.

Takie zaś przewodniczenie wogóle starszych studentów nowicjuszom wytwarzało się samo przez się, jako wynik nieodzowny warunków bytu i nastroju ówczesnéj młodzieży. Były wtedy (około r. 1848) lata powszechnego wrzenia na świecie, a zarazem—wybujałego „romantyzmu" w zakresie umysłowym. Wszystko zdawało się oddychać, bezwiednie nawet, rozgorączkowaném tchnieniem, cóż dopiéro mówić o nowicyuszach przybywających do uniwersytetu. Im mniéj przynosili z sobą z gimnazyów, tém mocniéj pożérało ich pragnienie poznania tego, co tam było niedostępne, a może nieprzeczuwane nawet. Kto téż tam, opuszczając szkołę, tak wiele wiedział o tém, co się we własném piśmiennictwie dzieje: o wielkich poetach, o poglądach historycznych anachorety brukselskiego, lub — przed przyjazdem do Kijowa — o literackiéj szkole ukraińskiéj. Taki gimnazista, trzymany pilnie woddali od tego wszystkiego, wstępując do uniwersytetu, widział rozwierający się przed sobą zarazem i cały świat nowy w zakresie sobie najbliższym, najserdeczniejszym. Ale jak tu przecie rozewrzeć szczelnie przymknięte wierzeje, świat ten ukrywające? Wobec potrzeby zaspokojenia rozbudzonych żywszych pragnień, wykłady uniwersyteckie, nawet na fakultecie filozoficznym, nie wystarczały. Nie wystarczała i biblioteka uniwersytecka, pomimo całego swego, znanego zkądinąd, bogactwa. Wprawdzie obejmowała ona już wtedy, oprócz spadku po Wilnie i Krzemieńcu, piękne księgozbiory prywatne—

Moszyńskich, Olizarów, Jabłonowskich etc.; ale najprzód nie wszystko z tego było dostępne, a potém—nie przybywało tam już prawie rzeczy nowych, najponętniejszych. Nic jednak nie było w stanie ochłodzić młodzieńczego zapału: czego niepodobna było posiadać drogą wyraźną, zdobywano sobie ubocznie — i ostatecznie wszystko się miało o co chodziło. Dziś już nawet nie łatwo zrozumiéć całéj mocy osławionego owéj doby „romantyzmu". Romantyzm ten mniemany wytwarzał pomiędzy młodzieżą, w najtrudniejszych warunkach zewnętrznych, łączność, jakiéj przykłady nie wszędy już były następnie, w tym stopniu, spotykane. Było to wszakże możliwe jedynie przy baczném a spokojném przestrzeganiu stosunków wzajemnych przez przedstawicieli grup, — tam, gdzie nie istniało formalnie, tak jak w Dorpacie, uznanych przez władzę uniwersytecką korporacyi.

Na tém to stanowisku właśnie, w charakterze faktycznego przedstawiciela i przewodnika swojéj ściślejszéj, „podlaskiéj" grupy, położył p. Konstanty nieocenione zasługi. Wymagało to niemało zachodu i sporo czasu, ale na wszystko go było stać. Dzięki téż jego energii i przezorności, my młodsi czuliśmy się, w każdéj chwili i we wszystkiém, w żywéj jedności z całym ogółem młodzieży uniwersyteckiéj oraz mieliśmy zapewnioną sobie możność stałego zasilania się najbardziéj pożądanym pokarmem wiedzy etc., podawanym sobie z rąk do rąk częstokroć w postaci mozolnych odpisów, na jakie dziś jużby nikt się nie zdobył. On nawet chodził w delegacyi gazety czytać dla nas. Sam żołnierz z usposobień i szermierz zawołany, pociągnął nas, nowicyuszów i do sali fechtunkowéj, w gmachu uniwersyteckim, i bił nas z początku potężnie, nim z czasem, zaufany w swą zręczność, nie zaczął od uczni wet za wet odbiérać, ku uciesze *signora* Lambertiniego, który mu, jako mistrz z urzędu, nieco jego zwinności szermierskiéj zazdrościł.

Przy końcu wiosny 1848 r. ruszyliśmy we dwóch na wakacye ku Podlasiu — lekko w całém znaczeniu, a więc część drogi i pieszo; ale zmitrężeni, wróciliśmy nie wiele bawiąc do Kijowa, by porządniéj już przysiąść fałdów. Był to już jego rok ostatni w uniwersytecie, trzeba było myśléć o egzaminie, a potém w świat! W r. 1849 skończył tedy uniwersytet, z dyplomem „kandydata" matematyki. Wyborem przyszłego zawodu wcale się nie męczył: od dzieciństwa marzył o wojaczce—i tegoż zaraz roku wstąpił do szeregów armii rosyjskiéj.

To téż po roku służby, choć chorąży dopiéro, wyglądał już na starego żołnierza. Miałem sposobność przekonania się o tém, gdym się przenosił w r. 1850 z Kijowa do Dorpatu; ułożyliśmy byli sobie spotkanie w okolicy Wilna, gdzie ja zatrzymałem się u dawnego,

wspólnego nam obu kolegi kijowskiego, on zaś szedł tamtędy ze swym batalionem ku Mitawie. Wprawdzie spędziliśmy noc całą w jakiéjś przydrożnéj austeryi na wspomnieniach studenckich głównie, ale, gdym wczesnym rankiem towarzyszył mu jaką milę jeszcze, pieszo, trzymając konia mego za uzdę, on, w obliczu ślicznéj przy wschodzącém słońcu pod-wileńskiéj okolicy, wyciągając rękę na falisty przestwór i laski i strumienie, umiał już tylko wskazywać mi, jakby tu, napadnięty, potrafił się bronić ze swym oddziałem, gdyby był już pułkownikiem, nie zaś chorążym. Toż samo powtórzyło się gdyśmy w r. 1853 spotkali się w innéj stronie — już na Pobereżu: obudwu nas, i mnie, i młodego podporucznika, zajęło równie żywo horodyszcze w pięknie u rozległego stawu rozpostartéj Wierzchowce, dawnym Nowogrodzie, ale zajęło zupełnie inaczéj: przenosząc się wyobraźnią w odległe czasy, on by je był szturmował tylko!

Zaprzątnięty przedewszystkiém myślą dalszego kształcenia się specyalnego w zawodzie wojskowym, udał się tegoż roku do Petersburga i po złożeniu egzaminu wstąpił do akademii wojskowéj, gdzie w r. 1855 otrzymał stopień porucznika. Po skończeniu tam nauk i przyłączeniu go do sztabu generalnego, został przeznaczony do korpusu baltyckiego, gdzie pełnił obowiązki starszego adjutanta i w tym charakterze doczekał się niebawem końca wojny krymskiéj. Po zwinięciu sztabu korpusu baltyckiego, przeniesiony został do I-go korpusu armii, jako starszy adjutant sztabu generalnego, w stopniu kapitana sztabu. Następnie, w r. 1861 mianowano go kwatermistrzem 8-éj dywizyi piechoty, konsystującéj w głębi cesarstwa, gdzie téż w r. 1862 otrzymał stopień kapitana. Poczém zaś, po zniesieniu w r. 1864-ym 5-go korpusu armii, otrzymał przeznaczenie najprzód do sztabu okręgu odeskiego, a następnie chwilowo do kijowskiego, aż go wreszcie na żądanie głównodowodzącego okręgiem odeskim powrócono do Odesy, dla nadzoru nad zdejmowaniem planów strategicznych.

Ale nietylko, po Minerwie, Bellona już jedynie miała być niepodzielną panią duszy kapitana. Bawiąc 1860 r. dłużéj w Odesie, poznał tu młodą i piękną p. Katarzynę Gajos, pochodzącą z rodziny greckiéj, przybyłéj z wyspy Naksos, lecz urodzoną z Polki i wychowaną po zachodniemu. I ani się spostrzegł, jak psotna Afrodyta usunęła w kąt swoje współzawodniczki, owładnęła nim nieprzezwyciężenie i — doprowadziła go do hymenu. Wcześnie o tém zostałem listownie uprzedzony, razem z oświadczeniem kolegi o zamiarze podania się do dymisyi i wyjazdu zagranicę. Służbę wojskową wszakże przyszło mu opuścić dopiéro w r. 1866.

Młoda kapitanowa otrzymała w posagu kawał stepu, z obszerniejszego dominium Naksyi, w powiecie tyraspolskim, nieopodal późniejszéj stacyi kolei żelaz. Rozdzielnéj. Był to dotąd pusty niemal step, oddawany wyłącznie prawie na sianożęcia i pod wypasy. Dla podniesienia wartości onego, nawet w widokach następnéj sprzedaży, wypadało tam pierwéj obudować się i zagospodarować odpowiednio. Odezwała się wtedy i drzémiąca dotąd ukryta żyłka drobno-szlacheckiego syna Podlasia do roli. Gdy wiosną 1865 r. odwiedziłem pp. Górskich w ich nowéj siedzibie, nazwanéj Katerynowką (a z czasem—Górskiém), byłem świadkiem, z jaką to mazowiecką zawziętością zabrał się już był p. Konstanty do gospodarki i ile tam w krótkim czasie zrobił. Z kolei podał się do dymisyi; dwie córeczki na świat przyszło — przemyśliwano o zagranicy; aż tu p. Górska niespodzianie umiéra!

Z jéj śmiercią wcale téż inny obrót rzeczy nastąpić musiał. Wyzbywać się stepu, jako majątku nieletnich, nie było już podobieństwa; owszem, wypadało samemu zająć się wychowaniem dzieci. Przestał tedy kapitan myśléć o opuszczeniu stworzonéj przez siebie siedziby, i już teraz nie tyle z namiętnością, ile z rozwagą, oddał się całkowicie pracom gospodarczym, skutkiem których wartość majątku podniosła się wdwójnasób. W zapędzie zaś tym gospodarczym posunął się tak daleko że nie poprzestając na własnéj siedzibie, począł powoli przemyśliwać nad podniesieniem ekonomiczném całego jedysańskiego Pobereża. Prowadziło go ku temu bliższe obeznanie się z topograficzną naturą owéj krainy, jakiego nabył, szczególnie przyjmując na siebie, w charakterze uczonego geometry-inżyniera, roboty miernicze i niwelacyjne w dobrach znaczniejszych właścicieli miejscowych. Wystudyował tedy i nakréślił topograficznie plan irygacyi, siecią krzyżujących się kanałów między dolnym Dniestrem a Bohem, całego jedysańskiego czworoboku, od brzegu morza Czarnego aż do granicy Pobereża na linii Jaborlika i Kodymy—z uwzględnieniem należytém zubożałych wodą łożysk Kuczurhanu i Kujalników. Śmiały plan ten, naturalnie, mógł być uskuteczniony jedynie z mocy polecenia władzy, jako téż przy czynnym udziale finansowym ziemstw trzech zainteresowanych powiatów. Przedstawił więc swój plan komu należy: projekt zrobił wrażenie, podobał się, ale — i tyle; o wzięcie się do wykonania onego nikt się z interesowanych na seryo nie odezwał! Zrażony tém projektodawca rzucił swój plan w kąt i nie myślał już dłużéj o środkach podniesienia ekonomicznego całéj otaczającéj go krainy, poprzestając tylko na doprowadzeniu do pożądanie możliwéj normy posiadłości swoich dzieci. Co uskuteczniwszy, znużony osamotnieniem w wiejskiém ustroniu, gdyż córki wychowywały się po za domem, począł tęsknić za szerszym

przestworem życia. Wybranie przecież nowéj nadal drogi wcale nie było łatwe. Tymczasem wojna turecka, niebawem rozpoczęta, powołała go powtórnie pod broń.

Wstąpił tedy w r. 1877 do wojska, już w randze majora, i został przeznaczony do miejscowego pułku odeskiego, w którym téż dowodził osobnym batalionem. W roku następnym został przeniesiony do sztabu IX-éj dywizyi rezerwowéj na posadę starszego adjutanta. W roku 1879 przeprowadzony do 54-go pułku mińskiego piechoty; następnie 1883-go r. mianowany prezesem pułkowego sądu wojennego.

Wstąpienie powtórne do szeregów odżywiło w p. Konstantym, jakby uśpione już, wszystkie instynkty militarne. Po skończeniu wojny bałkańskiéj, w ciągu któréj zajęty był bardzo ruchliwie — przedewszystkiém przygotowując, na swém stanowisku u saméj granicy rumuńskiéj, rezerwistów, by ich wysyłać następnie do pułków czynnych — znalazł, konsystując stale już w Kiszyniewie, sporo wolnego czasu. Wprawdzie wzywano go niejednokrotnie do Odesy, dla wykładania młodszym oficerom to strategii, to taktyki etc., co téż robił bardzo chętnie, ale to go wcale nie mitrężyło. W towarzystwie oficerskiém nie miał upodobania, w kółkach miejscowych besarabskiéj stolicy nie bywał, więc cały czas wolny od obowiązkowéj służby poświęcał teoretycznym studyom wojskowym. Umiał zresztą zdobywać sobie swobodę naocznego przyglądania się porządkom w obcych armiach, w czasie wielkich rewii cesarzy Franciszka Józefa i Wilhelma I-go. Rzecz naturalna, że pilnie téż studyował wszelkie prace specyalne z zakresu wojskowości, nie dlatego wszakże, aby mieć możność ciągłego ożywiania czémś nowém swoich wykładów, lecz przedewszystkiém, że to go osobiście mocno zajmowało. Nie szczędził zatém grosza na sprowadzanie wydawnictw specyalnych i dzieł w językach obcych, gromadzenie kart geograficznych i topograficznych etc., i wciąż wertował opisy wielkich wojen i bitew, działalność wielkich wojowników. Patrząc na jego takie pogrążenie się w studyach, ktośby pomyślał, że to zawodowy badacz jakiś, pracujący w celu podzielenia się z czasem wynikiem swoich dociekań z szerszym ogółem; a tymczasem p. Górskiemu ani się śniło o tém: on zaspakajał jedynie osobiste swe pragnienie wiedzy. Nigdy przynajmniéj, nawet najmniejszém napomknieniem, nie wypowiadał gotowości ujęcia za pióro; a widywaliśmy się dość często w Odesie, od czasu jak rodzina moja nabyła chutor na pobliskim stepie. Był wojskowym *per exc.* i nie wybiegał, myślą nawet, po za sferę wojskowości.

Pod koniec wszakże służby wojskowéj, gdy mu pozostało lat parę już tylko do emerytury, którą zdobyć z góry był sobie postanowił

kiedy wracać do gospodarki wcale nie miał chęci, a zresztą majątek ów posagowy w stepie przyszło oddać pozostałéj mu jedynéj [1]) córce, po wyjściu jéj za mąż, sama natura jego—krewka, energiczna, a na wskroś swojska, przygotowywała mu nieprzeczuwany dotąd zwrot w dalszém życiu. Z natury rzeczy stawało mu na oczy zapytanie: co téż pocznie z sobą po wystąpieniu z wojska, i zapytanie to, tak rzadkie u wyczekujących emerytury, zaczęło go, ze wzrastającą siłą, coraz bardziéj niepokoić. Gdym, z naszego Perekrestowa, odwiedził go w lipcu 1883 r. w Kiszyniewie, już tylko słyszałem utyskiwania jedynie na grożące mu, jak powiadał, próżniactwo. Nasuwam mu tedy myśl, że właśnie, mając w perspektywie najzupełniejszą swobodę co do rozporządzania swym czasem, mógłby przecie, będąc tyle w militaryach wogóle—i co do teoryi i co do praktyki — przygotowanym, oddać się daléj studyom historyczno-wojskowym, już polskim wyłącznie. Nie zapomnę jego zdumienia, jakie ta moja uwaga w nim wywołała: wyglądała ona w jego oczach na ironię chyba. Polskie studya wojskowo-historyczne! — woła; ależ tego nikt nie dotykał, bo i dotykać nie mógł poważnie — skąd tu materyał, skąd źródła! Odparłem tedy: istotnie, materyał i źródła pierwszorzędne daleko od téj tu Wołoszczyzny, gdzie oto my, mazowieckie syny, dziwnemi losy wiedzeni, teraz się spotykamy. Trzeba tego z czasem dopytywać w Warszawie, Krakowie etc. — o ile chodzić będzie o rzeczy archiwalne; lecz czyż *to* tylko stanowić ma materyał dla badacza dziejów wojskowości? Naprawdę, nim tam co, to i teraz nawet, w téj oto chwili, materyału by ci, choć dorywczo, na razie nie zabrakło — poprzestając, oczywiście, początkowo na niewielkim zakresie. Tu — zdumienie jeszcze większe. Otóż słuchaj: w twoim przecie okręgu wojennym odeskim leżą—i Chocim, i Cecora, i Żółte-wody, a tuż w sąsiednim kijowskim — Beresteczko, Cudnów i t. d. Zbadaj więc powoli na gruncie, ze stanowiska militarnego, owe pobojowiska, materyał zaś opisowy, historyczny samych walk, mniéj więcéj wystarczający, znajdziesz podobnież niepodal, bo w bibliotece nawet Bagieńskich w Odesie (która nb. nie została była jeszcze odesłana do szląskiego Cieszyna). Bierz się tedy, nie wiele odkładając, do rzeczy, a potém—pisz; będziemy ci to drukować w Warszawie, czy gdzie chcesz. Długo p. Konstanty rozważał w milczeniu te moje insynuacye, nareszcie mi powiada: zgoda, dla siebie ja to badać będę, ale pisać o tém! — jam nie żaden literat, ja pisać nie umiem! — Nie święci garnki lepią — odparłem: powoli i do pisania się wdrożysz; a wreszcie nie chodzi tu przecie o historyczno-powieściowe, udatne obrazki,

---

[1]) Starsza Antonina w młodziutkim wieku umarła.

jakowych nam nie brak; od ciebie czego innegoby zupełnie się wymagało — militarnéj oceny faktów. Próbuj! I na tém rozstaliśmy się.

Przeszło pół roku z górą nie miałem żadnéj wieści od starego druha; jakżem się ucieszył, gdy spotkawszy go wiosną 1884 r. w Odesie, gdzie miał mieć swoje wykłady wojskowe, zobaczyłem go namiętnie już zajętego poszukiwaniem piśmiennych źródeł, by się należycie przygotować do wycieczek na turecko-tatarskie najprzód pobojowiska. I tak już poszło daléj. Nie wiele odkładając, jeszcze jako wojskowy, schodził własnemi nogami pobliższe pobojowiska rozgłośne, nagromadził sporo notat i własnoręcznych mapek, wyrobił sobie z kolei nie jeden już swój odrębny pogląd na pewne, inaczéj dotąd rozumiane i przedstawiane fakty wojenne; ale podawać czegoś do druku jeszcze się nie decydował.

Tymczasem w r. 1884 został już awansowany na podpułkownika, w r. 1885-ym zaś mianowany członkiem sądu wojennego w okręgu odeskim. Lecz nie powstrzymało go to już oddokonania dawno powziętego postanowienia: zdobywszy prawo do pełnéj emerytury, podał się w r. 1886 do dymisyi i opuścił służbę w randze pułkownika.

Teraz dopiéro rozpoczęła się w życiu ś. p. Górskiego epoka właściwie najważniejsza: 10-lecie pracy naukowéj, gorączkowéj, przyśpieszonéj, ale i najbardziéj owocnéj. Zdecydowany ostatecznie na oddanie się wyłączne już daléj owéj pracy, jakby nowemu zawodowi życia, rzucił się on do niéj jakby z podwojonym zapałem. I posypały się jego specyalne artykuły, mniejsze i większe, jakby z rogu obfitości.

Tak tedy w r. 1886 zaraz umieścił on w „Bibliotece Warszawskiéj" dwie swoje rozprawki: „O wyprawie i klęsce cecorskiéj 1620 roku", oraz „O pobojowisku u Żółtych-wód", w których to rozprawkach wstępnych, jakby z góry, zaznaczył odmienne swe od dotychczasowego stanowisko, przedewszystkiém co do pryzmatu widzenia w zapatrywaniu się na sprawy i fakta wojenne wogóle.

Po tych klęskach, tyle dla Rzpltéj fatalnych, poszły opisy bitew dla jéj oręża zwycięskich, a które podawał daléj również w „Bibliotece Warszawskiéj". Bratobójczą „bitwę pod Beresteczkiem 1651 roku", opisaną w podanym tam, 1887 r., artykule p. t. „O działaniach wojska koronnego Rzpltéj polskiéj w wojnie z Kozakami", poprzedziła „Trzydniowa bitwa pod Warszawą 1656 r." ze Szwedami. Po tych zaś w r. 1888 w tymże miesięczniku umieścił pułkownik „Bitwę pod Byczyną 1588 r.", a następnie „Bitwę pod Grunwaldem 1410 r.", któréj opisem zamknął niejako cały cykl początkowy poszczególnych starć wojennych zastępów Rzpltéj z przeciwnikami. Ale nie poprzestając na

tém, próbował téż wyjścia i na szersze pole. Tak już w r. 1887 opisał „Wojnę Rzpltéj ze Szwecyą za Zygmunta III-go od r. 1621—29" po któréj ukazała się r. 1890 (w „Bibl. Warsz.") „Wojna Rzpltéj z Turcyą 1672 i 73 r." Następnie poszły już „Wojny Litwy z w. ks. Moskiewskiém za Zygmuntów", drukowane w „Niwie" 1891 r. Do tego cyklu trzeba téż odnieść i szerzéj już rozwinięte „Wojny Rzpltéj z w. ks. Moskiewskiém za Batorego" — „pierwszą", „drugą" i „trzecią" („Bibl. Warsz." za r. 1892). Tutaj należy i podana w tymże roku w „Ateneum" „Wojna z wojewodą wołoskim Michałem 1600 r." [1]).

Jak naturalna, z początku nie łatwo szła naszemu badaczowi praca na nowém polu: póki nie opuścił służby wojskowéj, brakowało mu nieraz pożądanych materyałów, choćby oddawna znanych; a i potém długo jeszcze, nieprzygotowany, niewprawny, a gorączkowo śpieszący zwykle z ukończeniem rozpoczętéj roboty, mniéj dbał o wyczerpywanie bibliograficzne dostępnych mu nawet źródeł, skoro już się upewnił we własném przekonaniu o zasadności swego sądu w traktowanym przedmiocie. Dostawał téż u wstępu na owo pole badań historycznych od recenzentów sporo admonicyi—słusznych i niesłusznych, które odpiérał zwykle uwagą, że wyczerpywanie materyału bibliograficznego było dlań zbyteczne i że, jeśli o należyte przedstawienie przebiegu i charakteru jakiéj bitwy chodziło, uważał za pewniéj prowadzące do celu ścisłe uwzględnianie ogólnych prawideł sztuki wojennéj, skombinowane z dokładném zbadaniem naoczném topografii pobojowiska, niż wyczerpywanie wszelakich drobiazgów pamiętnikarskich. Mimo to pracował dużo i wytrwale, w żywém przeświadczeniu, że jeśli jego prace nie staną się „ozdobą" literatury, to za to napewno zmuszą przyszłych badaczy do *nie*-literackiego już, jak dotąd pospolicie, rzeczy wojennych traktowania!

Pomagało mu zaś wielce w nieznużonéj, ani na chwilę prawie, pracy bardzo szczęśliwe usposobienie — nie tyle wrodzone ile wcześnie nabyte. Ze wstąpieniem do wojska opuściła go jakby dawna studencka towarzyskość, tyle zabiérająca czasu. Więc, tak w armii jak w akademii wojskowéj, pełniąc ściśle obowiązki służbowe, oddając się pilnie studyom swego zawodu, trzymał się on wśród różnobarwnego grona kolegów odosobniony. Następnie długoletnie życie w stepie, oddane zabiegliwości gospodarczéj, jeszcze bardziéj wzmocniło przyzwyczajenie to do trzymania się osobno, tak, iż zdawać się mogło, jakoby od natury było dane. Z kolei tedy, gdy zdobył już więcéj czasu, a potém stał się zupełnie swobodnym, mógł on, nie tęskniąc zgoła za towa-

---

[1]) „Ateneum", 1892 r., tom IV, str. 251—270, z mapą.

rzystwem, z całém skupieniem oddawać się wytężonéj pracy i nie przerywanym niczém studyom. Przy wrodzonéj tedy krewkości i wytrzymałości, szybko niezmiernie posuwał się w rozpoczętéj pracy, odpisując najczęściéj i same materyały źródłowe własnoręcznie. Ale musimy tu nadto wskazać do uwzględnienia i ową swobodę ruchu, jaką mu po wystąpieniu z wojska zapewniała niezależność majątkowa oraz pewność przyszłości jedynéj już córki Katarzyny, która odziedziczyła piękny majątek po matce razem z prawami spadkowemi po jéj możnéj rodzinie. Niezależność owa dozwalała mu téż najswobodniéj w każdéj potrzebie, odwiedzać, dla korzystania ze zbiorów bibliotecznych i archiwalnych, czy to Warszawę, czy Lwów, Kraków, Wrocław, Gdańsk, nim nareszcie nie zdecydował się on na stałe zamieszkanie w syrenim grodzie, gdzie się nareszcie 1889 r. i ożenił powtórnie.

W Warszawie, po otrzymaniu urzędowego pozwolenia wyższéj władzy na korzystanie z materyałów rękopiśmiennych, spoczywających w miejscowych archiwach, uderzony niepowszedniém onych w jego specyalnym zakresie bogactwem, powziął śmiałą myśl opracowania, ile się da, systematycznego zarysu całéj naszéj historyi wojskowéj, w postaci trzech oddzielnych monografii, przedstawiających historyę piechoty, jazdy i artyleryi polskiéj: myśl śmiałą, gdy żadna z literatur europejskich niczego podobnego, w poważném znaczeniu, dotąd właściwie nie posiada.

Nie odrazu przecież przystąpił do bezpośredniego wykonania zamiaru. Gromadząc sobie powoli materyał archiwalny, obrabiał pułkownik, przedwstępnie niejako, i podawał do druku, obok opisów wyżéj wymienionych bitew i wojen, pewne odrębne tematy skromniejsze, lecz ściśléj z zamierzoną przezeń większą pracą związane. Już tedy w r. 1890 podał w „Bibl. Warsz." artykuł „O rozwoju sztuki wojennéj w Polsce w XV w."; poczém wprędce zamieścił tamże rozprawkę pod tyt. „Sztuka wojenna w Polsce za Zygmuntów"; zaś w r. 1891 „Obronę Rzpltéj od Tatarów". Następnie zjawiły się artykuły podobnegoż zakresu, drukowane w „Niwie", mianowicie w r. 1891 „Dragoni polscy"; zaś w r. 1892 „Piechota wybraniecka i łanowa", oraz „Wojsko kwarciane". Do czego dodać jeszcze winniśmy, z pomiędzy jego artykułów umieszczanych w „Wielkiéj encyklopedyi powszechnéj ilustrowanéj", spory ustęp o „Artyleryi polskiéj"—w t. I-ym tego wydawnictwa—z roku 1891.

Pierwsza jego praca z zamierzonéj na większą skalę wojskowéj trylogii owéj, pod tyt. „Historya piechoty polskiéj" wydaną została dopiéro w r. 1893; druga z kolei „Historya jazdy polskiéj" zaraz w następnym 1894 r. Obiedwie drukowane w Krakowie — „z zasiłkiem

Akademii Umiejętności"—jak to zaznaczono w tytule. Trzeciéj — dotyczącéj historyi artyleryi, nie zdążył autor za życia już drukiem ogłosić.

W czasie jednak, kiedy drukowano owe dwa znaczniejsze dzieła w Krakowie, zajęty on był obok tego opracowywaniem nowych monografii, należących w przeważnéj części do rozpoczętego na wstępie prac jego cyklu bitew. W dwóchsetną więc rocznicę odsieczy wiedeńskiéj Sobieskiego umieścił w „Ateneum" właśnie studyum zatytułowane: „Bitwa pod Wiedniem" [1]). W następnym 1894 r., podał w „Bibl. Warsz." artykuł pod tytułem: „Tarnowski i bitwa pod Obertynem"; w Krakowie zaś w „Przeglądzie" wydał „Bitwę pod Racławicami". W r. 1895 opisał „Oblężenie Smoleńska i bitwę pod Kłuszynem" oraz „Wojnę 1792 r" („Przewodnik nauk. i literacki"). W r. 1896 dał; do „Bibl. Warsz." rozprawę: „Jan III pod Żórawnem 1676 r." Nakoniec w ostatnim roku swego życia wydał w tymże „Przewodniku" zarys: „Prądzyński i znaczenie jego w wojnie 1831 r."; zaś w „Przeglądzie powszechnym" rozprawę: „O wojskowości polskiéj za Piastów do 1410 r." Nie koniec tu jego pracy. Pisał bowiem mnóstwo drobniejszych artykułów, umieszczanych w „Encyklopedyi ilustrowanéj" lub w „Gazecie Polskiéj" etc., powiedziéć byśmy mogli, że wogóle w ciągu ostatniego 10-lecia życia Górskiego nie przeszło ani jednego roku, żeby on nie wydał czy to znaczniejszéj jakiéj roboty, czy całéj wiązanki większych i mniejszych artykułów.

Prócz tego, pozostawił nie mało rzeczy przygotowanych do druku w rękopisie: przesłaną już „Przewodnikowi nauk. i liter." „Wojna z wojewodą Stefanem w r. 1497", nadto „Odsiecz Smoleńska" oraz „Zwycięstwo Jana Zborowskiego pod Libiszowem." Najcenniejszą jednak po nim rękopiśmienną spuściznę stanowi „Zbiór wiadomości i materyałów dotyczących artyleryi polskiéj", których mozolnemu poszukiwaniu poświęcił był głównie lata swe ostatnie.

O ostatecznym wyniku trudów życia ś. p. Konstantego tyle nakoniec obowiązani jesteśmy powiedziéć, że jak żył, tak i umarł, pamiętając głównie o wznioślejszych obowiązkach człowieka. Przeczuwając blizki koniec, na parę zaledwie godzin przed zgonem, mówił ze mną o ostatniéj swéj znaczniejszéj pracy (o artyleryi), bez mała przygotowanéj już do druku, a mówił wogóle trzéźwo i spokojnie, wcześnie pomyślał o wszystkiém należycie, na wypadek swéj śmierci.

Zapisując testamentem drugiéj swéj żonie, p. Florentynie z Prylińskich, *I-o voto* Redel, dożywocie na swym zaoszczędzonym dorobku

---

[1]) „Ateneum" 1896 r., Tom II, str. 557.

nie wynoszącym wiele więcéj nad 20 tys. rs., przekazał córce swéj z pierwszego małżeństwa, p. Katarzynie żonie p. Piotra Coronelli, pochodzącego jak i jéj matka z rodziny greckiéj, sumę ową, po ekspiracyi dożywocia, oddać do dyspozycyi: w połowie—Akademii umiejętności w Krakowie, w drugiéj zaś — Kasie im. Mianowskiego w Warszawie. Co też pani Coronelli pospieszyła przedwstępnie uskutecznić, upoważniając adwokata przysięgłego Ossuchowskiego do przedsięwzięcia odpowiednich kroków prawnych.

O swych zbiorach: książek i pism specyalnych, treści wojskowéj, map oraz odpisów wszelakich ś. p. pułkownik przed śmiercią również nie zapomniał. Chodziło mu przedewszystkiém o zapewnienie łatwiejszéj dostępności do tych zbiorów dla przyszłych w téj dziedzinie pracowników; ale, że poczuwał się do pewnego obowiązku wdzięczności tak względem bibliotek ordynacyi Krasińskich i Zamoyskich, jak oczywiście i kustoszy onych, nie przekazał zbiorów owych którejkolwiek z nich, lub komukolwiek, w całości, lecz je podzielił, podobnie jak pieniądz, na poły. W ten sposób książki i mapy dostały się p. Zygmuntowi Wolskiemu, wszelkie zaś odpisy p. Tadeuszowi Korzonowi—do ich dyspozycyi.

Co zaś do prac przygotowanych już do druku—z tém się rzecz ma jak następuje. W r. 1895, za wskazówką ś. p. pułkownika, został wydrukowany w wydawnictwie „Biblioteka ordynacyi Krasińskich" wt. XIII „Dyaryusz wojny moskiewskiéj 1633 r." Jana Moskorzowskiego. Dyaryusz ten miał być poprzedzony rozprawą jego pióra, wykazującą doniosłość tego zabytku dla nauki militarnéj, lecz, jak to czytamy w zamknięciu przedmowy p. Aleksandra Rembowskiego, słabe zdrowie zasłużonego historyka wojskowego stanęło zamiarowi na przeszkodzie. Ale przecież następnie zamiar ten pierwotny doprowadził on do skutku — i studyum p. t. „Odsiecz Smoleńska", razem ze sporą wiązką nowego nieznanego materyału w języku niemieckim, jaki pułkownik odpisał własnoręcznie, ubiegłego lata, w archiwum gdańskiém, ja sam już oddałem p. Rembowskiemu, który też zamierza to wydać w jednym z następnych tomów wydawnictwa téjże „Biblioteki". Wydaniem zaś „Zbioru wiadomości i materyałów dotyczących artyleryi polskiéj" wyraził chętną gotowość zajęcia się p. Korzon, który też ma w swym dziale odpisów i „Zwycięstwo pod Libiszowem."

Na zamknięcie tego wspomnienia, to chyba jeszcze dodam, zwracając się już tylko do mego osobistego z nim stosunku:

Wyszliśmy obaj z pod jednakowéj strzechy, rozwijaliśmy się we wczesnéj młodości pod temiż samemi wpływami, potém—chociaż w różnych wielce warunkach—spotykaliśmy się wciąż przecie; ostatecznie,

rzuceni losem na „daleką Ukrainę”, staliśmy się, przez jakieś pokrewieństwo ducha, „ludźmi ukrainnymi” do tego stopnia, że ja poświęcając pułkownikowi ostatnią moją o Ukrainie pracę, mogłem śmiało nadpisać: „Niżowcowi z ziemi Bielskiéj Niżowiec ziemi Czerskiéj” — w któréj jam się urodził. Ale jako tacy „ludzie ukrainni”, wróciliśmy przecie na starsze lata ku swym gniazdom rodowym, ku głównemu ich ognisku, by tu już w ciszy złożyć kości swoje. On je już oto złożył, a—że był pełen zasługi, niechże mu ta ziemia mazowiecka będzie lekką.

Aleksander Jabłonowski.



Książki dla młodzieży.

Nowości literackie, przeznaczone dla młodocianego wieku, podzieliłbym na trzy grupy: 1) utwory osnute na tle dziejów naszych, 2) drugą—stanowią powieści fantastyczne, w znacznéj większości streszczane i tłómaczone z języków obcych, zwłaszcza z angielskiego, 3) trzecia grupa—o treści zaczerpniętéj z życia miast i wsi, często z życia małych bohatérów, którzy przez równych sobie czytelników z łatwością zrozumiani być mogą.

Zadaniem powieści historycznych jest obudzić zainteresowanie do do minionych chwil przeszłości, a zarazem pouczyć czytającego. Utwory fantastyczne, przygody rozbitków, poszukiwaczy złota lub podróżników porywają zazwyczaj czytelnika w nieznane i tylko w wyobraźni kreślone światy, wprawiając go w podziw lub zachwyt dla bohatérów, którzy w zapasach i z falami mórz, i z dzikimi ludźmi i zwierzętami zawsze wychodzą zwycięsko. Trzeci rodzaj pism ma podkład realny, fantazya tutaj pracować nie potrzebuje, natomiast rozszerzają one widnokrąg myśli, uczuć, a często i czynów małego czytelnika. Zadaniem tych utworów jest zapoznać młodzież z otaczającymi ją ludźmi i rzeczami, odkryć co pożyteczne, kazać pokochać, co kochania godne, zapalić wreszcie do czynów szlachetnych i budujących. Ten trzeci dział jest może najtrudniejszy, bo wymaga znajomości i talentu poglądowego traktowania rzeczy.

Wszystkie trzy rodzaje mogą pochwalić się utalentowanymi autorami.

I.

W wieku X-ym, w dawnych bardzo czasach — mowi autorka — (*Teresa Jadwiga.* Powieści historyczne „Przed świtem”. Petersburg, nakładem Grendyszyńskiego, 1898, str. 169) odegrała się niejedna straszliwa tragedya nad Łabą, Hawelą i Wartą... Biédne plemiona słowiańskie ulegały niejednokrotnie przemocy cesarzów niemieckich..• Smutny to okres, ciemny, jak te bory olbrzymie. — Na tém tle odtworzyła autorka powieść, przedświt ten nagradzając młodemu czytelnikowi snopami jasności, jaka za Mieszka I-go spłynęła na ziemie Słowian. A krzyż raz na ziemi Polan zatknięty miał uciszyć nawałnice najazdów i pogromów. Niestety!... za niskie instynkty i namiętności targały nienasyconą piersią władców niemieckich. Niejedno pole z ich przyczyny rzeką krwi spłynęło — a strumień ten dotrwał aż do Grunwaldu. Nie brakło i Słowianom panów mężnych i rozumnych, a takim jest Bolesław Chrobry. „Ludu mój, jam nie umarł; odszedłem tylko, by spocząć w tych górach, które kocham, lecz w spoczynku nie przestanę czuwać nad wami...” Ile uroku, miłości i poezyi kryją w sobie te słowa; jak ponętną i świetną wydała się autorce postać wielkiego króla! („Wielki król”. Powieść dla młodzieży z czasów Bolesława Chrobrego, str. 226; jak wyżéj). Trafny wybór zrobiła autorka, dając młodzieży drugą z rzędu powieść historyczną, i — sądząc z napisu na książce — zamierza wydać całą ich seryę. A gdy raz z pomroki wydobyła swe opowiadania, spodziéwać się winna, że światła dalszych dobrze przez młodych czytelników zostaną przyjęte. Ma Teresa Jadwiga styl i język miejscami niepowszedni; tak np. w tomie I-ym obraz świtu rannego, boru i budzącego się w nim życia przypomniał mi księgę IV-tą „Pana Tadeusza”, choć nikt mnie pomówić nie może o porównywanie pierwszego z „kniejami”, do których „ostatni przyjeżdżał na łowy, ostatni król, co nosił kołpak Witoldowy!” lecz dla autorki taki cień przypomnienia jest wielką nagrodą. Również poetycznie skreślony został „dzień” na wstępie tomu II.

Całość nie pozbawiona zalet i starań o nie.

Przechodząc kolejno do następnych powieści na tle dziejowém, w pierwszym zaraz szeregu zamieścić wypadnie powieść z XV wieku p. t. „Jerzy Jaszczur Bażeński” przez *Z. Morawską* (Wydanie drugie. Warszawa, nakładem Gebethnera i Wolffa, 1898, str. 301). Treść utworu bogata. Za panowania Kazimierza Jagiellończyka w jednym roku zima była nadzwyczaj śnieżna. Jeno po dymach spostrzegłeś, że

pod tą masą śniegu stoją chaty... Z tego powodu nigdzie nie było wesoło, nawet na zamku JMC Pana Starosty Bielskiego... To też korzystając z chwilowéj pogody rozkazał pan starosta pocztowi swemu gotować się na łowy, ku wielkiemu zmartwieniu pani starościny i ośmioletniéj Lubochny, która napiérała się jechać z ojcem! Zaledwie myśliwi bramę zamkową opuścili, nawalnica się powtórzyła; lecz pan starosta nie myślał zawracać. Błądząc więcéj, niżli polując, natrafili na przysypanego śniegiem jeźdźca z koniem. Tym jeźdźcem był właśnie młodziutki, bo czternaście lat liczący, Jerzy Jaszczur Bażeński. Myśliwi przyszli mu z ratunkiem i po długiéj, uciążliwéj podróży zdołali dotrzéć do zamku. A tymczasem ojciec Jerzego zwrócił się z poszukiwaniami w stronę przeciwną, nie wiedząc o ciężko chorym synu, ktorym się pan starosta zaopiekował; miał jednak młody Jaszczur lepszą opiekunkę w osobie Lubochny, która na krok od łoża jego nie odstępowała... Wyzdrowiawszy, Jerzy po długich przygodach dostaje się w szeregi rycerskie, walczy mężnie i po kilku latach w nagrodę zostaje przybocznym króla, pojąwszy za żonę uroczą Lubochnę. Jeżeli do téj fabuły dodamy stronę historyczną powieści (którą z konieczności w streszczeniu opuściłem) złoży się całość zajmująca.

Z porządku chronologicznego zwrócić się muszę do „Opowiadań historycznych" *Maryi Świderskiéj* (Wydanie drugie,—jak wyżéj, str. 429). Akcya, pominąwszy opowiadanie p. t. „Ostatni Piast na Szląsku", toczy się w XVI, XVII i XVIII w. Wszystkie opowiadania trzymane w tonie poważnym, tęskne, wielką dla bohatérów i ich ziemi przejęte miłością, pouczająco przeprowadzają młodego czytelnika ze Szląska aż pod Chocim, pod smutną Cecorę.

„Ile wsi popalonych widzieliśmy, ile gruzów, a miejscami ziemia niby rdza czerwoną była, tyle się na niéj krwi wylało" („Poseł polski w Carogrodzie").

„Przygody Jana Chryzostoma Paska" (według jego pamiętników opowiedział *Jerzy Laskarys*,—jak wyżéj, str. 218). Ze względu na znaną treść pamiętników, zastanawiać się nad „Przygodami" nie widzę potrzeby. Pozostaje tu tylko strona opracowania, a tę w przeróbce swéj autor wykonał poprawnie i umiejętnie, opatrzywszy książkę życiorysem pamiętnikarza-rycerza, dzielnego towarzysza z pod chorągwi JMPana Czarnieckiego.

A jeśli chciałbyś, czytelniku, usłyszéć cośkolwiek o małych bohatérach, oto „Bitwa pod Raszynem" (Powieść historyczna dla mło-

dzieży przez *W. Przyborowskiego*. Wydanie drugie. Petersburg, nakładem K. Grendyszyńskiego, 1898, str. 235). Dzielny bohatér opowiadania, co przestrzegł przed Austryakami ks. Poniatowskiego, niezawodnie z tego rodu, co i Michałko, który dał znać polskim rycerzom o pobycie Karola Gustawa na plebanii, a potém w strzępach odzienia, boso—mężnie stawiał czoło Szwedom...

We wzmiankowanych powieściach historycznych zauważyć można: 1) wybór bohatérów trafny, 2) staranie o prawdę i ścisłość historyczną, połączone z szerszym rzutem oka na całość dziejów.

Zamieszczone we wszystkich książkach ilustracye uplastyczniają ważniejsze sceny.

II.

Pouczającą i zajmującą pracą wzbogacił *Władysław Umiński* dział powieści fantastycznych. Jego „Na falach Atlantyku" (Przygody rozbitków pośród oceanu. Warszawa, nakładem księgarni Dubowskiego i Gajewskiego, 1897, str. 206) porywa fantazyę czytelnika na niezmierzone przestrzenie wód, każe dzielić losy rozbitków i współczuć im w niespodziewanéj przygodzie, a którzy dzięki pasom korkowym przez dłuższy czas utrzymać się zdołali na falach, patrząc z rozpaczą na zatapiający się yacht; potém schronili się na cielsko nieżywego już wieloryba, przyczyny ich nieszczęścia... Po długich przygodach, jeszcze raz rozłączeni, znajdują ratunek na maleńkiéj wysepce, skąd na przepływającym obok parowcu powracają do ojczyzny.

Autor „Pzygód" znany jest z poprzednich prac oryginalnych i tłómaczonych.

Za wykonanie ilustracyi należy się uznanie wydawcy.

III.

Ostatnia serya książek dla młodzieży, to opowiadania z życia młodych bohatérów.

„W zaklętém królestwie" (Opowiadanie dla młodocianego wieku przez *Maryę Weryho* i *Stefana Gębarskiego*, — jak wyżéj, str. 166) Janek poznał „zaklęte królestwo", którém była dla niego przyroda, a korzyści, jakie stąd odniósł, były — oprócz wiadomości pożytecznych — zdrowie i siły wzmocnione przez życie, różne od dotychczasowego w mieście. Jankowi jednak chodzi głównie o podzielenie się

wiadomościami z „zaklętego królestwa” ze swym towarzyszem, do którego pisuje; o to samo chodzi i autorom książki, przestrzegającym czytelnika w sposób następujący: „...Nie czytaj więcéj dziennie nad jeden list Janka. A gdy, zamknąwszy książkę, zechcesz naśladować jéj bohatéra, który odkrył dla siebie „Zaklęte królestwo”, będzie to dla nas nagrodą za niniejszą pracę.”

Z życia szkolnego jest „Dzienniczek Brońci” (Powiastka dla dzieci przez *Władysława Kruka.* Warszawa, nakładem Paprockiego i S-ki, 1897, str. 137). Świat przez młodziutką uczennicę skréślony jest zajmującą lekturą dla jéj rówieśniczek.

Do poważniejszych należy „Plon” (Powieść dla młodzieży przez *Jadwigę Chrząszczewską.* Warszawa, nakładem M. Orgelbranda, 1898, str. 253). Korzystnie wyróżnia się on, jako utwór poważniejszy, któremu przystoi miano powieści. Napisany poetycznie, barwnie, językiem bogatym, tętni podniosłością uczuć i czynów, dając czytelnikowi wzór biédnego Stacha, który oparł się kuszącéj go nędzy, nie poszedł za złym podszeptem, gdyż byłby zginął niezawodnie, lecz szukał pracy, chociaż ciężkiéj, ale pracy, któréj ziarno wydało plon obfity i pożyteczny. Biédny chłopiec, wydostawszy się z karczmy, gdzie tułał się, jako siérota bezdomny, napotyka na drodze wieś, a w niéj ludzi dobrych i rozumnych, którzy go przyjmują. W pierwszym ich szeregu stają w powieści: panna Helena, nauczycielka, ze swą wychowanką i proboszcz miejscowy, którego — jak się potém okazało — Stach był bratankiem. Teraz pod księdza opieką rozpocznie on inne życie, zbiérając plon swych trudów, walk, swéj poniewierki i nędzy.

Taki jest szkic powieści znanéj autorki pism dla młodzieży; powieści téj należy się poklask. Choć autorka niezaprzeczenie najbardziéj będzie zadowolona, jeżeli młodzi czytelnicy zrozumieją myśl w jéj utworze zawartą, którą jest pragnienie dla wszystkich miłości, zgody i pokoju.

Ta trzecia i ostatnia zarazem serya opowiadań ze szkoły i z dworu ma autorów utalentowanych i powołanych w całém tych słów znaczeniu. Staraniem autorów jest przedewszystkiém odtworzenie prawdy życiowéj, wykazanie różnicy między złem a dobrem i zwycięstwa ostatniego. A jeżeli bohatérowie tych utworów są idealizowani — to nie za błąd, lecz za zasługę uważane być musi.

W zakończeniu, reasumując wrażenia z odbytego przeglądu wyż wymienionych prac, pozwolę sobie przytoczyć wiersz, który (zamieszczony i w „Plonie") zawiéra w sobie myśl tego, co sprawozdawca o książkach, a autorowie przez usta swych bohatérów powiedzieć chcieli:

„Szanuj, drogie dziecię moje,
W małém ziarnku przyszłe plony,
W małéj kropli przyszłe zdroje,
W szelągu miliony,
W każdéj myśli zaród czynu,
Życie w chwilce, co ucieka.
A sam w sobie szanuj synu
Przyszłego człowieka."

L. Rutkowski.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Alkar. „Pierwsze czterolecie panowania Stanisława Augusta.“ Kraków, nakładem autora, 1897, tomów dwa, str. 420 i 360.

Zabiérając się do opisu pierwszego sejmu za panowania Stanisława Augusta, autor powiada: „Dzieje sejmu roku 1766-go, otwartego w dniu 6 października, znane są o tyle, że zbyteczne jest powtarzać w szczegółach całkowity ich przebieg (I, 151). Słowa te wskazują, jaki zakres i cel obrał Alkar dla najświeższéj swéj pracy; nie chodziło mu o odtworzenie wykończonego obrazu epoki, którą w rysach zasadniczych, znamiennych i uogólnionych przedstawili inni przed nim historycy; pragnął on jedynie uzupełnić istniejącą już naukową zasobność danego przedmiotu przez „zużytkowanie nowych lub téż dotychczas jeszcze nieuwzględnionych materyałów". Jakież są te nowe i te nieuwzględnione materyały?

Do nowych, w pierwszym rzędzie, należy rękopis współczesny, pochodzący z biblioteki pani Z. S. Oskierczynéj; składa się on z 187-iu stronic *in folio*, „czytelném pismem wypełnionych", p. t. „Dyaryusz traktatowy, czyli komisyi pełnomocnéj od dnia 4 Novem. 1767 r. do 26 Febr. 1768 r. w Warszawie expedyowanéj". Do materyałów zaś nieuwzględnionych, lubo już drukowanych, zaliczone zostały tomy XX-ty, XXXVII-my, LI-szy, LVII-my i LXVII-my petersburskiego wydawnictwa „*Sbornik Impier. Russk. Istoricz. Obszczestwa*", tudzież przedostatnie trzy tomy „Historyi Rosyi" S. Sołowjewa i część pamiętników

Malmesbury'ego, „*Dyaries and Correspondance*" (wyd. 1846 r.), z czasów jego pobytu w Berlinie i przejazdu przez Warszawę do Petersburga.

W świetle tych świadectw i dokumentów autor prostuje niemało faktycznych twierdzeń, przyjętych lub utartych w wykładzie dziejów Polski z końca wieku XVIII-go, i sam we wstępie podnosi główniejsze z tych sprostowań. Tak np. Szujski w uwagach nad dziełem Sołowjewa „*Padienje Polszi*" utrzymuje, że ks. Repnin, przy zawiązaniu konfederacyi Radomskiéj, usunął na plan drugi sprawę dysydentów, natomiast, jako warunek główny poparcia, żądał „unieważnienia wyboru króla", gdy tymczasem akta autentyczne dowodzą, że o unieważnieniu takiém ani wtedy, ani w ciągu trwania konfederacyi mowy nie było — „i być nie mogło". W téjże pracy Szujskiego powiedziano, że zażalenia Radomian, przedstawione cesarzowéj, układane były w lutym 1767 roku, naprawdę zaś układano je dopiéro po przeniesieniu konfederacyi do Warszawy, na sesyi sierpniowéj 1767 r. Henryk Szmitt utrzymuje znowu w swych „Dziejach panowania Stanisława Augusta", że już w akcie zawiązania konfederacyi, 23 czerwca 1767 r., wojska postronnego mocarstwa uznane zostały za przyjacielskie i posiłkowe, kiedy tymczaczasem uznanie takie nastąpiło znacznie późniéj, w d. 3 października, drogą osobnéj uchwały, czyli t. zw. *sancitum*. W ogólności nawet tacy historycy, którzy dziejom konfederacyi radomskiéj najwięcéj miejsca poświęcili w swych dziełach, nie znali dokładnie aż dotąd ani aktu zawiązania się konfederacyi, ani jego daty i osnowy, ani nazwisk jego uczestników, ani téż dróg, któremi Radomianie, przebierając się manowcami, doszli na skraj przepaści. W toku opowiadania zarzut ten uwydatnia się nader plastycznie, chociaż bez żadnéj już polemiki; sprostowania zaś schodzą niekiedy do szczegółów najdrobniejszych, napozór zupełnie podrzędnych. Sołowjew np. utrzymuje, że Stanisław August przesłał w darze cesarzowéj skrzynkę trufli już po swojéj elekcyi, tymczasem podziękowanie datowane 5 stycznia st. st. 1764 r. przekonywa, że przesyłka wyprzedza na ośm do dziewięciu miesięcy wybór króla (I, 30).

Zdarzenia opowiada autor zwięźle, lakonicznie, za lakonicznie nieraz, niemal aforyzmami, powstrzymując się od uwag i wyroków osobistych; wypadki wszakże są tak krzyczące, że odgłos ich sam się obija o mury teraźniejszości. Alboż może być co wymowniejszego od kilku przytoczeń z „Pamiętników" Malmesbury'ego, pisarza przychylnie usposobionego dla Polaków, który jadąc z Berlina do Warszawy wyznaje, że powietrze Rzeczypospolitéj orzeźwiająco oddziałało nań po długim i uciążliwym pobycie w dusznéj atmosferze dworu Fryderyka W-go,

pomimo że nigdzie nie spotkał błogich śladów wolności i samorządu,— wszędzie nędzę, upadek, spustoszenie i brudne gromady chłopów, gnieżdżące się z bydłem w nędznych lepiankach!... Z rozmów, wynurzeń, utyskiwań i skarg w Warszawie najbardziéj charakterystyczną zdaje się być pogawędka ze Stanisławem Augustem. „Ze wszystkich tych urządzeń, jakie zaprowadzić chciałem — biadał król dnia pewnego — nic dobrego dla kraju nie wyniknie. Przeciwnie, im bardziéj będziemy się starali wzmocnić i poprawić się, tém większa czeka nas niedola... Jedyną pociechą, jaka nam pozostaje, jest zamknąć oczy na nasze nieszczęście. Co mnie dotycze... — byłbym to wszystko do stu tysięcy dyabłów rzucił, gdybym się nie wstydził ucieczki z posterunku... Porwała mnie za sobą ambicya, pragnąłem dobić się do korony, pozyskałem ją — i oto jestem najnieszczęśliwszym z ludzi. Jestem ukarany tém, że czynię to, co czynić m u s z ę..." (II, 202). Prześliczna filipika! — ale co po niéj, skoro fakta mówią wręcz odmiennie. Wydawać taką masę pieniędzy, jaką Stanisław-August istotnie wydawał na najmarniejsze błahostki, żadnego musu nie było; wydawało się je przecież—i naturalnie, nie z pustéj ciągle szkatuły prywatnéj i nie z ogołoconego skarbca publicznego. Straszliwe wrażenie wywiéra z tego powodu proste zestawienie dwu dat: „Umiano należycie ocenić gorliwość Stanisława-Augusta, gdy w liście z dnia 10 sierpnia st. st. 1768 r. polecono wypłacić królowi sto tysięcy rubli, z uprzejmém pozdrowieniem... Tym sposobem, stosunki poufne, zawiązane we wrześniu 1764 roku, przez wypłatę, tytułem zachęty do przyszłych usług, sumy stu tysięcy rubli, zespoliła, we cztery lata późniéj, takaż kwota, ofiarowana jako wynagrodzenie za już s p e ł n i o n e, w cudzym interesie... słabostki" (II, 320).

Ze scen i obrazów, przepełniających dwutomową pracę Alkara, największe zajęcie budzą oczywiście sprawozdania z obrad i uchwał t. zw. Delegacyi traktatowéj, wysadzonéj do zawarcia ugody z Imperatową i „przywrócenia" Rzeczypospolitéj „praw dawnych". Korzystał tu autor obficie z rękopiśmiennego Dyaryusza pani Oskierczynéj i rzecz całą wyczerpująco opracował. „Po raz to pierwszy od powstania państwa polskiego i rzeczypospolitéj z tronem obieralnym grupa ludzi bez mandatu prawidłowego miała decydować w obradach tajnych nad najżywotniejszemi sprawami narodu... Listę członków, ułożoną uprzednio, odczytano na sesyi sejmu dnia 18 października (1767) i bez protestu zatwierdzono. Zatwierdzono nieograniczone dla nich pełnomocnictwo z klauzulą, że na sejmie wyznaczonym na d. 1 lutego 1768 r. wszystkie uchwały komitetu w czambuł przyjętemi zostaną. Regulaminu obrad, dla nadania uchwałom cechy legalnéj, nie ustanowiono.

Nie zawarowano ani zasady jednomyślności, ani większości głosów..." (II, 122).

Że do Delegacyi, ukonstytuowanéj w ten sposób, weszli znani i otwarci jurgieltnicy, rzecz to naturalna; ale weszły téż i jednostki uczciwe, nieposzlakowanego charakteru: Michał ks. Czartoryski, sędziwy kanclerz litewski; Antoni Jabłonowski, wojewoda poznański; Roch Jabłonowski, kasztelan wiślicki; Stefan Giedroyć, biskup inflancki, kapłan wzorowéj cnoty; Tadeusz Burzyński, znany w literaturze prawniczéj wydawca zbioru uchwał sejmowych; Jacek Małachowski, referendarz koronny; Celestyn Czaplic, zacnéj pamięci marszałek z czasów sejmu 1766 r.; Michał Pac, starosta ziołowski, obywatel przekonań niezłomnych; Stefan Romer, chorąży trocki; Antoni Tyzenhauz, zasłużony podskarbi nadw. litew.; Piotr Bohomolec, pisarz witebski; Mikołaj Łopaciński, pisarz wielki litewski, i t. d., — „wszyscy obywatele cnotliwi, którzy do konfederacyi radomskiéj nie przystąpili byli, a którzy odwagą swoich przekonań, głośno na naradach Delegacyi pełnomocnéj wypowiedzianych, chlubnie swe nazwiska w dziejach zaznaczyli." Jakiemiż widokami kierowała się uczciwa ta mniejszość delegacyi, przyjmując mandat skazany zgóry na przeniewierstwo i hańbę? — „Podjąwszy się pod grozą zaszłych wypadków (uwięzienie, konfiskaty etc.) ciężkiego zadania, które napozór zadawało kłam ich przeszłości, ludzie ci uczynili to w nadziei, że uczestnictwem swojém cośkolwiek przynajmniéj dobrego zdziałają dla sprawy, któréj przez życie całe bronili, że będą przeciwwagą żywiołom szkodliwym, hamulcem dla rozkiełznanych namiętności i rozszalałego w swej bucie i aspiracyach do władzy warcholstwa..." „Dla nas — dodaje autor — dla żyjącego pokolenia, które widziało niejednokrotnie najlepszych obywateli wchodzących w czasach najgroźniejszych na drogę polityki ugodowéj, — dla pokolenia, za którego czasów zrodziło się nieznane jeszcze ludziom XVIII wieku pojęcie i wyraz oportunizmu, przedstawia się polityka dwuznacznego owego napozór grona, jeśli nie usprawiedliwioną, to w każdym razie wytłómaczyć się dającą okolicznościami." A przytém, wśród morza goryczy i klęsk, jakie się z Delegacyi wylały w czasach dalszych, znalazło się na razie i parę także kropel istotnego pożytku. „Bezstronność wyznać każe, że nie jedna z uchwał Delegacyi dobroczynne krajowi przyniosła skutki, choćby tylko wspomnieć, że sprawa włościan polskich, w jednym przynajmniéj punkcie — odjęcia szlachcie prawa życia i śmierci nad poddanymi i przez bardzo praktyczne i rozumne uregulowanie niektórych stosunków dominialnych — doczekała się podówczas pomyślnego rozwiązania" (II, 123—125).

Na opłakany przewód sprawy dysydenckiéj, wymotywowany w dziele i opisany nader starannie, Alkar rzuca w przedmowie parę myśli zasługujących również na zaznaczenie. „Stając bezwarunkowo po stronie protestu lepszych jednostek społeczeństwa ówczesnego przeciwko narzuconym warunkom tolerancyi wyznaniowéj i obywatelskiéj, nie zadaje autor kłamu swoim przekonaniom, które w równości wszystkich obywateli na gruncie praw i obowiązków upatrują podstawę normalnego rozwoju ludzkości... Polska na schyłku XVIII wieku nie mogła była wcześniéj od państw innych wprowadzić do swego organizmu elementów równości obywatelskiéj wszystkich stanów i wyznań, gdyż zasady te znacznie późniéj zakiełkowały w Europie, pod wpływem kataklizmu dziejowego, sprowadzonego przez wielką rewolucyę francuską... Co zaś do interwencyi mocarstw postronnych, które do stosunków wewnętrznych rzeczypospolitéj, opartych na nierówności stanów i na przywilejach klasy rządzącéj, wprowadzić usiłowały zasady u siebie niepraktykowane, interwencya owa nie powodowała się bynajmniéj względami humanitarnemi..."

Najsłabszą stroną ze wszech miar na pochwałę zasługującéj pracy Alkara jest nieco za blade, za wiele rozcieńczone tło stosunków dyplomatycznych. Zajęty nadmiarem treści wewnętrznych dziejów upadającego kraju, autor jakby umyślnie zaniedbał nieco treść ich zewnętrzną, zagraniczną. Oparty wyłącznie — z natury samego założenia dzieła — na poszukiwaniach archiwalnych postronnych, historyk nie wszędzie się ustrzegł—o ile o tém recenzentowi sądzić wolno – od zbyt ostrego wycieniowania kontrastów, zachodzących jakoby w siódmém dziesięcioleciu XVIII wieku w widokach Rosyi i Prus na Polskę. Bezwątpienia, różniono się dość często w środkach, ale cel bardzo mocną i stanowczą wspólnością nacechowany został od samego początku. Gdzież szukać tego początku, gdzie go umieścić? — „W d. 6 (17) października 1763 r., niezwłocznie po przybyciu z Warszawy do Petersburga kuryera z wiadomością o zgonie Augusta III, odbyła się narada ministrów, na któréj postanowiono, jako zasadniczą w zamierzonéj akcyi podstawę, domagać się wyboru króla nie cudzoziemca, lecz z Piastów, człowieka takiego, któryby, przypisując swe wyniesienie na tron wyłącznie Rosyi, był jéj za to wdzięcznym, od niéj zależnym i w zupełności jéj interesom oddanym" (I, 2). Owóż, zasadnicza ta „podstawa" ma znacznie dawniejszy i nie wyłącznie petersburski autorament. W naradzie ministrów z d. 6 (17) października 1763 r. brali udział także i ministrowie pruscy, a wszyscy razem wcale nie potrzebowali zastanawiać się nad kwestyą, która wówczas od półroku już była rozstrzygniętą bez apelacyi możliwéj. Rzecz tę w następujący sposób omawia

prof. Teod. Martens w „*Sobranii traktatow*", — źródle tak samo rzadko odwiedzaném przez dziejopisów naszych, jak i Sołowjew lub „*Sbornik*" petersb. Towarzystwa historycznego:

„Podejrzliwość i nieufność wzajemna, panująca w Berlinie i Petersburgu od wstąpienia na tron cesarzowéj Katarzyny, rozwiewać się zaczęła dopiéro pod koniec roku 1762. Pierwszą sprawą, która położyła podwalinę trwałéj zgody i zażyłości Rosyi z Prusami, była sprawa polska. W początkach roku 1763 cesarzowa rozkazała swemu ambasadorowi w Berlinie, księciu Dołgorukiemu, zażądać u króla audyencyi specyalnéj i spytać go, co myśli o ewentualném zastąpieniu króla polskiego Augusta III, którego zgon niedaleki jest prawdopodobnym. Król odpowiedział: „że na wypadek śmierci Augusta III gotów jest zawrzéć sojusz z cesarzową, jeżeli otrzyma przyrzeczenie, że tron polski nie dostanie się żadnemu z książąt domu austryackiego; jego królewska mość mniema, że najodpowiedniéj i najkorzystniéj byłoby posadzić na tronie rodowitego Polaka, Piasta." W liście z d. 15 lutego 1763 r. Fryderyk II-gi wyraził całkowitą swą zgodność z poglądami imperatorowéj, zakomunikowanemi przez Dołgorukiego. Cesarzowa przyjęła warunek postawiony przez króla pruskiego i oświadczyła, że Rosya nie będzie popiérała księcia austryackiego, o ileby Prusy, ze swojéj strony, przyrzekły nie popiérać żadnego z książąt francuskich; jednocześnie zobowiązała się cesarzowa wspiérać jedynie kandydaturę Piasta, rodowitego Polaka. Tym sposobem, gdy w październiku 1763 r. nadbiegła wieść o śmierci Augusta III, Rosya i Prusy zgodnie się już zapatrywały na następstwo tronu opróżnionego w Polsce" (VI, 9).

Że takaż sama zgodność widoków, wyprzedzająca listownie lub ustnie o kilka miesięcy (czasem i o lat kilka) najrozmaitsze dyskusye formalne i postanowienia na papiérze, powtarzała się ciągle, stale, do końca,—rozwodzić się nad tém nie byłoby na miejscu. W każdym razie, to pewna, że ktokolwiek dziś zabiéra się do rozwikływania węzła odpowiedzialności dziejowéj w mniéj lub więcéj twardych zagadnieniach politycznych z końca wieku XVIII, niechybnie narazi się na zawód, ilekroć za wielką wiarę lub wagę przypisze aktom, o tyle o ile sekretnie wystawionym, za dni naszych wydanym na światło dzienne. Dziwiłożby to kogo, że szkopułów podobnych tu i owdzie ominąć nie zdołał taki nawet erudyta i znawca wieku XVIII, jak Alkar?

J. T. Hodi.

Ludwik Krzywicki. „Kurs systematyczny antropologii“. I Rasy fizyczne. Warszawa, 1897 r.

Turysta każdy, zwiedzając kraje europejskie i z pewną uwagą przypatrujący się spotykanym typom, dostrzega ze zdumieniem, że wśród narodowości o wybitnie swoistych rysach zdarzają się nader często osobniki zupełnie odmienne, przy jednocześnie dość znacznéj ilości typów pośrednich, niezdecydowanych. Szczególnie uderzającém staje się to zjawisko, gdy obserwujemy ludzi klas wyższych danego społeczeństwa, tak zwaną inteligencyę, ludność miejską, ogładzoną przez ogólno-europejską cywilizacyę. Siedzimy przy *table d'hôt*'cie w jednym z wielkich hotelów Nicei lub Monaco, wiemy, że mamy przed sobą, obok siebie, przedstawicieli najrozmaitszych narodowości; upewniają nas o tém ich nazwiska przeczytane z rana na liście przyjezdnych; ale teraz, gdy wszyscy mówią jednym językiem, francuskim, posługując się nim jak rodowitym, ani sposób odróżnić Niemca od Francuza, Serba od Szweda, Polaka od Włocha...

„Coś” jest wspólnego w fizyognomiach, w ruchach, w wyglądzie tych ludzi, jest jakiś czynnik, który wygładził, zobojętnił wybitne ich cechy narodowe, stworzył z nich jakichś ludzi przeciętnych, bezrasowych niemal, typy kosmopolityczne, ludzi cywilizowanych, mieszkańców Europy dzisiejszéj. Przyjrzyjmy się teraz wieśniakom zebranym w niedzielę przed kościołkiem wiejskim. Wszyscy oni z jednéj wsi pochodzą; ten sam szmat ziemi ich żywi, te same zwyczaje mają, jednakim ulegają zabobonom i przesądom, spokrewnieni są ze sobą w bliższych lub dalszych stopniach, a jednak widzimy wśród nich całą mozajkę najprzeróżniejszych typów: ten oto wysoki blondyn z jasnemi oczami jest ciotecznym bratem tego małego, krępego ciemnowłosego gospodarza, którego siwe oczy rzucają stalowe błyski. Jedni mają głowy podłużne, twarze wązkie, drudzy przeciwnie—głowy okrągłe, twarze szerokie. Przyjrzawszy się im uważnie, widzimy, że tu na tym małym kawałku ziemi zeszły się i zmieszały ze sobą rozliczne może typy rasowe, sprawiwszy to, że pod pozorną jednością wielka się kryje rozmaitość.

To, co przeciętny obserwator widzi i według swego, często mylnego sądu, subiektywnie ocenia, antropolog wykazać może ściśle i pewnie, uzbroiwszy się w zasób środków i metod badania, jakie mu jego nauka dostarcza. Rezultatem zaś tych badań jest to przekonanie, że współczesne nam narody są wynikiem setnych kombinacyi rasowych, setnych pokrzyżowań, powstałych z łączenia się ze sobą typów da-

wniejszych, już nie jednolitych. Antropolog, stając przed człowiekiem jako gatunkiem *homo* rzędu *Primates* (Naczelnych), ma to samo zadanie, jakie prowadzi zoologa botanika w jego poszukiwaniach: z jednéj strony idzie mu o wykazanie dokładnych cech morfologicznych każdéj grupy etnicznéj, zarówno jak o ich głębsze różnice anatomiczne, z drugiéj strony dąży on do wyszukania i określenia tych zasadniczych prototypów, z których przez krzyżowanie powstały narody dziejowe.

Zdobycze, jakiemi dotychczas poszczycić się może antropologia, nie są zbyt liczne; wypływa to przeważnie z tego faktu, że badania przeprowadzane w téj formie, jaką dzisiaj wiedza za konieczną uznała, poczęły się od niedawna, młodą bowiem nauką w ostatecznéj swéj postaci, jest antropologia. System badań antropometrycznych nie sięga daléj jak r. 1859, czasów Pawła Broca, twórcy współczesnéj antropopometryi. Niedawno rozpoczęte, niedosyć może liczne, aby upoważniały do ostatecznych wniosków, pozwoliły jednak nagromadzone dotąd materyały wypowiedzieć jeden niezbity pewnik: ras czystych, w pełném tego słowa znaczeniu, dzisiaj niema. Każdy naród najbardziéj z pozoru jednolity przy ściślejszéj analizie wykazuje pewne pierwiastki składowe. Prawo to stosuje się nie do dzisiejszych tylko narodów. Badania pozostałości przedhistorycznych przedstawiają takie same stosunki etniczne. Jest to zresztą zjawisko niezmiernie łatwe do zrozumienia. Każda walka, każda wędrówka plemienia stawiała je w obecności osobników innych szczepów. Kto zwyciężył, brał jako pogromca kobiéty z zawojowanego plemienia, jeżeli był pokonany, szedł jako niewolnik, kobiéty z jego plemienia ulegały przemocy silniejszych. Tak czy owak, krzyżowanie nastąpić musiało. A w owych czasach pierwotnych najazdy szły jedne za drugiemi, coraz to inne nadchodziły hordy; krzyżowania następowały w najprzeróżniejszych stosunkach rasowych. Prócz tego wśród wielu plemion istniał obyczaj obowiązkowego poszukiwania kobiét obcego plemienia.

Zwyczaj ten wytwarzał odrazu w łonie jednéj grupy ludzi niezliczone kombinacye połączeń etnicznych, których rezultatem ostatecznym musiał być wytwór jakichś „nowych ludzi", zupełnie odmiennych rasowo od swych prarodziców, ludzi którzy sami przez się już nową odmianę stanowili. Nakoniec, jeśli weźmiemy pod uwagę wpływ środowiska, warunki mesologiczne, znaczenie zjawiska aklimatyzacyi, różnice wywoływane w organizmie przez zmianę miejsc podczas wędrówek i emigracyi, — to dostrzeżemy, że aż zanadto wiele znajduje się przyczyn przy najpowierzchowniejszéj analizie, przyczyn uzasadniających zupełnie twierdzenie, że ras czystych nie ma, że narody dzisiejsze są produktem setnych skrzyżowań, wytworem niejako sztucznym, na któ-

ry się złożyły: krzyżowanie i wpływ zmieniający środowiska i aklimatyzacyi.

Ścisłą analizą warunków powstania typów narodowych dzisiejszych zajął się p. L. Krzywicki w niedawno wydanéj swéj antropologii.

Wśród nielicznéj, wogóle w prace źródłowe, naszéj literaturze naukowéj praca traktująca o antropologii jest prawdziwym białym krukiem. Najwięcéj to może zaniedbana u nas gałęź biologii, pole odłogiem leżące, na którém zaledwie czasami ukaże się jakiś pracownik.

Kiedy zbierając dane do literatury antropologicznéj polskiéj zgromadziłem wszystkie dzieła autorów Polaków, w dziale antropometryi, najważniejszym bodaj z całego obszaru antropologii, kilkanaście zaledwie prac znalazłem; [1]) od tego czasu niewiele téż przybyło nowych rozpraw.

Z prac ogólniejszych, do nauki służących, mieliśmy jedynie „Antropologię" Taylora, będącą raczéj wstępem do etnografii, oraz parę niby popularnych dziełek bez wartości. Dlatego téż z radością powitałem ukazanie się pracy p. Krzywickiego, który z całą sumiennością i starannością zgromadził poprzednio liczne dokumenty w swoich „Ludach".

Obecna praca p. Krzywickiego nosi wyraźnie charakter dzieła o ogólnie etnograficznym podkładzie. Nie idzie tu autorowi o obznajmienie czytelnika z metodami i wstępnemi czynnościami antropologii. Przedstawia on tu tylko rezultaty badań, uogólnia wyniki, zestawia to, co przeróżni badacze dokonali. We wstępie powiada, że opuści zupełnie antropologię zoologiczną. Staje więc odrazu na gruncie czysto etnologicznym, dając przeczuć swe pragnienia i upodobania, mówiąc, że „antropologia etniczna czyni poszukiwania nad składem rasowym oraz rodowodem poszczególnych grup plemiennych, na jakie rozpada się ród ludzki, i nad wpływami, jakie ów skład wywiéra na zwyczaje i instytucye pojedyńczego narodu".

Uwydatniam te ostatnie słowa, gdyż w nich widzę niejako cel napisania pierwszéj części pracy p. Krzywickiego. Szło mu, jako etnografowi i socyologowi, o przygotowanie sobie materyału i dokumentów do następnych wniosków i badań, mających na celu rozbiór dziejów powstania i utrwalenia się przeróżnych instytucyi obrzędowych i zwyczajowych.

---

[1]) Patrz „Materyały do bibliografii antropologicznéj polskiéj". Wisła, Tom X, zeszyt II. 1896.

Jeśli będziemy się ściśle trzymać najgłębszéj istoty zadania antropologii, to przyznać musimy wśród wszystkich jéj działów pierwszeństwo antropologii zoologicznéj i antropometryi. Jedna pokazuje człowieka w stosunku do pozostałych istot organicznych, określając odległości i różnice budowy anatomicznéj pomiędzy nim a resztą stworzeń żyjących, druga bada człowieka rasy każdéj i określa wzajemny stosunek ras. Najwłaściwszém téż zadaniem antropologii jest przedewszystkiém ustalanie cech każdéj odmiany rodu ludzkiego; dla tego téż tak ważną jest antropometrya. P. Krzywicki opuszcza tę część jako wykład systemów badań, a bierze jedynie to, co zostało już zrobione, opuszcza téż badania porównawcze, odrzucając element ściśle biologiczny, stojąc, jak już powiewiedziałem, na gruncie etniczno-socyologicznym. Cała więc jego praca jest szkicową analizą stosunków rasowych wśród ludów dzisiejszych, z rzutem oka na ukształtowanie ras przedhistorycznych; poglądów nowych, osobistych odszukać nie mogłem w pracy p. Krzywickiego. Jest to jednak niezmiernie pracowite zestawienie poszukiwań źródłowych wielu badaczy, wypowiedziane jasno, przystępnie, metodycznie i objaśnione bardzo udatnemi diagramami.

Natomiast u autora, jako poszukiwacza, przejawia się wielka dążność do cech opisowych, niepewnych, na niekorzyść danych ścisłych, pomiarowych. Niejasną więc jest tablica składu rasowego żydów, pełna nieścisłych, ogólnikowych, fantazyjnych określeń, czerpanych z obserwacyi pobieżnéj, „na oko” robionéj, niepopartéj badaniami antropometrycznemi.

Nie wiem, dla czego téż najważniejsze znaczenie przypisuje nasz autor kraniometryi i pelwimetryi. Badania nad miednicą bynajmniéj do decydujących nie należą, nie są téż nigdy nadzwyczaj charakterystycznemi. Należało przecież zauważyć, że wśród osteometryi badania nad proporcyonalnością części kości są najważniejsze, zarówno jak porównawcze studya nad wszystkiemi wymiarami i kątami pochyleń kości i jam.

Pokazawszy metody graficzne rozkładania nagromadzonego materyału pomiarowego i powiedziawszy słówko o wskaźnikach, przechodzi p. Krzywicki do rozpatrzenia składów rasowych typów czarnych, żółtych i białych.

Specyalnie interesującą nas analizę szczepu polskiego opiéra p. Krzywicki na nielicznych i niedostatecznych pracach Majera, Kopernickiego, Dudrewicza, Olechnowicza, swoich własnych poszukiwaniach i moich badaniach.

Bardzo słusznie utrzymuje autor, że tak zwane „rasy lokalne", powstałe z przeróżnych krzyżowań i pozostające w pewnych stałych granicach terytoryalnych, powinny być jaknajrychléj zbadane, czas bowiem, rozwój komunikacyi, a ztąd łatwość emigracyi i imigracyi działa rozkładająco, coraz więcéj zmieniając cechy antropologiczne tych ras miejscowych.

Zgodzić się téż należy z tém zdaniem jego, że badania prowadzić należy koniecznie gminami lub parafiami, nie zaś powiatami. Każdy, kto się bezpośrednio stykał z tego rodzaju poszukiwaniami, wié doskonale, jakie duże różnice i odskoki znaleźć może na przestrzeni kilku wiorst, od jednéj wsi do drugiéj. Dla tych téż powodów dane dotychczas zebrane, tak odnoszące się do Galicyi, jak do Poznańskiego, Królestwa Polskiego i Litwy, są bardzo powierzchowne i zaledwie grubemi, niepewnemi rysami zaznaczają nasze stosunki etniczne.

Dlatego téż niezmiernie niepewne są tablice moje, które p. Krzywicki w pracy swojéj zamieścił, a które według uwagi jego dowodzić mają i stwierdzać ten fakt, że w Królestwie, zarówno jak w całéj Europie środkowéj, wzrost wysoki idzie zawsze w parze z jasnym kolorem oczu.

Praca moja [1]) najlepiéj udawadnia, czém są pomiary zbiérane na przestrzeni większéj, w obrębie powiatu.

Jedne w dość wielkiéj ilości obejmują kilka miejscowości danego powiatu, drugie zaś, w mniejszéj ilości zebrane dotyczą jedynie jednéj wsi, lub miasteczka. Rezultat zaś jest ten, że dają nieciągłe i zupełnie niepewne rezultaty, jak słusznie ocenił to p. Olechnowicz. Pomimo więc całéj sumienności w zbieraniu tych danych, rezultaty z nich wyciągane nie mogą być prawdziwe, zważywszy szczupłość miejsca ich pochodzenia w stosunku do obszaru, dla którego były uogólniane.

Te względy, które są jednolite dla prac innych autorów, za wyjątkiem może badań p. Zakrzewskiego nad wzrostem rekrutów, zkądinąd wadliwych, doprowadzają nas do wniosku, że absolutnie nic pewnego dotychczas powiedziéć o stosunkach etnicznych naszych nie możemy, a wszelkie wnioski w rodzaju tych, jakie wyciągał z prac swych p. Olechnowicz, są przedwczesne, tém więcéj, że badania kraniologiczne są u nas zaledwie zapoczątkowane.

Porzucając skład rasowy ludów dzisiaj żyjących, przechodzi p. Krzywicki do nieco pobieżnéj analizy ras w przeszłości. I tu widzimy

---

[1]) K. Daniłowicz-Strzelbicki. „Przyczynek do badań antropologicznych nad ludnością Królestwa Polskiego". Warszawa. 1896.

znowu całe szeregi warstw, setne skojarzenia się, typy w najprzeróżniejszych stopniach skrzyżowane, tak że uwydatnienie pierwotnych składowych pierwiastków wielkie napotyka trudności. Raz jeszcze więc tswierdzamy ten fakt, że pojęcie „rasy czystéj" jest terminem najzupełniéj abstrakcyjnym, wyobrażeniem jeno największéj przeciętności najogólniejszych cech w jednym typie.

O udowodnienie tego chodziło, zdaje się, p. Krzywickiemu, zarówno jak o przygotowanie sobie materyału do dalszych badań, etnologicznéj i socyologicznéj zapewne natury.

Obecna praca p. Krzywickiego daje czytelnikowi zupełnie wystarczające pojęcie o tém, jakie składniki rasowe wchodzą w utworzenie każdego poszczególnego narodu, tak w epokach przedhistorycznych, jak i dzisiejszych, pokazuje z jakich warstw skupiały się powoli te umówne, względne całości, które nazywamy narodami, a które częstokroć więcéj łączy wspólny byt polityczny, aniżeli istotne rodowe pokrewieństwo.

P. Krzywicki, pokazawszy z czego się każdy naród składa, opiérając się na pierwszéj części swéj pracy, będzie mógł swobodniéj studyować ewolucyę i kształtowanie się zwyczajów i instytucyi obrzędowych, zarówno jak postawić zarysy elementarne psychologii etnicznéj, co jest podobno jego zamiarem w przyszłości. Prędzéj więc etnologią jak antropologią w ścisłém słowa znaczeniu, jest ta jego praca.

Pominął on bowiem to, co bodaj istotą jest téj nauki, jéj część zoologiczną, dając jedynie rezultaty i uogólnienia, czy pewne? Autorowie sami, z których czerpał nie wieleby odpowiedzieć na to pytanie mogli.

W każdym jednak razie dobrze się zasłużył naszéj literaturze naukowéj p. Krzywicki swoją sumienną pracą, którą w rękach najszerszéj chciałbym widzieć publiczności.

Może téż pobudzi on nieco tę ospałość, jaka panuje u nas na polu antropologii, i zaciekawi ludzi do zajęcia się nauką, która przecież o nich mówi. *Kazimierz Daniłowicz-Strzelbicki.*

„Sprawozdanie Komisyi fizyograficznéj, obejmujące pogląd na czynności dokonane w ciągu roku 1895", oraz „Materyały dla fizyografii krajowéj". Tom trzydziesty pierwszy (z 2-ma tablicami). W Krakowie, nakładem Akademii Umiejętności, 1896 roku.

Trzydziesty pierwszy tom, streszczający działalność znanéj z gorliwości komisyi fizyograficznéj, zaczyna się, jak zwykle, od przeglądu jéj czynności w ciągu roku 1895/6.

Dowiadujemy się z tego sprawozdania, że stan materyału naukowego w Muzeum komisyi jest bardzo obfity i w miarę możności doprowadzany do porządku, kolekcyonowany i opisywany. Wszelako obawiać się prawie należy większego napływu zbiorów, a to z tego powodu, że szczupłe pomieszczenie Muzeum jest tak dzisiaj przepełnione, iż niezadługo nie będzie gdzie rozmieszczać okazów, które już dzisiaj zalegają w skrzyniach strych i sienie. Pracownia jest przytém nieopalana i nieoświetlona gazem, tak że w zimowe miesiące wszelkie w niéj prace muszą być przerwane, a przynajmniéj niezwykle są utrudnione.

Stan funduszów oraz spis członków komisyi dopełniają tego sprawozdania.

W części naukowéj znajdujemy niezmiernie ważny i interesujący szersze sfery publiczności program sekcyi rolnéj komisyi fizyograficznéj. Obszerny i bardzo umiejętnie opracowany plan badań, mających na celu przyjście w pomoc rolnictwu przez naukową ocenę przeróżnych właściwości gleby, zboża najodpowiedniejszego dla danéj okolicy, zaczyna się od ogólnego przedstawienia dzisiejszego stanu rolnictwa u nas i w Galicyi. Wychodząc z założenia, że w kraju naszym, który kiedyś był śpichlerzem Europy, jednėm z najważniejszych źródeł bogactwa jest ziemia, autorowie „Programu" dochodzą do wniosku, że i dziś rolnictwo jest dla nas tém, czém było: „podstawą kultury kraju, głównym warunkiem, jeżeli nie dobrobytu, to przynajmniéj bytu miejscowéj ludności."

„Można więc twierdzić, mówią daléj, że praca nad postępem rolnictwa polskiego—to praca podjęta dla teraźniejszości i przyszłości kultury polskiéj." Postęp jednak rolnictwa naszego jest w bezpośrednim związku z lepszym wyzyskaniem warunków przyrodzonych kraju. To właśnie jest zadaniem sekcyi rolnéj komisyi fizyograficznéj.

Prace fizyograficzne, mające na celu dokładne zbadanie kraju, są zaledwie zapoczątkowane, te zaś prace, które dokonywano dotychczas, przedstawiają nierównomierność metod badań, są ze sobą nieporównywalne i wniosków z nich dla praktyki rolniczéj wyciągać nie można.

Powoławszy więc do swego grona przyrodników, rolników-fachowców i inne osobistości kompetentne, wypracowano plan badań, które się będą zbiérać przy pomocy fachowców chętnych, stacyi doświadczalnych, przez pośrednictwo odpowiednich kwestyonaryuszy.

Zasadę, którą się powodować należy, wyrazić można jak następuje: hodować, rozwijać i udoskonalać rodzime bogactwa kraju; starać się wynaléść te gatunki, rasy i rodzaje, które są dla danéj okolicy kraju najodpowiedniejsze, i te do hodowli polecić.

Wiemy dobrze, że, jeśli w jakiéj okolicy rośnie dziko pewna roślina, to hodowla szlachetnéj odmiany téjże rośliny uda się napewno. Daléj baczyć należy, aby wybór bydła był stosowany do właściwości gruntu i paszy miejscowéj. Ta nauka powinna się postarać o wykorzenienie tego tak powszechnego u nas błędu, że, jeśli zobaczymy u kogoś w innym powiecie, na innéj glebie, w innych warunkach hodowane bydło jakiéjś rasy, to kupujemy je natychmiast i staramy się przystosować do warunków zgoła dla niego nieodpowiednich. Temu wszystkiemu zaradzą prace nad fizyografią krajową. One podyktują hodowcy, co ma siać, co hodować, aby jaknajwiększy dla siebie wyciągnąć pożytek.

Badania więc takie bardzo rozliczne i obszerne objąć muszą wiadomości; podzielono je na następujące działy:

Dział I. Badanie gleby, poznanie składu ziemi drogą analizy chemicznéj i mechanicznéj, oraz badanie natury geologicznéj. Umożliwiłyby badania te wydanie krąjowéj mapy geologiczno-rolniczéj, któréj brak dotkliwie uczuwać się daje.

Dział II. Badanie własności roślin uprawnych i ich chemicznego składu. Wiadomości stąd czerpane dadzą porównawcze dane co do wartości użytkowéj naszych roślin uprawnych, oraz rzucą pewne światło na skład i rodzaj gleby, w któréj rosną.

Dział III. Badanie siana łąkowego da nam analizy botaniczne siana łąkowego i potrawu.

Dział IV. Spostrzeżenia fenologiczne na roślinach zbożowych, leśnych i ogrodowych.

Dział V. Badanie rozsiedlenia panujących rodzajów dzikich drzew i krzewów owocowych, drzew leśnych i chwastów.

Oba te działy wyświetlą wiele kwestyi klimatologicznych oraz przyczynią się do ustalenia wyboru pod hodowlę odpowiednich gatunków dla danych miejsc.

Dział VI. Spostrzeżenia nad pasożytami i chorobami roślinnemi, które pozwolą określić, jakie klęski, jak często, w jakich miejscowościach i rozmiarze najczęściéj nawiedzają rolników.

Dział VII. Spostrzeżenia nad zwierzętami użytecznemi i szkodnikami zwierzęcemi będą miały z jednéj strony na celu dokładniejsze poznanie fauny krajowéj, z drugiéj strony pozwolą obmyśléć środki ochrony lub opieki nad odpowiedniemi gatunkami, a tępienia gatunków szkodliwych.

Dział VIII. Badanie krajowych ras zwierząt domowych, w szczególności bydła rogatego i owiec, ma na celu ustalenie hodowli bydła, szczególnie ras krajowych; badania te, pomiarowe po większéj czę-

ści, mają jeszcze i szersze znaczenie dla biologii, historyi, a nawet etnologii.

Badanie nad pierwotnemi rasami zwierząt daje przez przyrównanie wiele ciekawych wskazówek co do wędrówek, jakie różne narody odbywały. Przypomnimy tu że Werner na zasadzie badań nad rasami zwierząt domowych oparł swe twierdzenia o „wkroczeniu Burgundionów z południowéj Szwecyi do dzisiejszéj zachodniéj Szwajcaryi w czasie wędrówki narodów".

Adametz wyjaśnił, że „polskie bydło brunatne jest rasą hodowaną w Polsce od czasów przedhistorycznych, należącą do typu *Bos taurus brachyceros* i pokrewną rasie illiryjskiéj bydła, którą spotykamy w Bośni, Hercegowinie i Dalmacyi".

Takim jest w zarysie program badań sekcyi rolnéj, która wygotowała liczne, a wyczerpujące kwestyonaryusze. Sądzę, że prace jéj są dość ważne i zakres ich oraz tendencya zbyt poważnéj natury, aby nie obudzić powszechnego zadowolenia i usiłowań ze strony wszystkich w celu dopomożenia poznaniu kraju naszego.

Nie wiele miejsca mi zostało na omówienie bogatego dzieła „Materyałów do fizyografii krajowéj".

Dział meteorologiczny zawiéra wyniki spostrzeżeń, dokonanych w Galicyi w roku 1895-ym, zestawione pod nadzorem prof. d-ra Karlińskiego.

Widzimy tam daléj ciekawe wyniki spostrzeżeń magnetycznych, dokonanych w Krakowie w r. 1895 przez d-ra Wierzbickiego, tegoż „Grady w Galicyi", „Materyały do geomagnetyzmu w Tatrach" przez d-ra L. Birkenmajera, tegoż „Zapiski termo i hypsometryczne kilku źródeł tatrzańskich" oraz oznaczenie ciepłoty śniegu w zimie 1893/4 w Tarnopolu przez Władysława Satkego.

Dział biologiczny zawiéra d-ra Mieczysława Kowalewskiego „Materyały do fauny helmintologicznéj pasożytniczéj polskiéj".

Daléj widzimy obszerną pracę p. Józefa Nusbauma „Materyały do historyi naturalnéj skąposzczętów (*Oligochaeta*) galicyjskich".

Rozpocząwszy przeglądem prac z literatury zoologicznéj, dotyczących rodziny dżdżownic, podaje następnie dr. Nusbaum krótki opis organizacyi dżdżownic, poczém następuje ciekawy opis zbadanych przez autora gatunków.

Prof. Bronisław Gustawicz daje nam „Pomiary barometryczne", wykonane i obliczone w paśmie babiogórskim i przyległych północnych działach górskich.

Dr. Eustachy Wołoszczak daje pracę z zakresu flory zachodnio- i wschodnio-karpackiéj.

Przegląd fauny skorupiaków galicyjskich d-ra A. Wierzejskiego, w obszernym wstępie dotyczącym badań planktonicznych, rozbiéra dzisiejsze w téj mierze metody badań, poczém przechodzi do obszernego opisu wodnych skorupiaków galicyjskich, ozdabiając swą pracę wybornie wykonaną tablicą.

Wymienić jeszcze muszę prace: Józefa Paczoskiego „O nowszych i rzadszych roślinach flory litewskiéj" oraz d-ra W. Teisseyre „Sprawozdanie z badań geologicznych", przedsiębranych z ramienia wydziału krajowego w okolicy Rohatyna, Przemyślan i Bóbrki-Mikołajewa.

K. Daniłowicz-Strzelbicki.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Władysław St. Reymont.* **Spotkanie.** (Szkice i obrazki. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa 1897, str. 367). — Beletrystyka nasza ostatnich czasów posiada taką obfitość nowel, że zaledwie część ich bądź dla myśli w drobiazgach tych zawartych, bądź dla piękności stylu i języka, jakiemi się odznaczają, zdolną jest utrwalić się w pamięci czytającego. Wymagania wzrosły, a biada autorowi, który żadnéj z wymienionych zalet nie umiał dać swoim utworom. Czy je mają obrazki p. Reymonta? W dwóch pierwszych („Spotkanie" i „Cień") spotykamy męty ludzkich uczuć, pragnień, ideałów i myśli. Nie odmawiam prawdy obu utworom: bo kobiéta przerywająca swe życie dlatego, że nie kochając męża, miała kochanka i sprzykrzyła sobie kłamstwo, rozterkę i upadek, jak i druga udająca się na schadzkę z „nim", pozostawiwszy męża w smutku i niepokoju,—obie zapewne wzięte z życia, choć i fantazya równie dobrze sytuacye i bohaterki stworzyć mogła. Historyjka znana, omawiana często i na różne przerabiana sposoby, a dlatego właśnie szara, w treści smutna—i jak w powyżéj wymienionych nowelach — nie zajmująca. Obrazki te najsłabsze z całego zbioru, do których zaliczyłbym i trzeci, p. t. „Franek", opowiadanie o figurze nędznéj, acz nie pozbawionéj wyższych marzeń. Jako głównéj postaci utworu wyznaczył autor miejsca za skąpo. Smutny i krwawy poprostu jest obrazek, p. t. „Śmierć", gdzie córka przeklina konającego ojca, wyrzucając go do chlewa za to, że nic jéj z dobytku swego nie oddał, a zapisał „Tomkowi wszystko: piętnaście morgów, świnioki, statki, smaty". Nad już wymienionemi znaczną wyższość mają: „Oko w oko", „Suka" i „Tomek Baran". Znać w nich zamyślenie się autora

nad życiem, nad „przygiętą do ziemi karkami trzodą (?) ludzką, w bólu, w pocie, w znękaniu, h a ń b i ą c ą się w krwi wysiłków, h a ń b i e, podłości". Spostrzeżenie smutne, acz prawdziwe, bo niewielu wybranych, którym dane jest żyć życiem piękna i zachować godność człowieka. Warunki bywają często straszne, że nie zmogą ich żadne wysiłki, a człowiek zwyciężony ani zastanowi się nad swą nędzą, nad tém, że goni za błędnym ognikiem szczęścia. W walce ciągłéj zapomina o wspaniałym ogromie wszechświata, potędze i piękności natury, do któréj kiedy się zbliży przypadkiem, kiedy stanie z nią „oko w oko", gdy odetchnie zapachem lasów,—wypłaczena jéj łonie wszystkie bóle, zawody wszystkie, i nudę, i zniechęcenie, i gorycz wszystką" i odejdzie „mocnym na życie i mocnym na bóle, jak ta ziemia, która mu po raz drugi da życie" (str. 85). „Tomek Baran", dziecię natury, nie był wolny od rozgoryczenia i rozpaczy. Lecz siła fizyczna pozwoliła mu w ciężkiéj pracy szukać zapomnienia o chwilowych kłopotach, w których poratowali go i sąsiedzi. Godne uwagi są rozmowy Tomka ze starą Jagustynką (str. 294). „Suka"—to satyra na złe pojęcia o wychowaniu i kształceniu dzieci.

Te trzy ostatnie szkice w powodzi innych zawsze zdołają się utrzymać w pamięci czytelnika. A będzie to chyba wielką nagrodą dla autora i jego zasługą. Wynagradzają one tę biedną szarzyznę i banalność pierwszych (boć zdrady małżeńskie w beletrystyce doprowadzają nas do rozpaczy!), a utwierdzają w przekonaniu, że autor należy do utalentowanych. Strona opisowa góruje nad psychologiczną utworów.

L. R.

= *Stanisław Pilecki.* **Dzieje małżeńskie** (Powieść. Warszawa. Nakładem księgarni G. Centnerszwera 1898, str. 262).—Tadeusz Sieński pokochał młode dziewczę, a przekonawszy się o wzajemności uczuć, poślubił wybraną. Świat błyskotliwy, zabawy, stroje i rozrywki, połączone z bywaniem w świecie, hołdy i zabiegi mężczyzn odurzały trochę młodą i piękną kobiétę. Polubiła to życie rozrywek, których pragnęła mieć jaknajwięcéj. Nie przypuszczała, ażeby mogły się one komuś nie podobać, zasmucić kogoś, a zwłaszcza jéj ukochanego „Tadzia". Lecz on właśnie stał się smutny, podejrzliwy i stanowczo posądzał żonę o utrzymywanie blizkich stosunków z jednym z przyjaciół. Wiedziony zazdrością pojedynkował się z mniemanym rywalem... Wreszcie, obojętniał... Kiedy zaś żonie przykrzyć się zaczęło życie dotychczasowe, kiedy zapragnęła zbliżyć się do męża i dzieci, — mąż odepchnął ją, sądząc się bardzo pokrzywdzonym a imię swe zbrukaném. Przekonał się wkrótce, że ona „czysta i nieskalana"... Było jednak za-

późno... Młoda kobiéta umiéra. Teraz dopiero zrozumiał Tadeusz, że nie był jéj „bratem (jak powinien), ale kochankiem, nie był człowiekiem, lecz samcem, nie zstępował do niéj, ale chciał ją złamać“. — I wspomniał słowa Tołstoja, wypowiedziane w „Sonacie Kreutzera“: „kobieta potrzebuje koniecznie, żeby mąż uwzględnił jéj dostojeństwo człowiecze“, a tego on w swym egoizmie uznać nie chciał. W rzeczywistości „Dzieje małżeńskie“ zdaje się powstały pod wrażeniem myśli wyż wspomnianéj, a przynajmniéj pokrewne są „Sonacie“. Przebija w nich łzawy smutek, przynoszący ze sobą zadumę. Powieść napisana poetycznie i językiem pełnym zalet. Zarzuciłbym tylko formę utworu: nieprawdopodobném jest, ażeby człowiek w tym stanie cierpienia, co Tadeusz, pobudzający swe stargane nerwy morfiną, przez trzy dni z rzędu opowiadał historyę smutną swego życia, jątrzył ranę, która go jeszcze bolała i która w końcu o śmierć go przyprawi. Dramatyczna scena wyznania żony: „jam czysta i nieskalana“, zepsuta niepotrzebnie napuszoną deklamacyą męża („nasunął mi się na myśl śliczny wiersz Aleksego Tołstoja, który tak nagle, acz nieudolnie, przetłómaczyłem jéj na język polski i wypowiedziałem wolnym głosem“, str. 233). Zwrot podobny razi czytelnika i psuje wrażenie. *L. R.*

= *Aleksander Mańkowski.* **Moja Helenka.** (Powieść współczesna. Petersburg. Nakład K. Grendyszyńskiego, 1897, str. 327). Gdy mamy do czynienia z pisarzem utalentowanym, który zdołał wyróżnić się wśród rzeszy literackiéj, mimowoli przychodzi chęć porównywania jego utworów, ilekroć wzbogaci on literaturę pracą nową. W tym wypadku jednak porównania być nie może, gdyż treść ostatniéj powieści autora „Pana Augusta”, p. t. „Moja Helenka”, na porównanie nie pozwala, nie mając z poprzedniemi nic wspólnego. Występują tu dwa światy: miedzianéj arystokracyi i sfery, któréj nie uznawali Tombakowscy, Najzilbrowicze, Maśliccy i inni, t. j. szlachty nie imponującéj urodzeniem. Jest jeszcze w powieści naszkicowany i trzeci świat arystokracyi rodowéj, ale pokazany został tylko dla tego, aby zaćmić, pognębić i ośmieszyć ostatecznie tych wszystkich „Tombakowskich”. Ogromnie bo chodziło autorowi o zrzucenie „tych państwa” z mniemanych wyżyn. Nawet młodziutki Lolo, ich przedstawiciel, dostaje od Marcinka Szarackiego policzek, który ma mu być przestrogą na przyszłość, że Szaracki ubliżać sobie nie pozwoli. Marcin Szaracki nie mozoląc się długo nad łaciną, po czterech latach pobytu w szkole, powraca na wieś, gdzie rozsądném gospodarstwem i zabiegliwością wzbogaca swą drobną posiadłość. Na balu u życzliwych mu hr. Roskalskich poznaje się (a raczéj odnawia znajomość) z piękną Heleną Maślicką, a czar, jaki rzuciła

na Szarackiego, każe mu starać się o jéj rękę, którą wreszcie z pomocą swych milionów otrzymuje, zwłaszcza, że Maśliccy schodzą na nędzarzy... Czuje się szczęśliwym. Inaczéj Helenka: „Z takim człowiekiem, z takim Szarackim musiała przebyć miodowy miesiąc, musiała udawać, że także jest szczęśliwą, kłamać i tłumić w sobie uczucie niesmaku". Rzeczywiście godna pożałowania jest ta kobiéta, sprzedająca się dobrowolnie za dach i chléb powszedni, ulitowawszy się nad rodzicami, których inaczéj ocalić nie mogła, dla siebie uląkłszy się nieznanéj walki o byt. W pustém i biedném jéj życiu rozrywką jest pobyt we Włoszech, który niestety na długo będzie jéj wyrzutem sponiewierania i złamania wiary, zwłaszcza że Rodryg-Emanuel, którego u siebie przyjmowała, był jéj obojętny. Dlatego w powieści upadek jéj przychodzi niespodziewanie, nagle, bez wymotywowanéj konieczności faktu, i wrażenia nie robi. Bez wrażenia mija i cały utwór, gdyż jest szkicowany tylko, bez pogłębienia i subtelnych opisów osób i charakterów; zwłaszcza że i „Tombakowskich" coraz mniéj, a ich miejsce zajmuje inna arystokracya, często śmieszna i nie smaczna przez chęć imponowania i poniewierania wszystkiém, co nie złoto. Pieczętuje się ona workiem, któremu to herbowi nic zarzucać nie można, jeżeli zdobyty został pracą uczciwą. W zakończeniu śmierć Helenki okupuje wszystkie jéj winy (właściwie ma Szaracka tylko jedną—romans z Rodrygiem), a ostatnie jéj słowa, pragnienia, troski i przestrogi—ażeby dzieci jéj nie zmarnowały życia—są pełne szlachetnych myśli: „...Mówcie im dużo, ciągle o Bogu"... Nie dziw, że Marcin nigdy już, nigdy żony nie zapomniał. *L. R.*

— Dr *Micheline Stefanowska.* **Les appendices terminaux des** dendrites cérébraux et leurs différents états physiologiques. Travail fait à l' Institut Solvay, 1897. Bruxelles 1897. — Praca panny Michaliny Stefanowskiéj, powyższy tytuł nosząca, jest niezmiernie ciekawym przyczynkiem do anatomii i fizyologii elementów nerwowych. Interesujące te poszukiwania poprzedza wstęp pióra prof. Pawła Hegera, nawiązujący nić łączności pomiędzy dawniejszemi poszukiwaniami a pracą panny Stefanowskiéj. Streszczać tu téj broszurki niepodobna ze względu na jéj ściśle specyalny charakter, pozwolę sobie tylko zauważyć, że dotyczy anatomii zakończeń gałązek nerwowych, w których, jak pierwszy zakomunikował to słynny hiszpański histolog Ramon y Cajal, istnieje znaczna bardzo ilość rozrostków kolczastych, które panna Stefanowska zupełnie zdaje się słusznie uważa za ostateczne zakończenie neuronów. Jak wiadomo, dzięki metodom barwienia preparatów mikroskopowych metodą Golgi i Ramona y Cajal, nauka dzisiejsza zmieniła zupełnie swe poglądy na

anatomiczną budowę i fizyologiczne funkcye narządów systemu nerwowego. Kiedy dawniéj przypuszczano ciągłość pomiędzy elementami nerwowemi, dzisiaj spostrzeżono tylko wzajemne zbliżenie gałązek końcowych przeróżnych elementów nerwowych. Praca panny Stefanowskiéj rzuca wiązkę nowego światła na tajemnice téj budowy, dając poważny materyał do niezmiernie ciekawych dedukcyi nietylko dla anatoma i fizyologa, ale dla psychologa i myśliciela. Wiele ciekawych zjawisk, jak sen, zmęczenie, anestezya narkotyczna, nowemi wzbogacą się szczegółami, z których nowe i pewniejsze od dotychczasowych powstać mogą teorye. Praca ta wykonaną została w Instytucie Solvay'a; napisana jest jasno i metodycznie, a dobre własnoręczne rysunki autorki pokaźnie gruntowną i zajmującą tę pracę ozdabiają. *K. D. St.*

— Dr *Jerzy Mycielski*. **Gaetano Chiaveri w Polsce i jego książka szkiców w Królewskim gabinecie rycin.**—Kraków, 1896, str. 23. Rozprawa ta, drukowana przed dwoma laty, złożoną została redakcyi „Ateneum" dopiero pod koniec roku zeszłego (1897) i dlatego tak stosunkowo późno o niéj wzmiankujemy. Treść zresztą zasługiwałaby na obszerniejszą ocenę w jakiémkolwiek czasopiśmie, specyalnie poświęconém budownictwu lub technice. Gaetano Chiaveri, głośny w końcu w. XVII architekt włoski, twórca drezdeńskiéj fary katolickiéj, objeżdżał w pierwszéj połowie wieku XVIII Polskę i rysował niemal to wszystko, co w swéj podróży uznał za godne zaznaczenia pod względem sztuki budowniczéj. Pamiętnik jego, złożony wyłącznie ze szkiców, bez żadnego tekstu, przechowuje się w Dreznie i nosi tytuł, dopisany na grzbiecie w późniejszym czasie: *Schkizzenbuch des G. Chiaveri*. Rysunki, robione piórem lub ołówkiem i w kilku miejscach lekko koloryzowane, są najzupełniéj pobieżne; kreślono je jak na kolanie, mimochodem lub mimojazdem. Artystę najwyraźniéj obchodzą przeważnie wybitne szczegóły przedmiotów oglądanych; podaje plany budowli, fasady kościołów, niekiedy ich wnętrza, poziome przecięcia pałaców, wiązania dachów, arkady balkonów, sylwetki grobowców, tablice nagrobkowe, ołtarze, stale, ozdoby mieszkań, obramowania drzwi, okien lub kominów, sufity belkowane, schody i t. d. Dr. Mycielski zamieszcza w swéj pracy dokładny spis tych szkiców, tudzież sześć reprodukcyi drzeworytniczych: dwór jakiegoś chorążego Opalińskiego, dwór wiejski murowany z wystającą facyatą i kopułą, pałac dwupiętrowy z fasadą na arkadach, plan presbyteryum w katedrze na Wawelu, przekrój tegoż presbyteryum i plan dwóch królewskich kaplic w podziemiach wawelskich. W końcu broszury autor zastanawia się nad wnioskami i przypuszczeniami. wypływającemi z oglądania drezdeńskiéj pamiątki po Chiaverim, usiłując

przedewszystkiém dowieść, wbrew twierdzeniom C. Gurlitta, autora dziełka, p. t. *Andreas Schlüter* (Berlin, 1891), że budowniczy włoski objeżdżał Polskę nie około r. 1700, lecz co najmniéj we 30 lat późniéj, oraz, że styl rysunków nie jest „przeważnie barokowy”, lecz że to są głównie okazy „polskiéj architektury świeckiéj w saskiéj epoce”.

St. Fiat.

= *Cezary Jellenta.* **Galerya ostatnich dni.** Wizerunki, rozbiory, pomysły. Kraków, 1897, in 8-o Str. 327. — W piśmiennictwie naszém pojawia się tak mało książek poświęcanych krytyce, że z prawdziwém zaciekawieniem bierze się do ręki każde nowe w téj materyi wydawnictwo, zwłaszcza gdy nazwisko autora wiele zapowiada. Cezary Jellenta, odznaczający się oryginalnością sądu i bystrością spostrzeżeń, znany przytém z wielkiego oczytania, zdaje się posiadać wiele kwalifikacyi na krytyka — brak mu wszakże jednéj, czego zresztą bynajmniéj nie tai. Oto nie umié zdobyć się na stanowisko bezwzględnie przedmiotowe, ma swe sympatye i antypatye, nie mogąc zaś ująć w cugle zjadliwości i polemicznego temperamentu, dotkliwie nieraz daje się we znaki tym, co nie znaleźli łaski w oczach jego. Nic byśmy nie mieli przeciwko temu, gdyby jedem zaprawiał pociski w miernotę wymierzone, lecz nieraz dostają się bolesne cięgi i tym, których sama powaga zasłużonego imienia już osłaniać powinna przed tego rodzaju traktamentem. Książka p. Jellenty składa się przeważnie z przedruków prac, pomieszczanych w czasopismach warszawskich, z ostatnich lat dziesięciu. Są to rzeczy niejednakowéj wartości; niektóre z nich, będące zresztą zupełnie na miejscu w odcinkach gazet, na przedruk stanowczo nie zasługiwały. Charakterystyka tyrolskiego malarza Deffreggera zbyt jest pobieżna, tego zaś rodzaju prace, jak „Festyn malarzy”, „Na redutkach” itp., mające jedynie wartość efemerydy, nie przynoszą autorowi ani jednego listka do wawrzynu zasługi. „Prywatne stosunki” p. Jellenty z Muzą, ze względu na bezimienność, tracą znów większą część swéj wartości dla niewtajemniczonego czytelnika. Szereg trafnych charakterystyk rozmaitych typów naszych malarzy, zbiérających się w monachijskiéj Café Union, profan uważać musi jedynie za wytwór fantazyi autora. Resztę prac p. Jellenty, znajdujących się w „Galeryi ostatnich dni” stanowią rzeczy wartościowe, doskonale pisane. Przedewszystkiém wymienić tu należy studya o „Andriollim i Matejce”, kreślone zwięźle, jędrnie i dosadnie, niewyszukanym lecz barwnym stylem, pozbawionym owych naciągniętych porównań, w które autor przesadnie zaopatruje inne prace swoje. Rzecz, pisana z wielkim talentem, nie jest wszakże wolna od niesmacznych gburowatych dodatków, przykry dy-

sonans stanowiących. Drobna, nie wyczerpująca przedmiotu, lecz trafna charakterystyka Taine'a również należy do plusów omawianéj książki. W szkicu „Kurzawa, Chełmoński i Gierymski" doskonale charakteryzuje Jellenta tych trzech artystów. Mówiąc o pierwszym, zatrzymuje się dłużéj nad znaną jego grupą „Mickiewicz budzący geniusza". Najjaśniéj skreślony jest szkic o Gierymskim, któremu autor zarzuca dobrowolne pozbywanie się intensywnego ducha i zbyteczne pasowanie się z sentymentem, gwoli przedmiotowości. Dla Brandta „szczerego artysty-poety z intuicyi i temperamentu, mało wypaczonych i sparaliżowanych ciasnemi kleszczowemi formułkami", ma on gorące uznanie, którego bynajmniéj nie kwestyonujemy. Trudno się wszakże zgodzić z p. Jellentą wtedy, gdy tego artystę nazywa „Szewczenką naszego malarstwa". A gdzież sz. krytyk dostrzega u Brandta rozgoryczenie i żądzę zemsty ukraińskiego wieszcza? Razi nas również dziwna sprzeczność w sądach o tym artyście, podobnież jak i o Wieruszu-Kowalskim, którego maluje bardzo pochlebnie, na innych zaś kartach swéj książki gromi za schlebianie gustom kunsthaendlerów. W rozprawie, p. t. „Świeże powiewy w sztuce", p. Jellenta daje próbę syntezy w zakresie malarstwa polskiego. Mówiąc o wybitniejszych dziełach malarstwa naszego z ostatnich czasów, dzieli artystów na: kolorystów, zwyrodniałych, swojskich i społecznych. Główną zaletę téj rozprawy stanowi szerszy pogląd na rzecz, spotykamy przytém bardzo wiele trafnych uwag. Rozprawa zasługuje na szersze omówienie, które w zwykłém sprawozdaniu nie da się pomieścić. Zamykający książkę artykuł „Galerya ostatnich dni" apoteozuje sztukę, która „zmusza do tworzenia dzieł z niewidzialnych dla zwyczajnego ogółu ziaren przyszłości i wymaga od dzieł tchnienia jutra zamiast biernego odtwarzania". Dążeniem téj sztuki, nazywanéj przez autora intensywną, jest opanowanie wszystkich wzruszeń, stanowiących istotę ludzką. Praca p. Jellenty jest pożądanym nabytkiem naszéj literatury krytycznéj, która w gałęzi sztuki dziwnie jest uboga. Gdyby nie doskonała dzieło Witkiewicza „Sztuka i krytyka u nas", musielibyśmy przyznać się ze wstydem, że nic w tym zakresie nie posiadamy, o reszcie bowiem krytycznych fabrykatów nawet wspominać nie warto. P. Jellenta, utalentowany w tym kierunku pracownik, ma tu piękne do popisu pole, lecz niech hamuje swój temperament, wystrzega się wybryków stylowych i nie tworzy takich dziwolągów językowych, jak: „Samoratunek", „postaciujący", „górołaz" i t. p.

— *Aleksander Maryan Jasieński.* **Współcześni powieściopisarze angielscy.** Szkice literackie. Warszawa. Teodor Paprocki i S-ka.

1897. In 12-o str. 212. — Wydawnictwa nasze, obficie zasilane przekładami francuskich powieści, w ostatnich dopiéro czasach zwróciły uwagę na angielską beletrystykę, wskutek czego powieściopisarze, których sylwetki znajdujemy w pracy p. Jasieńskiego, mniéj są u nas znani, niż autor pierwszéj lepszéj efemerydy francuskiéj. Bezwarunkowo najpopularniejszym jest u nas Rudyard Kipling, na co zresztą najzupełniéj zasługuje; w ślad za nim w jednym rzędzie kroczą Grant Allen i Tomasz Hardy, przed którymi wszakże autor ostrzega czytelnika polskiego, stawiając ich utwory i pod względem moralnym, i estetycznym, o wiele niżéj od powieści Zoli i Bourgeta. Hall Caine, prawie że nie znany u nas, zajmuje naczelne miejsce w książce p. Jasieńskiego. Zestawiany przez krytyków z Wiktorem Hugo, jest „malarzem obyczajowym, uwydatniającym wszystko, co tylko może być godne uwagi w hrabstwie Cumberland i na wyspie Man. Z dzieł jego wieje fanatyczna miłość do swego zakątka rodzinnego, a przytém nie mniéj potężnie drga miłość Boga i cnót w życiu domowém i publiczném. O żadnym czynniku życia indywidualnego i społecznego nie zapomniał w swych pracach. Szkoda tylko, że Caine pisze zanadto seryo i stara się pominąć komiczną stronę przytaczanych epizodów. Ta powściągliwość posunięta jest aż do purytanizmu". Pan Jasieński wylicza i charakteryzuje wybitniejsze powieści Hall'a Caine'a: „*The Shadow of a Caine*", „*A son of Hagar*", „*The deemster*", „*The Boadman*" i „*The Mauxman*". Ostatnia z tych powieści powinna nas interesować, choćby z tego względu, że powstała na tle naszych stosunków. Uproszony w r. 1892 przez londyńskie towarzystwo żydowskie, ażeby zwiedził Polskę i Rosyę i zbadał tamtejsze ich współwyznawcze stosunki, Hall Caine spędził parę miesięcy w Krakowie i osnuł utwór swój na tle miejscowém; w ostatniéj wszakże chwili powieść przerobił i przeniósł akcyę z Polski na lepiéj mu znaną wyspę Man. Ze szkicu poświęconego Rudyardowi Kiplingowi dowiadujemy się przedewszystkiém, w jaki sposób z ośmnastoletniego pomocnika redaktora podrzędnéj indyjskiéj gazetki „*Civil and Military Gazette*" wyrósł najznakomitszy może współczesny nowelista. W chwilach wolnych od gorączkowéj dziennikarskiéj pracy, pisał poezye i tworzył te prześliczne obrazki, które zebrane w tom, p. t. „*Plain Tales from the Hills*", w przeciągu paru miesięcy zdobyły mu sławę. Jakiém uznaniem cieszy się Kipling w swéj ojczyznie, dowodzi choćby to zdanie, wypowiedziane o nim przez A. Langa, wytrawnego krytyka angielskiego: „Gdy stracimy Indye, gdy tam, gdzie my rządziliśmy, kto inny rządzić będzie, gdy panowanie nasze pójdzie śladem panowania Mongołów, przyszłe pokolenia nauczą się z dzieł Kiplinga,

jakiemi były Indye za czasów panowania tam Anglii". Pan Jasieński w pracy swéj zaznacza to, że Kipling, jako poeta, stanowić będzie nową epokę w literaturze anglo-amerykańskiéj, od niego bowiem datować się będzie zwrot dążący do federacyi państw, w których język angielski jest panujący, bo myśl tę geniusz jego wprowadził do poezyi po raz pierwszy. Mówiąc o Grant Allenie, będącym w jednéj osobie literatem i dziennikarzem, p. Jasieński piętnuje iście kamelenową zmienność jego przekonań. Autor ten stosuje się najzupełniéj do wymagań wydawców: w postępowych wydawnictwach jest postępowcem, w konserwatywnych—zachowawcą, w popularno-religijnych—religijnym i moralnym. To ostatnie wszakże nie przeszkadza mu bynajmniéj propagowania filozofii hedonizmu, polegającéj na wyczerpaniu z życia wszystkich przyjemności, jakie dać może. Przytém Grant Allen jest wyznawcą wolnéj miłości. Pokrewnym jego duchem jest Tomasz Hardy, zaliczany przez krytyków angielskich do przeciwników małżeństwa i propagujący tę tendencyę w swych powieściach. Pochodząc z ludu, z wielkim wdziękiem i prostotą opisuje życie wieśniacze. Niezrównane są jego wiejskie krajobrazy i plastycznie kreślone postaci dziewcząt wiejskich i parobczaków. Autor nie należy widać do wielbicieli talentu Hardy'ego, to téż oddając mu sprawiedliwość, nie mówi jednak o nim z takim entuzyazmem, jak np. o Kiplingu. Książka p. Jasieńskiego wypełnia dotkliwą dla wielbicieli angielskiego piśmiennictwa lukę. Jest napisana sumiennie i ze znajomością przedmiotu, radzibyśmy tylko spotkać się w następnych jego pracach z jędrniejszym, niż wobecnéj, językiem.

= *Marya Konopnicka.* **Dym. Nasza szkapa. Głupi Franek.** Z ilustracyami S. Sawiczewskiego. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa i Kraków, in 16-o, str. 229. — Życie maluczkich i wydziedziczonych, ich bóle, troski i niedole — to zwykła kanwa z serdecznem ciepłem kreślonych i opromienianych wielką miłością obrazków Maryi Konopnickiéj. W świeżo wydanym w „Biblioteczce Ilustrowanéj" cyklu nowel poetka nasza zniża lot swój ku ziemi i prowadzi nas przez ten padół, na którym takie nieraz rozgrywają się tragedye. Pierwszy obrazek „Dym" jest właśnie jedną z takich „zwyczajnych" tragedyi. Matka z gorączkową niespokojnością przez dzień cały oczekuje jedynego syna, zajętego w fabryce, a oczekując, patrzy na dym, kłębiący się z fabrycznego komina. I raz, kiedy chłopiec jéj wyszedł, tak jak zwykle, „rzuciło się w niéj serce jakimś nagłym przestrachem" — a w parę godzin potém huk straszliwy wraz z okrzykiem: „kotłowy, kotłowy zabity!" którego może i nie dosłyszała, obwieścił skamieniałéj z bólu kobiecie,

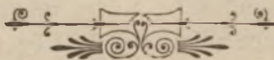
że ukochany chłopiec jéj i dziś i nigdy już z fabryki nie powróci. Drugi z obrazków, zatytułowany „Nasza Szkapa”, jest bezwątpienia najpiękniejszym z trzech zawartych w tomiku. Choroba żony wpędza w biédę rozwoziciela piasku i zmusza do powolnego wyprzedania skromnéj chudoby. Pozostaje główne źródło zarobkowania, jedna ulubiona szkapa, lecz i téj w końcu pozbyć się trzeba. Ojciec—piaskarz coraz bardziéj upada na duchu, matka z dniem każdym słabnie coraz więcéj, na humorze nie zbywa jedynie dzieciakom, nie zdającym sobie sprawy z całéj grozy położenia i rozbawionym tém właśnie, że w izbie coraz to nowa ukazuje się pustka. W obrazku „Głupi Franek”, staje przed naszemi oczami los odmieńca-sieroty, co to nie wiadomo skąd nad rzeką wyrósł i od dziecka, przez wieś całą wyśmiéwany, chodzi jak prorok po drogach i gada z ziemią i z niebem, z ogniem i z wodą. Ludzie nie zdają sobie sprawy ze słów jego, słuchają go wszakże pilnie, gra im bowiem na strunach dusz. A im bardziéj go oni lekceważą, tém silniéj zapala się „Głupi Franek” i, odlatając myślą od ziemi, z wiatrami gada, wzrusza ramionami i idzie ku rzece do czółna, w którém kładzie się każdego wieczora, a podnosi się każdego ranka. O zaletach pióra Konopnickiéj mówić nie potrzebujemy. Dawno nie mieliśmy w ręku książki, któraby mieściła tyle poezyi w prozie.

Ar. Les.

— **Książka zbiorowa** ku uczczeniu **Adama Mickiewicza** w stuletnią rocznicę urodzin poety. Petersb., 1898, *in 8-vo*, str. 218. Nakładem K. Grendyszyńskiego. — Jest to ścisły przedruk działu literackiego N. 46 „Kraju” z d. 26 listopada 1885 r., wypełnionego pracami poświęconemi wyłącznie pamięci Adama Mickiewicza, dla uczczenia trzydziestéj rocznicy jego zgonu, naówczas właśnie przypadającéj. Szczęśliwym nazwać należy ten pomysł wydawcy zebrania w jedną całość wszystkich tych prac témbardziéj, że pomiędzy niemi znajduje się niejeden cenny przyczynek do charakterystyki poety, który na długo uwiązłby w bibule dziennikarskiéj. Czyż dziś, kiedy na wszystkich ustach znajduje się imię Mickiewicza, nie należało wydobyć na światło tego, co o nim z osobistych skréślili wspomnień: Bogdan Zaleski, Teofil Lenartowicz, Karol Brzozowski i T. T. Jeż? Czyż praca Spasowicza, byronizmowi Mickiewicza poświęcona, nie powinna była być przypomniana czytającemu ogółowi? A ileż innych ciekawych artykułów znajdujemy w téj „Książce zbiorowéj”! Léger, Morfill, Połoński i Zipper opowiadają, w jaki sposób i dzięki czyim zasługom rozpowszechniły się pisma poety w francuskiém, angielskiém, rosyjskiém i niemieckiém piśmiennictwie. J. I. Kraszewski pisze o pomniku dla poety,

W. Bełza — o Maryi, H. Biegeleisen — o pobycie Mickiewicza w Paryżu, Jerzy Brandes — o „Panu Tadeuszu", Mahrburg — o poglądach wieszcza na wszechświat, Mickiewicz Wł. — o przepowiedniach swego wielkiego ojca, Bolesław Prus — o „Farysie", Tretiak — o poezyi polskiéj po Mickiewiczu, Tokarzewicz — o jego wykładach w Collège de France. Niezwykle ciekawe są również prace Budrysa, Jelskiego i Franki, omawiające przekłady z Mickiewicza na pobratymcze nam języki: litewski, białoruski i rusiński. Czytając rozprawkę p. Franki, przed dwunastu laty skréśloną, a owianą wielkiém i szczerém dla naszego poety uznaniem, niktby się nie spodziéwał późniejszego wystąpienia tegoż p. Franki, który z wielbiciela stał się oszczercą Mickiewicza. — „Książka zbiorowa" mieści również przedruki i autografy takich pamiątek, jak: akt zejścia, metryka urodzin i chrztu, ostatni list poety, ostatni dokument paryski przezeń podpisany i zaproszenie na pogrzéb. *Kimont.*

= **Lira polska.** Tomik IX. Ułożył *Or-Ot.* Warszawa, nakładem księgarni G. Centnerszwera, 1898, in 16-o, str. 172 i III. — Jest to zbiorek utworów współczesnych poetów, bez żadnego planu ułożony. W jednym szeregu stają młodsi obok starszych, niosąc nie to, co najbardziéj twórczość ich charakteryzuje, lecz te płody natchnień swoich, na które wydawcy przypadkowo udało się natrafić. Cała książeczka robi wrażenie dorywczości i chaosu. Spotykamy w niéj poezye: Tetmajera, Nitowskiego, Nowińskiego, Glińskiego, Jasieńczyka, Orłowskiego, Nawrockiego, Rydla, Kośmińskiego, Łętowskiego, Or-Ota, Waśniewskiego, Bożydara, Kuczyńskiego, Bartosówny, Kutyłowskiego, Podwysockiego, Miriama, Szujskiego, Lenartowicza, Zmorskiego, Gomulickiego, Langego, Selima, Gawalewicza, Merzbacha, Ilnickiéj, Czerwińskiego, Terpiłowskiéj, Rutkowskiego, Czesława, Lama, Pługa, Liedera i Kraszewskiego. — Wiersz Lenartowicza „Pamiętaj!" nie powinien był się znaléść w téj antologii, jest bowiem przekładem z Alfreda de Musset; należało przynajmniéj to zaznaczyć, ażeby czytelnika w błąd nie wprowadzać. *Ar. Les.*



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Ustał gwar zapustny. Wzrastał on stopniowo przez kilka tygodni, aż doszedł nareszcie do punktu kulminacyjnego, na którym długo utrzymaćby się nie mógł. Bawiono się nieustannie, bawili się miejscowi i przyjezdni, bawiono się po domach prywatnych i na balach publicznych, bawiono się na wieczorach, na których rozpowszechnionym w Warszawie zwyczajem zaczynano tańczyć przed północą, i na podwieczorkach, rozpoczynających się o siódméj. Bawiono się tak, jak się bawią w mieście, które ściąga gości z ogromnych obszarów, w mieście, w którém życie towarzyskie stanowi ostatecznie największą okrasę pobytu i w którém nawet obcy łatwiéj dobierze sobie odpowiednie towarzystwo, niż gdziekolwiek indziéj. Warszawa ma warunki życia towarzyskiego niezależne od chwilowego usposobienia mieszkańców, lub od chwilowéj konjunktury dla miejscowego handlu i przemysłu. Karnawały warszawskie nie znikną tak prędko z horyzontu, bo rękojmią ich świetności jest ów prąd dośrodkowy, który co roku gromadzi nad Wisłą tyle żywiołów pragnących zbliżenia, tyle młodzieży, szukającéj zabaw i tyle zapasów pieniężnych, przeznaczonych na rozrywki.

Warszawa zawsze lubiła hulać, a dziś nie zanosi na to, żeby z tą tradycyą zerwała. Trudniéj byłoby odpowiedziéć na pytanie, czy bawi się dziś rozsądniéj, niż dawnemi laty i czy ów zmysł praktyczny, którym wiek nasz chełpić się lubi, udoskonalił i uprościł mechanizm zabaw naszych? Nie sądzimy, żeby sumienna odpowiedź brzmiała bardzo pomyślnie. Jest rzeczą niewątpliwą, iż wiele zmieniło się na lepsze.

Niejeden mur chiński, dzielący społeczeństwo na sfery, niewiedzące o sobie, zachwiał się i popękał, ale obok błogosławionych następstw téj niwelacyi ogólnéj występują na jaw następstwa inne, którym opędzić się trudno. Wyrównywa się stopień wykształcenia powszechnego, wyrównywa się stopień ogłady, ale równocześnie wyrównywa się także stopień pożądań i zachcianek. Współzawodnictwo jest jedném z najwyraźniejszych znamion naszéj cywilizacyi dzisiejszéj. Jest ono bodźcem, podniecającym jednostki do niesłychanych wysiłków, zaostrza głód i pragnienie i zmusza do pracy dla zaspokojenia nieokiełzanych potrzeb, ale będąc siłą dobroczynną i płodną, staje się równocześnie straszną plagą dla tych, którym nie starczy sił na zdobycie miejsca przy wspólnéj biesiadzie. Minęły czasy, w których ambicya zwykłego śmiertelnika nie sięgała po za kopce rodzinnéj wioski, lub po za ściany ojcowskiego warsztatu. Świadomość równych praw przenika wszystkie warstwy i budzi równe aspiracye Coraz trudniéj odmówić sobie czegoś, czego nie potrzebują odmawiać sobie inni. Coraz łatwiéj dać się uwiéść złudzeniu, że możemy pozwolić sobie na te same, upodobania i nawyczki, na które pozwalają sobie sąsiedzi, znajomi lub krewni.

Technika życia nowożytnego ułatwia nam tysiącznemi sposobami wejście na tę niebezpieczną drogę, po któréj nieznacznie dochodzi się do ruiny. To, co przed stu laty było niedostępne dla mniéj zamożnych, jest dziś napozór tak bliskie, tak uchwytne, tak tanie! Zbyt często zapominamy, że to pozorne ujednostajnienie form bytu jest w wielu wypadkach ułatwieniem nie dla uboższych, lecz dla bogatych. Magnat, który sto lat temu puszczał się dworno i strojno w drogę do Warszawy, wydawał na tę podróż pięćset razy tyle, co chudopachołek, jadąw ślad za nim skromną dryndulką. Na obiedzie u dygnitarza podawano frykasy zamorskie, nieznane nawet z nazwy niejednemu z gości. Dziś wszyscy jedziemy tym samym pociągiem kolei, a jak łatwo ulegamy pokusie, jechania tą samą klasą! Dziś znamy wszyscy smak rzadkich win i potraw, a jak często zapominamy, że nie dobrze jest oswajać się z ich smakiem. Im bardziéj ustala się przeciętny poziom życia, tém łatwiejsze staje się ono dla tych, których środki wyrastają ponad miarę przeciętną, tém częściéj odmawiać sobie muszą niejednego ci, których zasoby nie dorastają téj miary.

Oddawna wiadomo, że żyjemy nad stan. Panowanie nad sobą, odmawianie sobie, kierowanie się nie zachciankami, lecz rachunkiem i wolą nie są to nasze cnoty. Wszyscy marzymy o wspólnéj skali wydatków, a skala ta podnosi się dziś zwolna, niepostrzeżenie, lecz stale. Rosłaby jeszcze szybcéj, gdyby szał karnawałowy trwał dłużéj, gdyby

wraz nim chęć popisywania się wystawnością i dostatkiem obejmowała coraz dalsze kręgi. Na szczęście, po tłustym wtorku idzie wstępna środa.

Wśród największego rozochocenia wyczytała Warszawa w dziennikach wiadomość, że kwestya zaprowadzenia samorządu miejskiego w Królestwie Polskiém została w zasadzie rozstrzygnięta. Miasta nasze będą obdarzone instytucyami autonomicznemi, które funkcyonują w Cesarstwie. Rzecz oczywista, iż nie przesądza to jeszcze ani o terminie zaprowadzenia téj reformy, ani o modyfikacyach ustawy, która, przeniesiona z Cesarstwa do nas, trafiłaby tu na grunt odmienny. Dziś powiedziéć tylko można, iż nadeszła pora zaznajomienia się przynajmniéj w teoryi z organizacyą obejmującą miasta, położone tuż za Niemnem i Bugiem.

Samorząd gminny to przywiléj i ciężar zarazem, to narzędzie, które w ręku ludzi rozumnych i doświadczonych może oddać społeczeństwu usługi ogromne, ale zarazem nieustanna próba dojrzałości zbiorowéj i wiecznie odsłonięte zwierciadło sumienia obywatelskiego.

Władze autonomiczne miejskie posiadają według obowiązującéj dziś ustawy rozległe pole działania i obfite stosunkowo środki, któremi posługiwać się mogą. Mają one w ręku zarząd majątku gminnego, a zarazem służy im prawo pobiérania podatków na potrzeby gminne, przewidziane i określone przez prawodawcę. Do zakresu ich czynności należy utrzymywanie w należytym stanie ulic i placów, zakładanie ogrodów, zaopatrywanie miast w wodę i oświetlanie tychże; spada na nie piecza o ubogich, walka z żebractwem, troska o szpitale i zakłady dobroczynne, a w parze z tém idzie obowiązek, czuwania nad zdrowotnością miasta, oraz dostarczania pomocy lekarskiéj i weterynarskiéj. Czuwają one nad racyonalném zabudowywaniem się miasta i nad ubezpieczeniem ruchomości miejskich od pożaru. Obowiązkiem ich jest wreszcie starać się o szerzenie oświaty, co im w wysokim stopniu ułatwił prawodawca przez zapewnienie udziału w zarządzie szkół miejskich; akcyę na tém polu ma wspomagać zakładanie bibliotek, muzeów i teatrów. Ważny nadto dział czynności zarządów autonomicznych stanowi opieka nad rozwojem handlu i przemysłu, nad giełdą i instytucyami kredytowemi.

Zakres, jak widzimy, rozległy. Obejmuje on administracyę właściwą, a obok niéj oświatę, dobroczynność, zdrowotność, życie artystyczne, a nawet obroty piéniężne i towarowe. W takich warunkach kilka lat rozumnéj gospodarki może zdobyć członkom zarządu długotrwałą wdzięczność współobywateli, a miastu niecocenione dać korzyści.

W przeciwieństwie do organizacyi gmin wiejskich w Królestwie, skupiającéj w zebraniach gminnych źródło wszelkiéj władzy, prawo wydawania uchwał i kontrolę nad organami wykonawczemi,—przeprowadza ustawa gminna dla miast ścisły rozdział między pierwiastkami, składającemi skomplikowaną machinę samorządu. Mamy więc przedewszystkiém przedział między wyborcami, a władzami obieralnemi, następnie zaś przedział między radą miejską, czyli władzą uchwalającą, a zarządem miejskim, czyli władzą wykonawczą.

Charakterystyczném znamieniem rosyjskiéj ustawy o samorządzie miejskim są postanowienia jéj o składzie ciała wyborczego. Prawo do udziału w wyborach nadaje tylko własność nieruchoma lub przedsiębiorstwo handlowo-przemysłowe. Wszyscy inni mieszkańcy, bez względu na stanowisko społeczne i stopień wykształcenia, nie mają prawa głosowania i nie są obieralni.

Co cztery lata odbywają się wybory rajców miejskich. W miastach gubernialnych z ludnością przeszło stutysięczną zasiada ich w radzie miejskiéj ośmdziesięciu. Według artykułu 44-go ustawy niechrześcianie mogą stanowić najwyżéj jedną piątą ogółu rajców. W wypadkach wyjątkowych może minister spraw wewnętrznych zmodyfikować to postanowienie ustawy.

Osobne rozporządzenie usuwa żydów od udziału w głosowaniu. W miastach tych gubernii atoli, w których żydom przebywać wolno, władze rządowe mianują pewną ilość rajców wyznania mojżeszowego w procencie, oznaczonym przez ministra spraw wewnętrznych, nie stanowiącym jednak nigdy więcéj nad część dziesiątą całéj rady miejskiéj.

Rada obiéra funkcyonaryuszów, dzierżących władzę wykonawczą, uchwala budżet, opracowuje instrukcye, czuwa nad majątkiem miejskim, kontroluje administracyę.

Ta ostatnia spoczywa w ręku zarządu, złożonego z prezydenta (burmistrza, głowy) i dwóch członków. Liczba ta może być powiększona stosownie do wielkości miasta. W zarządzie tkwi siła wykonawcza, a zarazem inicyatywa, mająca obszerne pole przy wygotowywaniu wniosków i projektów, przedstawianych radzie. Nad całym tym zresztą aparatem unosi się kontrola rządu. Różne rodzaje uchwał rady miejskiéj potrzebują aprobaty gubernatora. W miastach większych są i takie, które zatwierdza minister spraw wewnętrznych.

Szablonowy szkic organizacyi nabrałby dopiéro życia, gdybyśmy go złączyli z obrazem potrzeb, wołających o zaspokojenie i środków, które w miastach, obdarzonych już samorządem, czynią potrzebom tym zadość. Niebawem uczynimy to może. Dzisiaj poprzestaniemy na za-

znaczeniu, jak ważną częścią naszego życia zbiorowego jest już obecnie gospodarstwo gminne miast naszych. Warszawa ze swym ośmiomilionowym budżetem stanowi oczywiście w zbiorowym budżecie wszystkich miast część olbrzymią. Jeżeli w Warszawie wypada w przybliżeniu 13 rs. wydatków gminnych na głowę, to w przeważnéj liczbie miast mniejszych wydatki, obliczone w stosunku do ludności, nie wykazują nawet dwóch rubli na głowę; w miastach gubernialnych lub fabrycznych przechodzą niekiedy ponad tę cyfrę. Mimo to można się przekonać z kilkunastu wykazów, dotyczących roku zeszłego, że i na prowincyi budżety miejskie przestały być już nieważkiemi drobnostkami. Budżet Lublina wykazywał 100,014 rs., Piotrkowa (1898) 70,435 rs., Radomia 68,925 rs., Kalisza 64,714 rs., Zgierza (1896) 50,532 rs., Włocławka 30,936 rs., Chełma 24,871 rs., Zamościa 19,782 rs.

A w porównaniu z miastami, w których władze autonomiczne nie szczędzą grosza na gospodarkę publiczną? W porównaniu z niemi wydać się muszą nasze cyfry niezmiernie skromnemi. Imponuje nam Warszawa ze swemi ośmioma milionami i imponuje nam słusznie, jeżeli uprzytomnimy sobie naprzykład, że Petersburg jeszcze niedawno (1895) wydawał w ciągu roku 10 milionów. Wszystko to jednak maleje, gdy rzucimy okiem na administracyę miast zagranicznych. Oto np. znajdujemy właśnie w dziennikach projekt budżetu m. Poznania, dziewięć razy mniejszego niż Warszawa. Wydatki obliczono tam na 3,813,000 marek, czyli mniéj więcéj na 1,750,000 rs.; na głowę wypada 25 rs.! Zasada: garścią siać, garścią zbiérać — opanowała dziś zagranicą wszystkie ciała autonomiczne.

Na chlubę Warszawy powiedziéć trzeba, że do niepoślednich rozmiarów dochodzą u nas wydatki, płynące nie z kasy miejskiéj, lecz ze skarbonek prywatnych, a zasilające fundusze zakładów, służących całemu ogółowi. Jedno z takich przedsięwzięć, na które znowu popłynął grosz z dobrze znanéj sakiewki, oglądała właśnie Warszawa w chwili, gdy rzeczywistość uwieńczyła śmiałe zamiary inicyatorów. Mówimy tu o kąpielach ludowych na placu Broni. Około 9,000 rs. kosztował sam budynek, a jednak mieści się w nim zaledwie 11 budek natryskowych i pokój z wanną. Na miasto takie, jak Warszawa, nie jest to wiele, ale znaczenia nowego zakładu nie można mierzyć tą miarą. Ważném jest niezawodnie dostarczenie pewnemu zbiorowisku biédaków możności regularnego używania kąpieli, ale równie ważnym jest wpływ pośredni przez zaszczepienie chęci do kąpania się, przez stworzenie przykładu, przez pobudzenie naśladownictwa i emulacyi. Kąpiele na placu Broni mogą spełnić to zadanie, a nie wątpimy, że je spełnią i że obmywanie się za pomocą natrysku zrobią rzeczą modną. Lud nasz był

brudny, bo nie miał się gdzie kąpać i kąpać się nie chciał. Gdy raz téj ochoty nabiérze, gdy o kąpiel zacznie się upominać, liczba takich zakładów pomnoży się niewątpliwie.

Ileż to razy pisano ostatniemi laty o tém, czém jest czystość dla zdrowia: ileż to razy najczarniejsze myśli na temat naszego poziomu cywilizacyjnego trapiły każdego z nas wśród wędrówek po cuchnących zaułkach. Wiemy, jak wyglądają mieszkania proletaryatu warszawskiego, wiemy z prac d-ra Polaka, że im mniejsza jest ilość izb, z których się mieszkanie składa, tém większa jest liczba mieszkańców, przypadających na jedną izbę. Jeżeli w mieszkaniach, mających więcéj niż 10 izb, przypada 0.7 mieszkańca na izbę, to w mieszkaniach jednoizbowych mamy przeciętnie po 4.2 osoby. Im mniéj izb zawiéra lokal, tém więcéj ludzi w nim mieszka! W r. 1891 liczba mieszkańców, gnieżdżących się bądź w suterenach, bądź w mieszkaniach jednoizbowych, położonych wyżéj, wynosiła 182,000. I ta ogromna masa ludności, natłoczona w stęchłém powietrzu, nie mogąca utrzymać ochędóstwa, zmieniająca bieliznę rzadko, nie kąpała się dotychczas! Może teraz zrozumiemy dlaczego właśnie w owym czasie w ciągu roku na 100,000 mieszkańców zmarło w Warszawie 363 z chorób zakaźnych. Jest to liczba dwa razy większa, niż w miastach, w których ludność ma jakie takie wyobrażenie o życiu hygieniczném i jaką taką możność stosowania przepisów hygieny w praktyce.

Ale dobroczynny wpływ kąpieli sięga poza sferę zdrowotności. Przyzwyczajenie ludności do wody i mydła to podstawa wszelkiej pedagogii społecznej, to pierwsza lekcya tej przyzwoitości, bez któréj każdy tłum musi popaść w otchłań zdziczenia. Jak mówić o obowiązkach obywatelskich ludziom, którzy nie słyszeli dotychczas, że pierwszym obowiązkiem cywilizowaego człowieka, jest umyć się przed wyjściem z domu, żeby nie wchodzić między bliźnich w stanie, budzącym odrazę. Jeżeli chcemy nauczyć naszego robotnika, że ogół ma prawo stawiania pewnych postulatów, z pod których wyłamymać się nie wolno, nauczmyż go przedewszystkiém, że ogół ma prawo żądać od nas, byśmy się myli i kąpali. Trudno żądać od kogoś sztuki panowania nad sobą, jeżeli nie nawykł nawet do tak drobnego przymusu, jakim jest codzienne zetknięcie z zimną wodą. Niech najpierw wpoi w siebie przekonanie, że nie wolno być niechlujnym, a potém, oswoi się może z myślą, że tak samo nie wolno być nieokrzesanym, nie wolno pastwić się nad dzieckiem, nie wolno kobiét potrącać w tłumie.

Pierwszym niezbędnym warunkiem postępu na tej drodze jest wytworzenie choćby małego grona ludzi, którzy bez wody obyć się nie mogą. Za pomocą metody poglądowej trzeba ludziom stawić przed oczy

robotnika, który się kąpie, obok takiego, który nie używa kąpieli. Niechaj widzą różnicę, niech na jej widok budzi się w nich ambicya. To właśnie sprawić mogą kąpiele na placu Broni. Nie obsłużą one całej dzielnicy, ale stworzą typ człowieka schludnego, który innym posłuży za przykład.

Zaledwie dokonano tego przedsięwzięcia, odezwały się głosy, nawołujące do innego dzieła. Zaprowadzenie monopolu wskrzesiło kwestyę, zjawiającą się od lat niemal czterdziestu co czas pewien na łamach dzienników. „Słowo" przypomniało niedawno, że już w r. 1861 ks. Stecki opracował ustawę resursy rzemieślniczéj, która młodzieży pracującéj miała dać możność godziwego i umoralniającego spędzania chwil wolnych i odciągać ją od rozpusty i zepsucia. Po dwudziestu latach poruszył tę sprawę p. Juszczyk. Dziś, jak się dowiadujemy ze „Słowa", grono ludzi dobréj woli pracuje znowu nad wprowadzeniem téj myśli w czyn. Sądzą oni, że sprawa nie napotka wielkich trudności wobec przykładu, jakiego dostarcza „Newskie Towarzystwo zebrań ludowych w Peterburgu". Założone w r. 1886 z kapitałem rs. 75000, dążyło ono do tego, by z czasem oddać wszystkie stworzone przez siebie miejsca rozrywek w ręce samych rzemieślników. Przyjmowano ich więc na członków z wkładką roczną w wysokości 10 rs. i oto przewidywana jest chwila, w któréj dzięki tym wkładkom, kapitał zakładowy się umorzy, a rzemieślnicy staną się właścicielami wszystkich sal i ruchomości. Jeżeli w Warszawie rzecz dojdzie do skutku, a mamy silną wiarę, że tak będzie, ludność oceni w całéj pełni dobrodziéjstwo, jakiém było dla niéj zamknięcie ogromnéj liczby szynków. Według wykazów, ogłszonych przez pisma codzienne, liczyła Warszawa przed zaprowadzeniem monopolu 1,571 zakładów, kupczących napojami, dziś mamy natomiast 88 sklepów rządowych z wódką i 927 wszelakich innych zakładów. Kiedyż więc myśleć o resursie rzemieślniczéj, jeśli nie teraz, po utworzeniu się tak znacznéj luki, którą czémś zapełnić trzeba.

Czegoż społeczeństwo ma żądać od resursy, w czém ma ona być lepsza szynku? Sądzimy, że różnicę zdefiniować łatwo. Rzemieślnik i robotnik, który w sobotę odebrał płacę i kierował swe kroki ku szynkowni, wracał z niéj nocą do domu gorszy moralnie, a słabszy fizycznie, niż w chwili, gdy opuszczał kantor fabryczny. Wracał z szumem w głowie, ze złością na siebie za zmarnowanie grosza, na żonę za przyjęcie, które mu gotowała, na szynkarza za złą wódkę, na pryncypała za przewidywaną w ciągu tygodnia pustkę w kieszeni. Niechaj teraz stosunek się odmieni. Niechaj resursa oddaje rodzinie męża i ojca z pogodniejszą myślą, spokojniejszém sumieniem i żywszą energią.

Szynk truł, upadlał i wszczepiał zgryzotę, niech resursa uzdrawia, uszlachetnia i uspakaja. Jeżeli każdy wieczór, w resursie spędzony, przysporzy odrobinę zdrowia społecznego, dorzuci iskierkę myśli, podnieci pracowitość i popchnie naprzód to, co wpływ szynkowni hamował, niepodobieństwem jest, żeby zmiana taka nie odbiła się prędzéj czy późniéj na losach całości.

Tadeusz Smarzewski.



Wydawca: ***W. Spasowicz.***
Za Redakt.: ***W. Spasowicz*** i ***Stanisław Wydżga.***

Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Февраля 1898 г. — Druk Jana Cotty.

